S.Q.U.A.T.

KONRAD KUŚMIRAK

S.Q.U.A.T.

Konrad Kuśmirak

S.Q.U.A.T.

Squat albo śmierć – wybór należy do ciebie...

CZWARTA STRONA

Copyright © by Konrad Kuśmirak, 2015
Copyright © by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2015

Redaktor prowadząca: Dominika Kuczyńska
Redakcja: Katarzyna Gwincińska
Korekta: Aleksandra Powalska-Mugaj
Ilustracja na okładce: Mateusz Wilma
Projekt okładki: Paweł Stelmach / www.nietypowo.com
Opracowanie grafik: Mateusz Wilma
Projekt typograficzny i łamanie: Justyna Nowaczyk
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

eISBN 978-83-7976-332-0

CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Squat – opuszczona nieruchomość
zajęta przez dzikich lokatorów,
przeważnie tworzących wspólnotę

To się będę śmiał, gdy nie zdążą
ze zniszczeniem świata przed jego końcem.

Stanisław Jerzy Lec

Podziękowania

S.Q.U.A.T. jest katastroficzną wizją naszej przyszłości. Dzieje się w ruinach starego świata i na zgliszczach starego porządku. To opowieść o męskim, brutalnym świecie, przepełnionym hukiem wystrzałów, zapachem krwi i duszących skrętów. Wpisuje się w nurt postapokaliptyczny, w którym szczególną inspirację stanowiły dla mnie opowiadania Piotra Górskiego, zwłaszcza jego *Wycieczka* z 1994 roku, czytana przeze mnie wielokrotnie z obłędnymi dźwiękami Toola w tle.

S.Q.U.A.T. powstał dzięki zaangażowaniu kilku osób, które mi doradzały, odradzały, zachęcały lub zniechęcały. Dziękuję Stanisławowi Bajtlikowi i Maciejowi Konackiemu z Centrum Astronomicznego im. Mikołaja Kopernika za wybicie mi z głowy kilku idiotycznych pomysłów. Dziękuję Zespołowi Wydawnictwa za entuzjazm, w tym Pani Redaktor za umiejętność czytania w moich myślach.

Szczególne podziękowania i ukłony należą się moim bliskim. Kłaniam się mojej żonie Edytce za anielską cierpliwość, nieustającą miłość i wsparcie. Chylę czoła przed moim synem Łukaszem, który wspaniałomyślnie oddał mi czas, jaki mogliśmy spędzić razem. Dziękuję Izie i Michałowi za bezinteresowną pomoc. Pozdrawiam mojego przyjaciela Łukasza, który, sącząc napoje wyskokowe, wsłuchiwał się w moje szalone wizje. Kilka z nich przelałem na papier.

Spasibo!

Konrad Kuśmirak

Prolog

Nagły błysk zajaśniał na niebie niczym drugie słońce i zgasł równie gwałtownie, jak się pojawił. Umierająca gwiazda wydała ostatnie tchnienie, zapalając się tysiąckrotnym blaskiem, zabójczym fajerwerkiem pieczętując swoje odejście.

Zbyt krótko trwał ten spektakl, by przedrzeć się do umysłów ludzkiego mrowia krzątającego się wokół swoich codziennych spraw, skupionego na banalnych, bezpiecznych i powtarzalnych czynnościach. Nawet jeśli zmysły jakiegoś mniej zajętego owada, tej drobiny człowieczej w bezkresie kosmosu, spostrzegły kilkusekundową jasność, mózg zlekceważył bodziec, zaciągnął zasłony, zatrzasnął okiennice i nie dopuścił do reakcji, nie pozwolił, by taki drobiazg wytrącił organizm ze zdrowej rutyny.

W gęstym, nieruchomym powietrzu upalnej wiosny targowisko tętniło swoim życiem. Zlane potem ciała pląsały w swoistym tańcu, nie podnosząc oczu ponad poziom dłoni, które wymieniały towar na pieniądze, pieniądze na towar. Młodzi i starzy, zamożni i biedni, handlarze i klienci, porządni i wszelkiego autoramentu szumowiny, każdy z osobna i wszyscy razem skupiali się na zaspokajaniu swoich najprostszych potrzeb i interesów. Targowisko zapewniało im ten komfort, oferując każdy produkt, usługę, okazję czy prostacko pojmowaną przyjemność. Pomiędzy rozgrzanymi, blaszanymi budami, prowizorycznymi straganami albo rozłożonymi wprost na ziemi ceratami, wyłożonymi wszelkim tandetnym dobrem, krążyli otumanieni klienci, czujni kieszonkowcy, zuchwałe panienki i nieco dyskretniejsi chłopcy lekkich obyczajów. Tłum bzyczał jak muchy na porzuconej padlinie. Smród, hałas i gorączka tego rozedrganego miejsca skutecznie pochłaniały sygnały z zewnątrz.

W tym wrzącym kotle tylko jedna twarz pozostała wzniesiona ku górze. Tylko jedna para oczu z zaciekawieniem, ale też z niepokojem obserwowała nieboskłon. Mężczyzna stał nieruchomo, zastanawiając się, czy to, co ujrzał, było rzeczywiste. Mógł mieć przywidzenie, zważywszy na upał i chaos targowiska. Czekał na jakieś potwierdzenie, ale błysk się nie powtórzył. W końcu wzruszył ramionami i opuścił głowę. Pomyślał, że

wizja dwóch słońc na niebie to efekt zmęczenia, kilku niedospanych nocy spędzonych za kółkiem. Nie był już najmłodszy i nie był znowu taki twardy. Był wytrwały i nie brakowało mu sprytu, dlatego był dobry w swoim fachu. Potrafił przy tym obserwować ludzi i bezbłędnie odgadywać ich prawdziwą naturę. Ale twardy nie był. Dwa słońca! Też coś!

– Burza – przestraszył go starczy głos skrzeczący wprost do jego ucha.

– Co takiego? – Wyrwany z zadumy nie do końca zrozumiał.

– Będzie burza. – Kompletnie łysy staruch wzniósł powykręcany palec, zwieńczony zżółkniętym, krogulczym szponem. – Może nawet będzie to burza stulecia.

– E tam! – Machnęła ręką pulchna sprzedawczyni, stojąca za szerokim stołem zbitym z nieheblowanych desek. – To jak? Bierzesz pan te bułki?

– Biorę – potwierdził i dodał z uśmiechem: – Dzisiaj mam pasażerów. Pewien dzielny młodzian dotrzyma mi towarzystwa. Na pewno będzie głodny. Wezmę jeszcze drożdżówkę – zawahał się – i butelkę mleka. Niech mały ma…

– Osra się, ot co! – zaskrzeczał staruch. – Gówno się znacie na żywieniu.

– A poszedł won, dziadu! – krzyknęła sprzedawczyni. – Klienta mi płoszy, żebraczyna jeden.

– Tfu, taka twoja mać! – pogroził szponiastym palcem staruszek. – Głodnego nakarmić, powiedział Pan…

– Won! Ale już! – Zza pleców sprzedawczyni wyłonił się równie pulchny i okrągły na twarzy młodzieniec. – Słyszał?!

Staruch przezornie odsunął się od stoiska i wmieszał się w tłum.

– A dla pana zapakować? – przymilnie uśmiechnęła się grubaska i nie wiadomo skąd, wyciągnęła poplamioną tłuszczem papierową torbę.

– Zapakować – zgodził się mężczyzna, odwracając głowę w kierunku znikającego żebraka.

– Pan z daleka? – zagaiła uprzejmie.

– E tam! Rzut beretem. Ale daleko się wybieram.

– To będzie razem… – sprzedawczyni podliczyła zakupy i sprawnie przechwyciła podaną gotówkę. – Dziękuję i miłego dnia!

– Miłego! – Mężczyzna skinął głową w podziękowaniu.

Odwrócił się i rozejrzał po placu targowym. Wypatrzył łysą, błyszczącą głowę starca i ruszył w jego kierunku. Dogonił go po chwili i wetknął bułkę w brudną rękę.

– Nie jesteś stąd. – Dziad zmrużył wyblakłe oczy. – Nie mylę się?

– Nie.

– Coś się kroi. – Starzec wetknął do bezzębnych ust kawałek bułki i zaczął żuć z zadowoleniem. – Coś wisi w powietrzu.

– W porządku – uśmiechnął się mężczyzna. – Smacznego i na zdrowie!

Rozbawiło go to dziwne podziękowanie. Chwilę przyglądał się żebrakowi, który w milczeniu skinął głową i zatopił się w smakowaniu bułki, jakby miała być ostatnim posiłkiem w jego życiu. Zaczął się odwracać, by odejść, gdy dłoń starca zacisnęła się na jego łokciu.

– Zaczekaj – powiedział żebrak, przełykając kęs.

– Tak?

– Jesteś inny.

– Nie rozumiem – uśmiechnął się mężczyzna.

– No… Różnisz się od tych wszystkich… – Dziad wywrócił oczy i rozłożył ręce. – To bydło. Zwykłe śmierdzące bydło.

– Bo ja wiem? – Mężczyzna z zakłopotaniem podrapał się po głowie.

– Różnią się od zwierząt tym, że umieją mówić. Posłuchaj tylko, o czym chrzanią. Inne stworzenia przynajmniej milczą, kiedy trzeba. Zresztą… nawet krowy raz do roku gadają ludzkim głosem. W Wigilię. Od dawna nie obchodziłem Wigilii. Nikt mnie nie zaprasza. Świat zszedł na psy. A ty jesteś dobry, po prostu dobry.

– No… Muszę już iść.

– Ty pochodzisz stamtąd – staruch machnął ręka w niewiadomym kierunku. – Spod granicy. Wracaj zatem do domu i nie oglądaj się za siebie.

– Kiedyś…

– Zaprawdę powiadam ci, prawdziwa jest opowieść o Sodomie i Gomorze. To było zepsute miasto, grzeszne miasto. Zupełnie jak nasza zaszczana, prowincjonalna metropolia. Niebawem nie pozostanie tutaj kamień na kamieniu. Bądź pewien! – Dziad wyprostował się i uniósł palec w proroczym geście, któremu przeczył szkaradny, złośliwy uśmiech na jego obliczu. – Niestety, nie będzie mi dane oglądać tego pięknego widoku zniszczenia. Może to i lepiej. Ze wzruszenia mógłbym nie przeżyć takiego spektaklu.

– Naprawdę muszę już iść – powiedział mężczyzna z lekkim niesmakiem i uwolnił ramię z uścisku starca.

– Tak – pokiwał głową dziad – dziękuję za bułkę. Żołądek trochę mi się rozruszał. Wystarczy na kilka dni, z głodu nie umrę. Wiesz… tutaj ciężko żebrać. W tym mieście za darmo dają tylko kijem po grzbiecie.

– Jak wszędzie – stwierdził mężczyzna i wzruszył ramionami. – Przyszło nam żyć w trudnych czasach.

– Może. Ale najgorsze dopiero przed wami. Ja już nie doczekam. Tamten mnie wzywa. – Starzec wskazał palcem niebo.

Ten gest sprawił, że mężczyzna przypomniał sobie o błysku. Spojrzał uważniej na

żebraka i zapytał:

– Ty też to widziałeś, prawda?

– Widziałem wiele rzeczy – odparł starzec wymijająco – mniej lub bardziej podłych.

– Chodzi mi o ten rozbłysk. O tę jasność, która na chwilę…

– Jesteś bardziej szalony ode mnie – dziad poklepał mężczyznę po ramieniu – albo masz coś z oczami. Ja widuję jedynie białe myszy, zwłaszcza po spożyciu gównianego samogonu.

– Myślałem, że jesteś prorokiem czy kimś podobnym...

– Nie! – Bezzębne usta starca wykrzywił uśmiech. – Ja jedynie staram się zdobyć kawałek chleba. Niektórzy łapią się na moje parszywe opowiastki. Inni wręcz przeciwnie.

– I ja się złapałem?

– Wręcz przeciwnie. Życzę ci spokojnego powrotu do domu. Żegnaj.

Starzec potrząsnął łysą głową, poprawił swoje powycierane łachmany i odwrócił się. Po chwili pochłonął go tłum. Mężczyzna wzruszył ramionami, spojrzał na poplamioną tłuszczem papierową torbę i zacisnął na niej dłonie. Przedzierając się w kierunku wyjścia przez gęstniejącą ciżbę, pilnował swoich zakupów niczym najdroższego skarbu. Odruchowo błądził wzrokiem po mijanych straganach, aż nagle dostrzegł coś interesującego. Podszedł do blaszanej „szczęki" i zatrzymał niepewny wzrok na sprzedawcy. Szeroko uśmiechnięty, fircykowaty, starszy pan szerokim gestem zaprosił do oglądania towaru i zaszczebiotał:

– Witam szanownego pana! Cóś dla małżonki wybierzemy?

– Eeee… No…

Niezdecydowanie klienta w żaden sposób nie mogło zbić z tropu wirtuoza za ladą.

– Blondynka czy brunetka? – rzucił.

– Bardziej szatynka chyba…

– Też ładnie! O, te na przykład – handlarz wskazał krwistoczerwone korale – będą pasowały jak ulał.

– Bo ja wiem? – westchnął mężczyzna.

– Bo to, widzisz pan, najważniejsze, żeby kobita była zadowolona – zatrajkotał sprzedawca. – A jak do baby cóś nie pasuje, to i zła zaraz chodzi. Nocą trzeba samemu spać, a i pieniądze w błoto wyrzucone. Niech szanowny pan mi zaufa. Ja się na tym znam. I korale, i kobity nie mają przede mną tajemnic.

– Może i coś w tym jest – niechętnie zgodził się klient.

– A jaki kolor ócz ma szanowna?

– Błękitne.

– Pięknie. To do korali dorzucę tę broszę z azurytu. Ten niebieski kamień oprócz tego,

że ładnie wygląda, ma jeszcze właściwości lecznicze. Wzmaga koncentrację i ogólnie hm… pobudza. – Handlarz charakterystycznie poruszył brwiami i uśmiechnął się nieco lubieżnie.

– A prawdziwy ten kamień?

– Najprawdziwszy! – Sprzedawca przyłożył zaciśniętą pięść do piersi. – Przysięgam. Świeża dostawa z Chin.

– Z Chin?

– Zgadza się – mężczyzna z pełną powagą skinął głową – z Chin.

– Może znajdzie się coś… naszego. Bursztyn jakiś?

– Coś pan?! Kawałek żywicy dla kobity chcesz prezentować? Chyba, że to kochanka, to co innego.

– Żona.

– No widzisz pan.

– Ona zawsze chciała mieć kawałek bursztynu. Takiego z zatopionym komarem.

– Niestety – rozłożył ręce sprzedawca – podobnego towaru nie mam.

– Dobra, wezmę ten…

– Azuryt i korale. Małżonka będzie wyglądała jak jedna z tych malowanych panienek, co to w zespołach pieśni i tańca kręcą biodrami.

Mężczyzna mimowolnie wyobraził sobie kilka starszych pań, ubranych w kolorowe stroje ludowe, pląsających w rytm polki czy krakowiaka. Uśmiechnął się, zapłacił handlarzowi i po raz kolejny rozpoczął mozolną wędrówkę przez falujące morze ludzkich ciał. Kiedy kolejny raz minął znajomego sprzedawcę błyskotek, uświadomił sobie, że zgubił drogę wśród plątaniny rdzewiejących, bladozielonych „szczęk". Zagadnął przesadnie umalowaną dziewczynę, wystrojoną w zbyt ciasną sukienkę.

– Przepraszam? Nie wie pani, gdzie jest brama wjazdowa? Zdaje się, że zabłądziłem.

– Wiem gdzie jest całkiem niezły wjazd. – Dziewczyna wypluła gumę do żucia i podciągnęła kieckę opiętą na jej udach. – Za trzy dychy możesz tylko popatrzeć, jeśli chcesz. Godzinka jazdy i używania kosztuje tylko…

– Ech – machnął ręką mężczyzna – nie do końca o to mi chodziło.

– Ożż! Kurwa jego mać! – warknęła dziewczyna. – Nie o to mu chodziło, dziadowi jednemu!

– Przepraszam i do widzenia.

– Spierdalaj!

Wzruszył ramionami i szybko odszedł, czując na plecach wściekłe spojrzenie prostytutki.

W końcu przedarł się do wyjścia i wkroczył na zalany słońcem plac, zastawiony niezliczoną liczbą samochodów. Z kieszeni wyjął pomięty bilet, odczytał numer sektora

i stanowiska, po czym zdecydowanym krokiem ruszył ku najdalszemu krańcowi parkingu. Wiekowy, czerwony volkswagen passat kombi krył się w cieniu solidnych żelbetowych płyt, z jakich wykonano ogrodzenie całego targowiska. Z jednej strony, ta swego rodzaju forteca dawała realne poczucie bezpieczeństwa kupującym i sprzedającym. Z drugiej, solidny mur wytyczał granice tego mrowiska i nie pozwalał mu rozprzestrzeniać się dalej.

Mężczyzna pomachał do niebrzydkiej, dojrzałej kobiety siedzącej na tylnej kanapie wewnątrz passata, przysiadł na błotniku i zapalił papierosa. Sprawił sobie paczkę prawdziwych, markowych fajek. Zaciągnął się głęboko, wypuścił dym nosem i splunął. Gówniany towar. Nawet oryginalne papierosy były coraz gorsze. Obcasem buta zgniótł niedopałek, a do ust włożył skręta z tytoniu zasianego własnymi rękami. Pokiwał głową z zadowoleniem. Chłonął aromatyczny dym i obserwował tłum kłębiący się na drugim końcu parkingu. Zaciągnął się po raz ostatni, wyrzucił peta i wsiadł do auta.

– Powinieneś rzucić palenie – usłyszał czuły, kobiecy głos.

– Ja lubię palić – odpowiedział i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Silnik zaterkotał w sposób charakterystyczny dla starych diesli. Mężczyzna szybko zakręcił korbką, by zamknąć szybę. Smród spalonego oleju opałowego i tak przedostał się do wnętrza auta. Mógł sobie kupić lepsze auto, nowsze. Ale stary passat nie zwracał niczyjej uwagi. Setki takich wraków codziennie przemierzały nadgraniczne szosy i bezdroża.

– Długo cię nie było – kobieta odezwała się ponownie. – Niepokoiłam się.

– Niepotrzebnie – odparł uspokajająco i dodał: – Zamknij szybę po swojej stronie.

– Nie wiem – kontynuowała, zamykając tylne okno z pewnym wysiłkiem. – Kręci się tutaj mnóstwo ludzi.

– Teren jest pod stałą ochroną – stwierdził. – Mają pełen monitoring. Wiesz, dobro klientów jest najważniejsze... – dodał drwiąco.

– Klientów! – parsknęła. – Mam dość tego miasta. Tych ludzi.

– Nie jesteś przyzwyczajona, to wszystko – powiedział, odwracając się do niej z uśmiechem.

– Światowiec się znalazł! – rzuciła i też się uśmiechnęła.

– A co z… nim? – zmienił temat, zerkając na tylne siedzenie.

Przyciemnione szyby sprawiały, że wnętrze pogrążone było w przyjemnym półmroku.

– Zasnął, jak tylko poszedłeś na zakupy. Co tam właściwie masz?

– Takie tam – wyjął z torby korale i z zakłopotaniem podał kobiecie – dla ciebie.

– Wydajesz pieniądze na bzdury – skarciła go, ale w jej głosie nie było złości.

– Ciężko na nie pracowałem. Mam chyba prawo…

– Właśnie! – Przerwała mu i wychyliła się do przodu. Całując go, dodała: – Zbyt ciężko.

Spojrzał prosto w jej błękitne oczy. Nie niebieskie, ale właśnie błękitne. Wzruszył tylko ramionami.

– Możesz tego nie robić, przynajmniej, gdy cię całuję? – zapytała rozbawiona.

– Czego? – zdziwił się.

– Wzruszać ramionami w ten sposób. Zawsze to robisz, ilekroć nie masz nic do powiedzenia.

– Może akurat nie mam nic do powiedzenia – stwierdził z uśmiechem.

– Ruszajmy już – westchnęła kobieta i opadła na tylne siedzenie.

Auto nie drgnęło. Mężczyzna nadal uważnie spoglądał na żonę.

– Uważasz, że to nie w porządku, prawda? – powiedział wreszcie.

– Nie wiem. Nie jestem pewna. Może te procedury nie trwają aż tak długo – zwątpienie brzmiało w jej głosie.

– Bo ja wiem? Aleksiej twierdzi, że tak będzie lepiej dla chłopca. Rodzina już tam czeka i nowy dom...

– Równie dobrze my moglibyśmy... – zawahała się i łzy stanęły jej w oczach. – On jest taki... Taki cudowny.

Patrzył chwilę na dłoń żony głaszczącą śpiąca główkę i poczuł, że też chciałby sobie pozwolić na ten gest. Obydwoje tęsknili do dziecka, którego nie mogli mieć.

– Nie – powiedział twardo. – Wiesz, że tak nie można. Co najwyżej możemy go odwieźć z powrotem. Jakoś to wytłumaczę Aleksiejowi. On zrozumie. Oddamy dzieciaka…

– Aleksiejowi może tak, ale temu dziecku? Jak mu to wytłumaczysz? Jest mały, ale przecież coś tam rozumie. Ma jakieś uczucia...

– Ja też mam jakieś uczucia… – zawahał się na moment ...i ty. Dajmy temu spokój. Nie możemy zatrzymać tego dziecka i już.

Kobieta spojrzała na małego, najwyżej pięcioletniego chłopca, śpiącego na tylnym siedzeniu samochodu. Powstrzymując łzy, pokręciła głową i schowała twarz w dłoniach.

– Po prostu… – wyszlochała. – Jedź już.

Skinął głową i wrzucił bieg. Ostrożnie przejechał po nierówno ułożonych płytach drogowych, przed szlabanem oddał paragon parkingowy i włączył się do ruchu. Postanowił nadłożyć drogi i przebić się przez centrum. Tam patrole policyjne nie były tak liczne, jak na głównych drogach wylotowych z miasta. Newralgiczne szlaki komunikacyjne, prowadzące w kierunku stolicy oraz w drugą stronę – ku granicy z Białorusią, naszpikowane były mobilnymi posterunkami i punktami kontroli żandarmerii wojskowej. Samotny mężczyzna podróżujący z małym chłopcem mógł wzbudzić zainteresowanie mundurowych. Pytania o dziecko przewożone autem mogły okazać się nieco kłopotliwe. Obudzony przez policjantów lub wojsko chłopiec

najprawdopodobniej zacząłby płakać. Szybko okazałoby się, że kierujący autem nie jest spokrewniony z malcem. Kłopoty zaczęłyby się na dobre i na dłuższy czas mogły uniemożliwić powrót do domu. Konkretnie zaproponowano by mu jakieś pięć lat odsiadki za porwanie dziecka. Doszedłby do tego handel ludźmi, jakiś nadgorliwy prokuratorzyna mógł też wystartować z pomysłem sprzedaży chłopca jako dawcy narządów. Typowa rodzina dwa plus jeden wzbudzała mniejsze zainteresowanie organów prewencyjnych, chociaż zawsze było pewne ryzyko. W razie wpadki można było jeszcze próbować wręczyć łapówkę, ale wobec napiętej sytuacji na granicy…

Pisk opon i wściekłe trąbienie wyrwało mężczyznę z zadumy. Auto jadące przed nim zatrzymało się nagle, kierowca wysiadł i osłoniwszy ręką oczy, spoglądał na ulicę przed sobą.

– Wypadek – krzyknął w kierunku stojących za nim samochodów. – Jakiegoś bezdomnego potrącili. Objedziemy tą drogą za bazarem.

Mężczyzna przełknął ślinę i poczuł strach narastający w okolicy brzucha. Kiedy przejeżdżał obok miejsca zdarzenia, dostrzegł leżące samotnie zniszczone buty, które spadły ze stóp ofiary. Ktoś próbował reanimować potrąconego, ktoś inny owijał go w folię termiczną. Mężczyzna zdołał jeszcze dostrzec zakrwawioną łysą głowę i zniszczone ubranie dziada poznanego na targowisku. Nerwowo zerknął na licznik i zdjął nogę z pedału gazu. Zachowywał dozwoloną prędkość i wbijał wzrok w ulicę przed sobą. Centrum miasta przejechał maksymalnie skupiony na czynności prowadzenia auta. Dopiero kiedy minął tablicę z przekreślonym napisem „Białystok” i następną „Granica Państwa 50 km” odetchnął i rozłożył się wygodniej na fotelu. Włączył radio i z głośników popłynęła muzyka. Kojący, głęboki głos nieżyjącego piosenkarza śpiewał *What a wonderful world.*

Jechali w zupełnej ciszy, przerywanej czasem warkotem aut wyprzedzających passata. Manewrowi temu często towarzyszyło wściekłe trąbienie. Mężczyzna zdawał się nie zwracać na to większej uwagi. Podróżował swoim tempem, skupiony wyłącznie na czynności prowadzenia pojazdu. Głośniki nagle zaszumiały i zamilkły. Walnął otwarta dłonią w deskę rozdzielczą, ale radio emitowało tylko ciszę.

– Przepraszam – mruknął, bo uświadomił sobie, że hałas mógł zbudzić malca.

– Nic, nic. Śpi – odpowiedziała kobieta i dodała: –Możemy się gdzieś zatrzymać? Muszę do toalety.

Skinął głową i skręcił w najbliższy zjazd prowadzący na dużą, sieciową stację paliw. Ostatnią przed granicą. I tak planował się zatrzymać w tym miejscu. Tankować nie zamierzał. Podwójny zbiornik paliwa mieścił ponad sto litrów oleju napędowego, a w drodze powrotnej napełni go po białoruskiej stronie. Postanowił zabrać swoich pasażerów do małej restauracyjki znajdującej się przy budynku stacji. Dawali tam

całkiem niezłe żarcie za rozsądną cenę, więc stałymi gośćmi byli tutaj kierowcy ciężarówek i jeżdżący na handel do Polski nasi wschodni sąsiedzi. Zaparkował w cieniu i zaczekał, aż kobieta wysiądzie. Rozbudzony chłopiec trzymał się kurczowo jej ręki i rozglądał z przerażeniem dokoła.

– Toalety są dwie. Na stacji i w restauracji. Na tej pierwszej trzeba zapłacić, jeśli niczego się nie kupiło. Idziemy więc do knajpy. Stawiam obiad.

– Przypilnujesz go, kiedy pójdę się odświeżyć?

– Jak?

– Normalnie. Weźmiesz go za rękę, żeby czuł się bezpieczniej.

Mężczyzna spojrzał czule na malca, któremu w oczach zaczynały się kręcić łezki.

– Chodź, kolego – wyciągnął dłoń w stronę chłopczyka, który skwapliwie się jej uchwycił – pójdziemy na lody. Lubisz lody?

Chłopiec skinął głową. Mężczyzna poczuł ciepło dziecięcej dłoni i pomyślał, że to przyjemne. Wolnym krokiem ruszył w stronę restauracji, a malec spokojnie podążył za nim. Kobieta obserwowała ich przez chwilę z uśmiechem i poszła w tym samym kierunku.

Weszli do budynku restauracji i zatrzymali się w przedsionku.

– Toalety są na prawo – wskazał żonie kierunek.

– Doskonale znasz to miejsce, co? – zapytała z uśmiechem.

– Taka praca – odparł i wzruszył ramionami.

Spojrzał na oddalającą się żonę, potem przyjrzał się chłopcu. Przykucnął przed nim i niezdarnie zaczął poprawiać na nim ubranko.

– I co? – zapytał wesoło, zaglądając dziecku w oczy. – Gotów na wyżerkę?

Chłopiec uśmiechnął się i z zaciekawieniem przyjrzał się jego twarzy. Mężczyzna zastygł na moment w zadziwieniu. Tęczówki malca miały różne kolory. Jedno oko było niebieskie, drugie zielone. Ot, anomalia!

Podniósł się, ponownie chwycił chłopca za rękę i już miał wejść do sali restauracyjnej, gdy usłyszał odległą syrenę alarmową. Po chwili dołączyła do niej kolejna, i jeszcze jedna. Odwrócił się w stronę okna. Drogą przemknęły dwa transportery opancerzone, za nimi pojawiły się pojazdy straży granicznej. Nie zdążył ich policzyć, ale cała kolumna mknąca w kierunku przejścia granicznego mogła liczyć co najmniej dziesięć aut. Mężczyzna właściwie przestał być głodny. Pociągnął za rękę malca i wszedł do chłodnego, klimatyzowanego wnętrza. Niepokój wywołany widokiem kolumny na sygnale sprawił, że nie od razu zdał sobie sprawę z nienaturalnej ciszy we wnętrzu lokalu. Ludzie jedli w milczeniu, zerkając na wiszący na ścianie płaski telewizor. Marzył o takim cacku i postanowił kupić co najmniej pięćdziesięciocalową plazmę natychmiast po powrocie z Białorusi. Przestudiował menu, po czym podszedł do kasy

– Co to za film? – zapytał dziewczynę przyjmującą zamówienia.

– Jaki film? – zdziwiła się.

– W telewizorze. Wszyscy oglądają…

– To nie film. Coś się stało w kosmosie. Wybuchła gwiazda czy coś takiego…

– Interesujące – odruchowo zlekceważył medialną sensację.

– A słyszał pan, że wojska rosyjskie zbierają się nad granicą z obwodem kaliningradzkim? Nasze przejście w Bobrownikach też właśnie zamknęli. Niech pan zobaczy, ile ludzi wraca z terminala.

Rzeczywiście, na parking wlała się fala aut na polskich i białoruskich numerach rejestracyjnych. Ludzie wysiadali i zerkali na siebie niepewnie. Ktoś kogoś popchnął, jakaś kobieta dostała w twarz.

Mężczyzna odwrócił się gwałtownie, słysząc trzaśnięcie drzwi. Przy wejściu na salę stała jego żona z wyrazem niedowierzania na twarzy. Spojrzała mu w oczy, przeniosła wzrok na ekran telewizora i ponownie odwróciła się do męża. Jego mina wyrażała strach i konsternację. Poczuła się, jakby spoglądała w lustro. Targały nią te same uczucia. Podchodząc do ukochanego mężczyzny, szybko analizowała sytuację. Spojrzała na malca, który w jakimś przeczuciu grozy kurczowo trzymał dłoń tymczasowego opiekuna. Mały, zagubiony chłopiec, którego pokochała natychmiast, choć rozsądek się przeciw temu buntował, patrzył na nią z jakimś niemym oczekiwaniem. Wszystko wydało jej się absurdalne. Towar do przemycenia! Też coś!

– Chyba wracamy do domu – powiedziała. – Razem.

I uśmiechnęła się.

Rozdział 1

Kiedyś wszystko trafił szlag

Ten sen męczy mnie od dawna. I tylko ten sen pamiętam. Poza nim jest pustka i mrok. Nicość, w której pogrążałem się na zakończenie upojnego wieczoru, spędzonego ze zbyt dużą ilością alkoholu. Takich wieczorów było wiele, zbyt wiele. Zwykle nad ranem budziło mnie zimno, a przerażające, deliryczne drgawki sprawiały, że zwijałem się w kłębek, owijałem szczelnie śpiworem i próbowałem przetrwać ten atak. Najczęściej pomagała setka gorzały lub innego trunku. Wtedy z utęsknieniem oczekiwałem na nadejście Morfeusza – boga snu. Czasami nadchodził, a czasami nie. Jeśli zaciskanie powiek nie przynosiło efektu, to jeszcze przez moment cieszyłem się ciepłem śpiwora i rozmyślałem o gorącej kawie. Prawdziwej kawie z ziarna, niezwykle rzadkiej dziś przyjemności. Zrywałem się razem z pierwszymi promieniami słońca, które już od jakiegoś czasu przestało parzyć nasze ciała. Znowu dawało życie, a nie śmierć, bo śmierć panoszyła się na świecie wystarczająco długo. Dzień mijał szybko – zbyt szybko. Wykonywałem swoją pracę uczciwie, choć ostatnio bez serca, i kładłem się spać przy dogasającym ognisku, wśród karłowatych drzew lub w stercie śmieci. Wszystko zależało od okoliczności, w jakich zastała mnie noc. I czekałem na ten sen. Kiedy już traciłem wszelką nadzieję, budząc się co chwila z bronią gotową do strzału i nasłuchując odgłosów pustkowi, bóg nocnych marzeń wkraczał do gry i brał mnie w swoje objęcia. Wtedy pojawiała się ona. Jasnowłosa. Milcząca. Nieobecna. Myślałem o niej często.

Tej nocy również miałem jej obraz przed oczami. Obraz, który rozpadł się na setki kawałków, kiedy zbudził mnie jakiś szmer. Może była to nieuchwytna modlitwa, szeptana przez słodkie usta, dźwięk kroków stawianych małymi, bosymi stopami lub odległy krzyk. Niezwykle wysokie drzewa, strzelające w niebo niczym maszty żaglowca

ze starej pocztówki na ścianie, stały nieruchome, pełne nieziemskiego majestatu. Otaczała je mgła, zimna i przerażająca, wijąca się dokoła niczym żywe stworzenie. Wtedy dostrzegłem Jasnowłosą. Chciałem do niej podbiec, przytulić jej drobne ciało, wpić się ustami w jej usta, ręce zanurzyć w jej włosach. Coś mnie powstrzymywało. Ona? Poczucie winy? Gdybym wtedy wrócił na czas! Potrząsnąłem głową i schowałem twarz w dłoniach. Targnął mną niekontrolowany szloch, zaciśnięte powieki powstrzymywały łzy, a ona chyba znów szeptała swoją modlitwę… Podniosłem głowę, by jeszcze raz na nią spojrzeć. Jasnowłosa cały czas tam była, odwrócona do mnie plecami, zapatrzona w coś skrytego we mgle. Nagle z czterech stron świata uderzył wiatr. Porywisty, gwałtowny jak gniew szalonego boga. Rozwiał jej jasne włosy, targał białą, długą sukienką. Z góry sfrunęły suche liście, tańcząc bezładnie i nieskończenie pięknie. Zacisnąłem pięści i ruszyłem ku niej, z trudem pokonując atakującą mnie masę powietrza, która przybrała na sile, przemieniając się w prawdziwą, dziką nawałnicę. Przywarłem do pnia drzewa, lecz ono bezgłośnie implodowało, zapadając się w sobie i rozsiewając dokoła miliony wirujących drzazg. Ten sam los spotkał po chwili następne, kolejne i jeszcze jedno. W koronach drzew powstał wyłom, wpuszczający odrobinę światła. Jaskrawe i ostre słońce na moment mnie oślepiło. Nie widziałem już Jasnowłosej, błądzącej we mgle. Nie widziałem już nic.

Głowa opadła mi na twardą futrynę okna, przy którym zasnąłem. Pozwoliłem sobie odpłynąć tylko na moment, a i tak znów poczucie winy wróciło. Mój wzrok powoli przyzwyczaił się do półmroku panującego w pokoiku.

Świt wstał szybko. Pomarańczowa poświata leniwie rozjaśniła niebo, zamazane kształty powoli nabierały wyrazistości, temperatura wzrosła o kilka stopni. Pierwszy, nieśmiały promień słońca przedostał się przez szerokie, stalowe żaluzje i zatańczył na ścianie. Wirujące w powietrzu pyłki nagle stały się widoczne. Obserwowałem przez chwilę ich taniec, zastanawiając się, czy w tym chaotycznym na pozór ruchu nie ma jakiejś reguły. Odwróciłem w końcu głowę i spojrzałem na drobną blondynkę, śpiącą na małym, niewygodnym łóżku polowym. Jasnowłosą z mojego snu. Jej pierś unosiła się w płytkim, nieregularnym oddechu. Na rozpalonym czole błyszczały krople potu. Nieśmiało wyciągnąłem rękę i, wahając się przez chwilę, dotknąłem małej, dziewczęcej dłoni. Ta natychmiast zacisnęła się w piąstkę, jakby broniąc się przed czymś lub kimś. Wstałem powoli, starając się nie wywoływać najmniejszego hałasu. Tradycyjnie zabrzęczała znienawidzona przeze mnie sprężyna, kolana zaskrzypiały niemiłosiernie głośno, trzaśnięcie kości śródstopia zdawało się brzmieć niczym wystrzał z pistoletu. Stare, nieleczone kontuzje dawały o sobie znać. Martwiłem się, że te wszystkie hałasy wybudzą Jasnowłosą ze snu, jednocześnie modląc się, żeby tak się rzeczywiście stało. Pragnąłem ujrzeć jej otwarte oczy, chociaż zdawałem sobie sprawę, że ta chwila może

nigdy nie nastąpić.

Jeszcze raz zerknąłem na moją śpiącą piękność, delikatnie pogładziłem jej włosy i odwróciłem szachownicę stojącą obok łóżka. Od wielu lat grywałem sam ze sobą, udając, że to Jasnowłosa przemieszcza białe figury. Ja zawsze wybierałem czarne. Wykonałem jedyny możliwy ruch królem, którego białe pionki mogły w następnym posunięciu zaszachować. Sprawdziłem, czy pod poduszką, którą zdobiły rozsypane w nieładzie jasne włosy mojej śpiącej królewny, nadal znajduje się pistolet, po czym opuściłem pokoik i cicho zamknąłem za sobą drzwi. Wyczerpany nocnym czuwaniem oparłem się o drewnianą framugę. Czułem, że za moimi plecami znajduje się całkiem inny świat. Stokroć lepszy i wspanialszy, bo należący wyłącznie do tej jednej, śpiącej istoty. Bóg jeden wie, jak bardzo pragnąłem zająć jej miejsce. Wizja wiecznej wygody i bezpieczeństwa kusiła mnie coraz bardziej. Z drugiej strony, czy ta bezbronna dziewczyna naprawdę była bezpieczna? Czy odczuwała komfort i wygodę? Czy odczuwała cokolwiek?

Schowałem twarz w dłoniach i głęboko odetchnąłem. Zapłakałbym, gdybym umiał płakać. Umeblowałbym ten świat inaczej, gdybym potrafił. Zastrzeliłbym kilka osób, gdybym miał taką możliwość. Z tych trzech pozornie niewykonalnych zadań, ostatnie zdawało się najbardziej możliwe. Odruchowo dotknąłem wybrzuszenia pod skórzaną motocyklową kurtką i poczułem znajomy kształt, który wciąż znajdował się na swoim miejscu. Napawał otuchą, dawał nadzieję lub śmierć. Wszystko zależało od tego, na którym końcu tego znajomego kształtu się znajdowałeś. Jak dotąd zawsze miałem szczęście albo – po prostu – byłem szybszy. Znajomy kształt wiele razy uratował mi życie, zabierając w zamian inne. Taki los. Dlatego traktowałem go jak kogoś bliskiego i w końcu zacząłem go nazywać moim Wesołym Przyjacielem. Inny Wesoły Przyjaciel spoczywał pod poduszką Jasnowłosej, ot tak na wszelki wypadek, gdyby w obliczu zagrożenia jednak się obudziła, jednak powróciła do naszego świata.

Nagle poczułem czyjąś obecność. Jakaś wibracja, ruch powietrza wywołany przez poruszające się ciało zaalarmował mnie natychmiast. Otworzyłem oczy i spojrzałem prosto w szczerą, dobrą kobiecą twarz, pokrytą siateczką zmarszczek.

– Martwisz się? – zapytała stara kobieta.

– Jak zawsze.

– O nią się martwisz.

Nie odpowiedziałem. Nie musiałem. Babuszka znała mnie na wylot. Moje fochy i złości, moje szczęścia i radości wyczuwała na odległość. Teraz uśmiechała się, ale gdzieś w głębi duszy czułem jej smutek. Pochyliłem się i objąłem staruszkę. Uścisnęła mnie nadzwyczaj mocno i poklepała po ramieniu.

– Kiedyś to ja musiałam się schylać, by móc cię utulić – wymruczała. – Stawałeś wtedy

na palcach i podskakiwałeś. Byłeś takim małym dzikusem. Pamiętasz?

– To było tak dawno temu.

– Dawno – zgodziła się. – Jedziesz dzisiejszej nocy?

– Muszę – odsunąłem Babuszkę i popatrzyłem w jej zatroskane oczy.

– Kiedy wrócisz?

– Nie czekaj na mnie z kolacją – usiłowałem się uśmiechnąć.

– Uważaj na siebie.

– Zawsze to robię.

– Czy to kiedykolwiek się skończy? – westchnęła i wręczyła mi termos. – Szerokiej drogi.

– Dziękuję.

– Dziaduszka czeka na zewnątrz.

Skinąłem głową, zapiąłem kurtkę i nacisnąłem klamkę. W całym domu zawsze panował chłód, jednak na klatce schodowej był szczególnie dotkliwy. Grube mury chroniły nas przed słonecznym żarem w dzień, słabo absorbując ciepło. Nocą momentalnie się wychładzały i konieczne było ciągłe palenie w piecykach. Mieliśmy właśnie początek maja, choć pory roku nie miały już większego znaczenia, niczym się od siebie nie różniły. Natura dawno temu przestała być dla nas łaskawa. Ziemi nie sposób już nazwać matką, a co najwyżej macochą. Mieliśmy szczęście, że ten stary budynek przetrwał tyle lat bez najmniejszego remontu. Z użyciem jakich materiałów mielibyśmy go zresztą odnawiać? Solidna konstrukcja dała nam schronienie, specjalnie izolowane ściany uniemożliwiały jedynie słuchanie radia bez użycia zewnętrznej anteny. Niewielka strata, biorąc pod uwagę, że nikt nie nadawał od dwudziestu lat. W oczekiwaniu na lepsze czasy Dziaduszka skonstruował wprawdzie wysoki maszt i podłączył go do starego odbiornika, jednak sprawdzenie, czy ten zestaw działa, było niemożliwe. Osobiście nie spodziewałem się, bym miał kiedykolwiek usłyszeć płynące z głośnika słowa „Dzień dobry Polsko”.

Powoli, wlokąc się noga za nogą, zszedłem trzy piętra w dół. Mijałem ponure, odrapane ściany, pamiętające jeszcze stare, lepsze czasy. Ze spękanych schodów, wykonanych z betonu ze zbyt małą ilością cementu, po każdym moim kroku unosił się obłoczek pyłu. Ulotny jak życie. Dotarłem w końcu do solidnych, stalowych drzwi zewnętrznych. Naparłem barkiem, by otworzyć ciężkie skrzydło. Te ostatnie wrota bezpieczeństwa mogły na długo zatrzymać potencjalnych nieproszonych gości. W takim celu je zamontowaliśmy. Oby nigdy nie musiały spełnić swojego zadania. Zadarłem głowę i spojrzałem na okno, za którym męczona gorączką spała ona. Jasnowłosa.

– Zimno – usłyszałem głos dobiegający zza rogu budynku.

Dziaduszka przycupnął we wraku starej półciężarówki, której koła – o dziwo – zachowały jeszcze resztki powietrza. Pociągnąłem za klamkę i otworzyłem zardzewiałe, niemiłosiernie skrzypiące drzwi.

– Mogę się przyłączyć? – zapytałem.

– Naprawiłbyś ten samochód. Miałbym czym jeździć na plantację.

– Daj spokój. Tak jest bezpieczniej. Trzeba refleksu na ten brak dróg.

– Czy ja wiem? – mruknął staruszek i wetknął do ust niedopałek papierosa. Błysnął ogień i rozszedł się zapach kiepskiej jakości tytoniu. – Poradziłbym sobie. Kiedyś i z lokomotywą sobie radziłem.

– Racja. Ale lokomotywą nie musiałeś skręcać, omijać przeszkód i awaryjnie hamować.

– Niby tak – Dziaduszka wypuścił z ust kłąb dymu.

– Cholera, nie powinieneś palić tego świństwa – zakręciłem korbką, opuszczając szybę w drzwiach.

– Ja lubię palić – wykrzywił się dziadek i głęboko zaciągnął. – To jedyna przyjemność, jaka mi pozostała. Chcesz?

– Rzuciłem. Przecież wiesz.

– Co ja tam wiem?! I tak nikt mnie nie słucha.

– Ech – machnąłem ręką. – Nie możesz spać czy jak?

– Zostało mi mało czasu. Nie mogę go trwonić na sny.

– Przesadzasz. Przeżyjesz nawet mnie – zaśmiałem się.

– Wątpię. Akurat ciebie nie przeżyję. Tak mówią moje stare kości i tak podpowiada rozsądek. Którego tobie brak.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Obawiam się, że wiesz doskonale. Kompletnym idiotą przecież nie jesteś.

– No, to brzmi jak komplement.

Dziaduszka stęknął, odwrócił głowę i spojrzał mi prosto w oczy.

– Zdajesz sobie sprawę, że z nią jest coraz gorzej? – zapytał smutno.

– Lena, ona…

– Ona umrze – przerwał mi – to tylko kwestia czasu.

– Zawiozę ją do szeptuchy. Jak wrócę. Ostatnio jej pomogła… – odparłem bez przekonania.

– Gówno jej pomogła. Naparzyła ziół i odurzyła dziewuchę, co – w jej przypadku – niewiele zmieniło. Jej i tak nie ma tutaj, z nami.

– Przecież gorączka ustąpiła – próbowałem zaprzeczać.

– Na ile? Na godzinę, dwie? Tyle to i ja potrafię zdziałać.

– W takim razie pojadę do innej szeptuchy.

– Jakiej innej, mój chłopcze? Stara Zinaida to prawdopodobnie ostatnia zaklinaczka na świecie.

– Na znanym nam świecie – tak.

– Nie bądź śmieszny. Nie ma innego świata.

– Usiłuję być śmiertelnie poważny. Przez ostatnie dziesięć lat mi się udaje.

– Możesz zjeździć cały kraj i tak nikt jej nie pomoże. Zresztą… Nawet gdybyś znalazł jakiegoś medyka… Ona nie przeżyje takiej podróży.

– Nie będę jej nigdzie woził. Za odpowiednią cenę znajdą się chętni. Będą walić drzwiami i oknami. Trochę odłożyłem przez te lata.

– Obawiam się, że nie będziesz miał komu zapłacić. – Dobry, stary Dziaduszka próbował wyleczyć mnie ze złudzeń. – Łudzisz się, że w miastach przeżył jakiś lekarz? Prawdziwy lekarz? Pierwsze dziesięć lat po Rozbłysku mieli szansę przeżyć tylko ci, którzy byli przygotowani na wojnę. My tutaj mieliśmy znakomite warunki. Przetrwaliśmy. Teraz wszystko się odradza, zbiory nawet się udają, drzewa powoli odrastają. Ale pomyśl, ile lat minie jeszcze zanim wykształcą nowych lekarzy? I kolonistów jak na lekarstwo, a ty ich jeszcze szmuglujesz przez Bufor…

– Na ich wyraźną prośbę.

– Myślisz, że tam czeka ich lepsza przyszłość?

– Po tej stronie Bufora nie mają żadnej.

– Wiesz, kulka zarobiona w łeb wszędzie smakuje tak samo.

Spojrzałem na Dziaduszkę uważnie, uśmiechnąłem się i stwierdziłem:

– Ta rozmowa do niczego nie prowadzi. Nie będę ci przeszkadzał w oglądaniu wschodu słońca.

Cicho przymknąłem pokryte plamami rdzy drzwi i ruszyłem w kierunku niskiego budynku przerobionego na warsztat. Odciągnąłem solidne wrota i wpuściłem trochę słońca do środka. Blade światło zatańczyło na reflektorach furgonetki, pomalowanej w maskujące pustynne łaty. Opony z grubym, terenowym bieżnikiem prężyły się niczym łapy sfinksa, solidna kratownica zabezpieczała silnik i osprzęt przed nagłym spotkaniem z zabłąkanym zwierzęciem lub człowiekiem. Pancerne szyby chroniły przed pozostałymi niespodziankami. Wzmacniane wały przekazywały napęd na obie osie, a zawieszenie przerobiliśmy tak, by pojazd z łatwością poruszał się zarówno po trudnym, piaszczystym terenie, w lesie kikutów uschniętych drzew, jak i po pełnej wyrw i kolein asfaltowej drodze. Ciesząc oczy widokiem budzącego respekt pojazdu, podszedłem niespiesznie do tego stalowego potwora. W kieszeni namacałem kluczyk, otworzyłem drzwi i wdrapałem się do umieszczonej wysoko kabiny. Kluczyk wylądował w stacyjce, a moja lewa ręka na kierownicy. Głęboko wciągnąłem powietrze, czując zapach smaru, paliwa i metalu. Przekręciłem kluczyk i poczułem znajomą wibrację

rozgrzewającego się silnika. Tłumik szumiał i pluł dymem. Maszyna pracowała równo i cicho. Układ wydechowy wytłumiliśmy tak, by nawet z bliskiej odległości auto pozostawało jak najmniej słyszalne i – co za tym idzie – niezauważalne. Przynajmniej przez pewien czas. Z kieszeni starej skórzanej kurtki wyciągnąłem termos i odkręciłem pełniący rolę zamknięcia kubek. W moje nozdrza uderzył przyjemny zapach kawy zbożowej. Jedynej jaką mieliśmy. Właśnie trwał mój prywatny rytuał. Przełknąłem gorący płyn i odstawiłem termos. Brakowało mi papierosa, ale od miesiąca dzielnie trzymałem się bez wsparcia nikotyny. Zerknąłem na wskaźniki ciśnienia oleju i temperatury płynu chłodzącego. Podkręciłem gałkę ogrzewania i przyłożyłem rękę do kratki wentylacyjnej. Temperatura wzrosła nieznacznie, silnik pracował jeszcze zbyt krótko. Włączyłem na moment cztery halogeny dalekiego zasięgu, zamontowane na dachu. W warsztacie zrobiło się jasno jak w samo południe. Auto było sprawne pod każdym względem. Na nos wetknąłem stare okulary przeciwsłoneczne, wrzuciłem bieg i wyprowadziłem furgonetkę na nierówny podjazd. Betonowe trylinki zaprowadziły mnie aż pod samą bramę, wykonaną z czego tylko się dało, podobnie jak całe ogrodzenie otaczające ten stary kompleks.

Kiedyś znajdował się tutaj oddział badawczy jakiegoś instytutu, prowadzący doświadczalne hodowle nowych odmian roślin. Przynajmniej tak opowiadał mi Dziaduszka, a on na ogół wiedział, o czym mówi. Zatrudnił się w tym ośrodku jako młody chłopak. Pracował jako „złota rączka". Zmieniał żarówki, strzygł trawniki i pomagał w pracach terenowych. Wtedy poznał ją. Zgrabną laborantkę z ładną buzią, okoloną burzą brązowych włosów. Mieszkała w służbowej kawalerce na terenie leśnego kompleksu i od razu wpadła mu w oko. On skończył tylko technikum rolnicze, ale pani magister to nie przeszkadzało. Uwiódł ją dobrocią serca i autentycznym ciepłem, które z niego emanowało na wszystkich wokół. Kiedy wędrowali po odwiecznym borze, trzymając się za ręce, czuła, że znalazła swoje miejsce na ziemi. Przyjęcie ślubne urządzili na leśnej polanie. Ich miłość przetrwała wszystko, łącznie z kosmiczną katastrofą. Dziaduszka często z dumą powtarzał: „dobraliśmy się jak w korcu maku". Dziaduszka w ogóle był skarbnicą przysłów, które nie do końca były dla mnie zrozumiałe.

Cały kompleks ośrodka badawczego składał się z niewielkiego bloku mieszkalnego dla pracowników naukowych, zabudowań gospodarczo-technicznych i budynku, w którym kiedyś znajdowały się laboratoria. Ośrodek zamknięto zaraz po radykalnej zmianie władzy w Polsce i czymś, co Dziaduszka nazywał okrągłym stołem. Badania przerwano, część wartościowszego sprzętu wywieziono rządowymi ciężarówkami, pozostałe wyposażenie ośrodka powierzono opiece Dziaduszki, którego przeszeregowano na stanowisko dozorcy. Komfort posiadania państwowego etatu początkowo

rekompensował coraz mniejszą pensyjkę. W końcu listonosz przestał przynosić wypłatę, a pisma wysyłane na adres pracodawcy pozostały bez odpowiedzi i Dziaduszka musiał poszukać alternatywy. Zatrudnił się na kolei – głównym żywicielu wielu przygranicznych wiosek. Karierę rozpoczynał jako pomocnik, by po kilku latach założyć czapkę maszynisty. Wtedy poznał Aleksieja Fiodorowicza Mroczko, Białorusina prowadzącego interesy po obu stronach granicy. Jakie to były interesy, Dziaduszka nie wnikał. Czasem tylko podejrzewał, że Aleksiej może być szpiegiem czy kimś takim, ale specjalnie go to nie interesowało. *Miensze znajesz, krepsze spisz* jak mawiali sąsiedzi ze wschodu. Przewoził od czasu do czasu jakąś paczkę przez granicę i inkasował przyzwoitą, jak na tamte czasy, zapłatę. Sprzedawał też własnej roboty, całkiem niezłą nawiasem mówiąc, księżycówkę. Gdy zredukowano zatrudnienie na kolei i stracił pracę, zajął się przemytem na cały etat. Mroczko pozostał jego głównym zleceniodawcą i nawet się zaprzyjaźnili. Aż razu pewnego Białorusin zlecił przewiezienie przez granicę sieroty do krewnych z pominięciem długotrwałych formalności. Tego feralnego dnia świat legł w gruzach i chłopiec nie dotarł na miejsce. Znalazłem swoje przeznaczenie z Babuszką i Dziaduszką. Tego dnia miałem dużo szczęścia.

Zatrzymałem furgonetkę przed bramą i wygramoliłem się z szoferki. Odblokowałem specjalny mechanizm zapadkowy skonstruowany przez Dziaduszkę i odsunąłem potężne wrota. Dobrze naoliwione rolki bezszelestnie przesunęły się po prowadnicy, a moim oczom ukazała się zarośnięta dziką trawą, nierówna, leśna droga. Nie staraliśmy się jej szczególnie naprawiać ani uzdatniać. Kompleks w lesie miał wyglądać na opuszczony. Las chronił nie tylko nas, ale też plantację drzewek owocowych i warzyw zasadzonych nieopodal ręką Dziaduszki, i pieczołowicie przez niego doglądanych. Lata pracy w ośrodku nie poszły na marne. Kiedy tylko słońce stało się bardziej łaskawe i pośród uschniętych drzew wyrósł nowy, młody las, Dziaduszka urządził dla nas ten życiodajny ogród.

Wzmocnione i podwyższone zawieszenie świetnie radziło sobie na bezdrożach i auto bez problemów pokonało leśny trakt, dzielący nasza twierdzę od najbliższej utwardzonej drogi. W chmurze pyłu wpadłem na szeroką żwirówkę pośród uschłych drzew, nazywaną przez miejscowych „awtostradą". Docisnąłem pedał gazu i poczułem, jak przyspieszenie wgniata mnie w fotel. Z zadowoleniem poklepałem kierownicę i wbiłem wzrok w szlak przede mną. Wolałem uniknąć niespodzianki w postaci przewróconego pnia, który nagle znalazł się na środku drogi. Takie atrakcje jeszcze się tutaj zdarzały, a – jak to mawiał Dziaduszka – strzeżonego Pan Bóg strzeże. Nieco dalej, na głównej asfaltowej drodze, niebezpieczeństwo było innego rodzaju. Napady na samotnych podróżnych zdarzały się często, by nie rzec nagminnie. Bestialstwo i bezprawie były na porządku dziennym. Taka już jest kolej rzeczy, że czas apokalipsy

odsiewa plewy od ziarna, niekoniecznie pozostawiając ziarno. Dla kawałka suchego chleba syn zabijał ojca, mąż żonę, matka własne dziecko. Taki amok właściwie można zrozumieć i wytłumaczyć. Ale nie można przejść nad nim do porządku dziennego. Agresja zawsze rodzi agresję, a śmierć zawsze i nieodmiennie oznacza kolejną śmierć. Taki morał płynął z nauk Dziaduszki, który za wszelką cenę chciał przekazać mi chociaż fragment tego, na czym powinien opierać się świat. Nie na rzeziach i grabieżach, ale na czymś wręcz odmiennym, a zapomnianym. Na dobroci serca.

Muszę przyznać, że ten człowiek ulepiony był z zupełnie innej gliny niż nasi bliżsi lub dalsi sąsiedzi. Większość z nich nie przetrwała Rozbłysku, a ci, którzy jakimś cudem przeżyli… Cóż, los bliźnich interesował ich tyle co zeszłoroczny śnieg. Rozbłysk zweryfikował światopoglądy i zburzył przyjaźnie. Dziaduszka jakby to przewidział. Dbał o opuszczony ośrodek badawczy, mimo że nikt mu za to nie płacił. Czasem się śmiali, że to była ich dacza, taki domek letniskowy, gdzie spędzali dni wolne. Kiedy wydawało się, że wojna jest nieunikniona, zapakowali się z żoną do wysłużonego volkswagena passata kombi – sztandarowego auta przemytników – i wrócili na stałe do najbardziej odludnego miejsca, jakie znali. Chwilę później cały świat zapłonął. Ognisty smok stanął przed niewiastą, aby pożreć jej dziecię. I – do cholery – udało mu się, wbrew zapowiedziom wszystkich świętych pism tego świata. A Dziaduszka dał nogę. W ostatniej chwili zdążył też zabrać ze sobą mnie. Schował nas w jedynym znanym sobie miejscu, które mogło przetrwać pożogę, atak człowieka i dzikiego zwierzęcia, przy czym te dwa ostatnie przypadki trzeba traktować jako synonimy. Zarastające budynki zapomnianego przez ludzi ośrodka badawczego, leżącego gdzieś w środku lasu, miały tę niepowtarzalną zaletę, że ich podziemna część doskonale nadawała się do wykorzystania jako bunkier. Może zresztą w takim celu wybudowano dwupoziomowe piwnice, w których znajdował się generator, żelazne zapasy żywności i – cenniejsze niż wszystkie skarby świata – zasobniki z nasionami. Zapobiegliwość Dziaduszki uratowała nam życie, bo agregat był sprawny, żywność zachowała termin przydatności do spożycia, a nasiona wkrótce kiełkowały w donicach. W jednym z pomieszczeń ktoś zorganizował nawet składzik książek, które zostawały po kolejnych pracownikach naukowych. Piwnice oferowały nam pełen wypas i mieliśmy z niego korzystać przez kolejne dziesięć lat. A były to lata chude jak cholera.

* * *

Cienie wydłużyły się, niebo zrobiło się intensywnie czerwone, poprzetykane z rzadka niebieskimi nićmi obłoków. Taki zachód słońca wróżył nadejście silnego wiatru, który

mógł ze sobą przyciągnąć ciężkie, pełne deszczu chmury. Nie była to dla mnie wróżba zbyt pomyślna. Drogi, a właściwie leśne trakty, którymi zwykle podróżowałem, w ciągu kilku minut zmieniłyby się w rwące potoki. Nawet moje auto miałoby problem z przeprawą, a utknięcie w takim miejscu mogłoby skończyć się dla mnie co najmniej nieprzyjemnie. Na szczęście wyruszyłem wystarczająco wcześnie, by uciec przed ewentualnym oberwaniem chmury. Do zmroku i tak powinienem dotrzeć na miejsce, tam przeczekam ulewę i dalej będę kontynuował moją wycieczkę. Byle sprzyjał mi księżyc, byle noc była dla mnie łaskawa. Wybierając się na wycieczkę w dzień, ryzykowałem natknięcie się na białoruskich strażników granicznych, nieustannie pełniących służbę na Buforze. Dzieliło nas od tego tworu około pięćdziesięciu kilometrów.

Bufor! Cóż, kiedyś podobny twór istniał w jednym z zachodnioeuropejskich miast. Przynajmniej tak mi opowiadał Dziaduszka. Otóż ówcześni politycy podjęli decyzję o rozdzieleniu miasta na dwie części – wschodnią i zachodnią. W samym centrum metropolii wybudowano wysoki mur. W praktyce całe tamto państwo zostało rozerwane na dwie części. Nasz Bufor powstał tuż po Rozbłysku, w miejscu istniejącej od dawna granicy polsko-białoruskiej. Zaorany pas ziemi Białorusini zastąpili szańcem z betonowych płyt i zwojów drutu kolczastego, ciągnącym się przez setki kilometrów. W miejscach dawnych przejść granicznych umieszczono świetnie zaopatrzone i uzbrojone Strażnice, których załogi skutecznie zniechęcały amatorów wycieczek na drugą stronę Bufora. Nawet rozumiałem tę politykę, bo co to za granica, którą każdy zasraniec może przekroczyć w dowolnym miejscu i czasie. W pierwszych latach po Rozbłysku chętnych do takich wypadów było wielu. Wszakże wszystko, co zabronione, staje się niesamowicie atrakcyjne. Koszt osiągnięcia celu przestaje się liczyć, choćby cena była najwyższa, a konsekwencje przegranej śmiertelnie poważne. Wielu chłopków z tej i z tamtej strony próbowało szczęścia przy forsowaniu Bufora. Ci z polskiej strony szukali żarcia, ci z białoruskiej chcieli zbić kokosy na handlu bronią i puszkami z prowiantem. Większość i jednych, i drugich od dawna gryzie nadgraniczny piach. Kiedyś strażnicy wywozili trupy w nieznanym kierunku, później zaczęli grzebać nieszczęśników niedaleko muru. Zdziczałe psy i inne zmutowane ścierwa wykopywały ciała i rozwlekały dokoła gnijące szczątki. Wtedy zaczęto używać miotaczy ognia. Z odstrzelonego delikwenta pozostawała jedynie kupka popiołu i garstka zębów. Jeśli nieszczęśnik akurat miał zęby.

* * *

Wielki, zszarzały ze starości neon można było dostrzec z daleka. Przypadkowo dobrane żarówki, zamontowane na chybił trafił, słabo oświetlały plastikowe litery, reklamujące dawno nieistniejącą rafinerię. Stacja paliw jednak żyła. Ludzie się przemieszczali, paliwo się kończyło, zjeść też po drodze coś trzeba. Może nie witano klientów z otwartymi ramionami i w ukłonach, ale nikt tego specjalnie nie oczekiwał. Za to obsługa oczekiwała zapłaty, przede wszystkim zapłaty. Każdy, kto spodziewał się jakichś charytatywnych gestów, był idiotą, na ogół martwym idiotą.

Mimo że droga była pusta, wrzuciłem kierunkowskaz i zjechałem na parking wyłożony kostką brukową, wypłowiałą i popękaną. Zauważyłem dwa auta kombi zaparkowane obok siebie. Przez przyciemnione szyby niewiele można było dostrzec, ale sądząc po obciążeniu tylnego zawieszenia, oba wypakowane były aż po dachy. Ich kierowcy na sto procent szmuglowali towar przez Bufor.

Stację otoczono ogrodzeniem wykonanym z solidnych kawałków blachy, przyspawanych do kratownicy z grubościennych rur i kształtowników. Dystrybutory znajdowały się przed głównym budynkiem zaopatrzonym z tej strony jedynie w małe, pancerne okienko i obrotowy trezor. Jeśli nie miałeś akceptowalnych tutaj środków płatniczych, zawsze mogłeś zapłacić fantami. Poczynając od marchewki, a kończąc na kości foki. Obydwa artykuły były równie trudno dostępne. Na olej napędowy najczęściej wymieniano więc samogon, broń, amunicję i całe badziewie, jakie tylko można było znaleźć, ukraść lub zrabować. Koleś za pancerną szybą oceniał wartość fantów i uruchamiał pompę. Klient tankował paliwo, a jeśli go było stać, zamawiał specjalność szefa kuchni – ścierwo z mikrofalówki, po czym odjeżdżał w pokoju w siną dal. Czasami zdarzali się awanturnicy bez krzty wyobraźni. Tacy delikwenci wyciągali broń na Stacji, licząc na darmowe tankowanie i łatwy zarobek. Przeważnie zgarniali kulkę prosto w durny łeb. Ochrona obiektu składała się ze sprawnych zabijaków, którzy nigdy nie rzucali się w oczy. Obszarpany dziad zamiatający parking pod zgrzebnymi łachami skrywał pukawkę, w dodatku załadowaną. Koleś zmieniający koło w gracie zaparkowanym na samym krańcu placu w bagażniku miał karabin z lunetą i garść naboi. Co ciekawe, to samo koło przebijało się codziennie i historia powtarzała się cyklicznie, z dnia na dzień. Miejscowi wiedzieli, o co chodzi, podobnie jak stali klienci. Całe przedstawienie organizowane było wyłącznie przeciw obcym, różnego rodzaju szumowinom przemieszczającym się to tu, to tam w poszukiwaniu szczęścia: złodzieje, uliczna gangsterka, zwykłe oprychy szukające zaczepki z byle powodu i okazji do zdobycia paliwa i jedzenia. Ci ostatni pojawiali się coraz częściej.

Zaparkowałem auto tuż koło głównego budynku, trzasnąłem drzwiami i podszedłem do pancernego okienka. Natychmiast poczułem na sobie wzrok sprzedawcy. Rozpoznawszy mnie uśmiechnął się i machnął ręką. Kiwnąłem głową i obejrzałem

sobie towarzystwo siedzące pod połatanymi parasolami, reklamującymi jakiś dawno nieistniejący browar. Przy jednym z tandetnych, plastikowych stolików ogrodowych odpoczywała czwórka podróżnych. Przyjechali zapewne dwoma kombiarami zaparkowanymi na placu. Dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Zajęci byli pochłanianiem zawartości plastikowych talerzyków.

„Siostry i dwóch szwagrów" – pomyślałem, analizując podobieństwo obu dam.

Nie wyglądali podejrzanie, nie zauważyłem broni wystającej spod ubrań facetów. Wzruszyłem ramionami i podszedłem do szyby.

– Kopę lat, Kamyk – uśmiechnął się siwiejący, na oko pięćdziesięcioletni mężczyzna. Na klapie firmowej niegdyś koszuli nadal miał przypięty identyfikator. Koślawe litery informowały klientów, że mają do czynienia z Mańkiem. Jakby kogoś to obchodziło.

– Ehe – odkaszlnąłem. – Co u was słychać?

– Stara bieda. Paliwo się kończy, a dostawca jakby zapadł się pod ziemię.

– A ta cysterna z zeszłego tygodnia?

– Kurwa, to szuwaks z węgla brunatnego. Robią to gdzieś na południu. Tatko wziął transport na próbę. Zobaczymy, czy się przyjmie. Jeśli nie, to…

– Będzie lipa.

– Będzie dupa, a nie lipa – splunął. – Wkurwiony klient oznacza kłopoty. Paliwo dużo kosztuje.

– Myślisz, że ktoś przyjedzie z reklamacją?

– Ech, kiedyś były dwie świętości: Droga i Stacja. Została się tylko Stacja. Na drogach teraz bydło wyprawia takie brewerie, że szkoda gadać. Zresztą sam wiesz najlepiej.

– Nie boisz się chyba napadu? Ta dziupla jest lepiej chroniona niż… – zastanowiłem się chwilę. – Bo ja wiem?

– A co tu chronić?

– Nie przesadzaj. To ostatni przystanek przed przejściem. Nie wiem, czy po tej stronie Bufora jest większy lombard. Bez obrazy, Maniek.

– Nie ma się o co obrażać.

– Jest Tatko?

– Na zapleczu – powiedział i odruchowo machnął ręką za siebie. – Chłopaki już na ciebie czekają. Czuj się jak u siebie w domu.

– Nie boisz się?

– Czego?

– Że kiedyś obrobię tą budę – uśmiechnąłem się szyderczo.

– Frajerów trzymamy na dystans. Ty jesteś poważnym biznesmenem.

– Śmiechu warte. Dobra, idę.

– Właśnie przyjechał twój stary znajomy. – Maniek wskazał głową radiowóz

zajeżdżający pod jeden z dystrybutorów.

Umundurowany policjant nonszalancko wysiadł z auta, odkręcił korek wlewu paliwa, wetknął do środka pistolet dystrybutora i machnął ręką do Mańka, który westchnął i uruchomił pompę.

– Ten to dopiero czuje się jak u siebie w domu – mruknąłem.

Maniek wzruszył ramionami i nic nie powiedział. Nie musiał. Przedstawiciele nieistniejącego prawa rządzili się w tej zapadłej dziurze według własnych reguł. Ustalał je tankujący właśnie paliwo Szeryf. Nazywano go tak z wiadomych względów. Poznałem go dawno temu, kiedy po raz pierwszy robiłem „zlecenie" dla Tatki. Gliniarz zatrzymał prowadzoną przeze mnie ciężarówkę i w prostych słowach zażądał opłaty za przejazd, czyli łapówki. Obezwładniało mnie wtedy trzech gliniarzy i mieli trudności w wykonaniu swoich czynności. Do momentu, kiedy Szeryf zaczął mnie pałować. Po chwili cała czwórka okładała mnie blondynami. Mam krótką pamięć, ale krzywd wyrządzonych mnie lub moim bliskim nigdy nie zapominam. I nigdy nie puszczam płazem.

Odwróciłem się na pięcie i ruszyłem w kierunku mojego auta. Słońce właśnie skryło się za horyzontem. Pierwsze krople deszczu wsiąkały w ziemię, a ja miałem jakieś osiem godzin na zakończenie mojej wycieczki. Powinienem zdążyć. Ostatnio coraz częściej myślałem o naturze wszechświata. Doszedłem do wniosku, że jest niepoznawalna i nieodgadniona. Przede wszystkim zaś, jest nieposkromiona. Gdyby było inaczej… Zresztą, co za różnica. W takim świecie przyszło nam żyć. Może to kara? Może błogosławieństwo? Stary świat sprzed Rozbłysku chylił się ku upadkowi. Zdegenerowany i niebezpieczny. Ten świat musiał zostać zniszczony. Przynajmniej takie było zdanie Dziaduszki. A on wiedział, co mówi. Zazwyczaj.

Warkot auta wtaczającego się na parking przerwał moje jałowe dywagacje. Niewielka, zdezelowana półciężarówka zatrzymała się obok przeładowanych kombi. Jej silnik pracował równo na wolnych obrotach, pasażerowie, kimkolwiek byli, pozostali w środku, chronieni przez przyciemnione szyby. Zastanowił mnie basowy pomruk, wydobywający się z rury wydechowej. Zupełnie nie pasował do przerdzewiałego nadwozia, chyba że tak właśnie miało być. Odwróciłem się ponownie i powoli ruszyłem w kierunku tankującej się radiolki.

– Dzień dobry – odezwałem się do Szeryfa, który właśnie zapalił papierosa.

– Czego? – rzucił, nawet nie zaszczycając mnie spojrzeniem.

– Chodzi o tę półciężarówkę. Wydaje mi się, że jej załoga szykuje skok na te dwa kombi – wskazałem za siebie.

Gliniarz powoli odwrócił się i wydmuchnął w moją stronę kłąb papierosowego dymu.

– Tak?

– Właśnie.

– A co ty, kurwa, wróżka jesteś?

– Nie. Wydaje mi się, że mógłby pan to sprawdzić. Przeciwdziałać…

– Gówno mnie to obchodzi – policjant spojrzał mi prosto w oczy. – I ciebie też to powinno gówno obchodzić. Twoją uwagę o przeciwdziałaniu puszczę mimo uszu ze względu na Tatkę. Ale pouczenie dostaniesz. Przypominam, że jest to już drugie pouczenie w twoim życiu. Trzeciego nie będzie. Dostaniesz pałą między oczy. Pamiętasz, jak boli pocałunek starej, dobrej policyjnej blondyny? Z twojej miny wnioskuję, że nadal czujesz mrowienie na plecach. I spuść swój pierdolony wzrok. Wiesz, że nienawidzę hardości. Zwłaszcza w stosunku do władzy i zwłaszcza ze strony takich pętaków jak ty.

Posłusznie opuściłem głowę i zacząłem oglądać własne buty. Na wypolerowane pantofle gliniarza nawet nie śmiałem spojrzeć.

– Teraz zabieraj swoją dupę i bierz się do roboty. Nawet Tatko nie toleruje darmozjadów, choćby nie wiem jak utalentowanych. Ja tu jestem władza. Zapamiętaj to. Ja tu decyduję, czy ktoś planuje napad, gwałt czy sraczkę. Beze mnie nie dzieje się tutaj nic. Już kiedyś rozmawialiśmy na ten temat. Prawda?

– Prawda – odpowiedziałem cicho.

– Dobra, wyjazd!

Szeryf chwycił odbijającą końcówkę, powiesił ją koło dystrybutora i wsiadł do radiowozu. Uruchomił silnik, przez okno wyrzucił niedopałek szluga. Wrzucił bieg, zawrócił i powoli przejechał koło półciężarówki, machnął do jej kierowcy i skręcił na drogę. Po chwili już go nie było. Dudnienie półciężarówki ustało.

– Hej, Kamyk. Długo jeszcze mamy czekać – usłyszałem znajomy głos.

Przez małą furtkę w ogrodzeniu oddzielającym zaplecze Stacji od ogólnodostępnej części parkingu wyglądała pociągła twarz.

– Idę, Długi. Idę – westchnąłem i ruszyłem w jego kierunku.

Stalowe drzwi zatrzasnęły się za mną i natychmiast poczułem zapach tlącego się grilla.

– Masz ochotę na kiełbachę?

– Z czego?

– No coś ty! – żachnął się Długi. – Żadna psina. Świnki z hodowli Tatki. Prima sort. Mówię ci.

– Dobra. Mogę się skusić.

– Ot, łaskawca.

Muszę przyznać, że kiełbasa była przepyszna. Prawdopodobnie nawet pasztetowa z kreta wydawałaby się pyszna po zdrowym, rosnącym w szklarni Dziaduszki

pożywieniu, które nazywał mądrze suplementacją diety. Do dupy z taką dietą. Prawdziwe żarcie chrząkało w dziaduszkowym chlewiku i miało na imię Knurek, chociaż było świnką. Dziaduszka hodował ją na święta, chociaż nie za bardzo wiadomo na jakie, bo Knurek miał już swoje lata i rezydował w chlewiku, odkąd pamiętam.

– Nad czym tak myślisz? – zapytał Długi, przewracając kiełbaski.

– Ech… – westchnąłem. – Są sytuacje i problemy wymagające dłuższego zastanowienia.

– Można ich unikać. Tych sytuacji i problemów.

– W zasadzie… Może i masz rację – spojrzałem na Długiego nieco zdziwiony jego logiczną wypowiedzią. Chudy i wysoki jak tyczka w niczym nie przypominał brata, niskiego i okrągłego Kuleczki, który właśnie wyłonił się z przepastnego zaplecza Stacji.

– Siema Kamyk – rzucił grubasek.

– Ma się – odpowiedziałem.

– Znów zadzierasz z Szeryfem?

– E tam…

– Wiesz, on nie darzy cię zbytnią sympatią.

– Ha! ha! ha! – zaśmiał się Długi, pokazując szczerbate zęby. – Sympatia, to dobre… Ha! ha! ha!

– Ten bydlak mógłby zacząć wykonywać swoje obowiązki – wycedziłem.

– Obowiązki? – zdziwił się Kuleczka. – A jakie on może mieć obowiązki? Zresztą to nieistotne, dopóki nie wchodzimy sobie w drogę.

– Skoro już o tym mowa, to jaką macie umowę? Odpalacie mu część fantów czy jak?

– Kamyk – pokręcił okrągłą główką grubasek. – Jeśli cię to interesuje, to zapytaj Tatkę.

– O co? – Podobny do beczki miodu, na oko sześćdziesięcioletni mężczyzna wytoczył się w ślad za Kuleczką. – O co niby miałbyś mnie zapytać?

– O interesy z Szeryfem – uśmiechnął się Kuleczka. – Kamyk najwyraźniej interesuje się szczegółami.

– Doprawdy? – pojedyncza, pozioma zmarszczka pojawiła się na czole Tatki.

– To nie tak…

– Płacimy ci dobrze, może nawet zbyt dobrze. Nie rozumiem więc twojego zainteresowania sprawami, które nie powinny cię obchodzić. Kupuję od ciebie towar, otrzymujesz godziwą zapłatę, więc nie rozumiem, w czym problem. Chcesz więcej, czy jak?

– Możemy przejść do interesów? – Uznałem, że lepiej skończyć śliski temat.

Tatko wahał się przez moment, spojrzał na Długiego i Kuleczkę, po czym skinął głową.

– Zapraszam do mojego gabinetu.

Przeszedłem obok grubaska, celowo trącając go ramieniem. Nie zareagował i nie

przesunął się nawet o milimetr. Bez słowa podążałem za Tatkiem, bezbłędnie omijającym pudła i palety pełne najróżniejszych towarów, składowanych w zaciemnionym zapleczu, będącym w rzeczywistości dwupiętrowym magazynem. Przy czym te dwa piętra sięgały w głąb ziemi. Pieczołowicie powiększana i rozbudowywana Stacja mogła zapewnić przetrwanie na długie lata lub – w razie potrzeby – stać się warowną twierdzą, którą można by zdobyć jedynie za pomocą ataku z powietrza. Samolotów i helikopterów nie widziano na niebie od dwudziestu lat, więc Tatko i jego dwaj synowie wiedli spokojny żywot, handlując paliwem i dobrem wszelakim. Zawsze ciekawiło mnie, czy biorą pod uwagę możliwość utraty tego interesu życia i popadnięcie w skrajną nędzę. Postanowiłem zapytać o to mojego zleceniodawcę, który właśnie wskazał mi krzesło w małej kanciapie, będącej jego biurem i centrum dowodzenia.

– Siadaj – powiedział uprzejmie. – O co ci właściwie chodzi? O szeryfa?

– Między innymi o niego.

– Cóż ci mogę powiedzieć? – zaplótł grube rączki na wysokości brzucha i wzruszył ramionami. – Nie wiem, czy muszę cokolwiek ci tłumaczyć. Przekonaj mnie, że masz jakiekolwiek prawo do zadawania pytań.

– Ten bydlak z odznaką właśnie skazał na śmierć czwórkę podróżnych, którzy zostawili u ciebie swoją własność, wymieniając ją na paliwo i żywność.

– Tak obchodzi cię los czwórki nieznajomych?

– „Obchodzi” to niewłaściwe słowo. Bardziej wkurwia mnie powszechna znieczulica.

– No, kurwa, Kamyk – okrągła twarz Tatki wykrzywiła się w coś, co miało być uśmiechem. – Sorry, ale taki mamy klimat. W takim świecie przyszło nam żyć. Albo się dostosujesz, albo giniesz. W jaki sposób, to kwestia trzecio- a nawet czwartorzędna. Z głodu, na skutek pobicia, gwałtu, potrącenia przez auto czy zjedzenia przez jakieś poczwary błąkające się gdzieś na pustkowiach. Słyszałeś najnowsze wieści? Ponoć te mutanty zapuszczają się coraz dalej na cywilizowane tereny.

– Tę dzicz nazywasz cywilizacją?

– A to dobre. Ktoś taki jak ty mówi o cywilizacji. Ale, wracając do tematu, czego właściwie chcesz? Mam na dziś ustawioną robotę, a ty teraz wyprawiasz takie szopki. Nie drażnij mnie, bo zacznę szukać innego przemytnika.

– Życzę powodzenia.

– Nie prowokuj! – rzucił Tatko gniewnie. – I nie udawaj mi tu świętego!

– Spokojnie! Przecież cię nie osądzam! – powiedziałem dla złagodzenia sytuacji.

– Ja myślę! Nigdy nie byłem i nie będę święty.

– Nawet święci czasem umierają – zauważyłem ponuro.

– I co to niby miało znaczyć?

– Bo ja wiem – wzruszyłem ramionami. – Takie przemyślenie bez związku z tematem naszej rozmowy.

– Bierzesz robotę czy nie?

– Biorę. Być może po raz ostatni.

– Słyszałem to już kilka razy.

– Moja groźba kiedyś się spełni. Nie boisz się tego?

Tatko nie odpowiedział. Zajęty był oglądaniem własnych paznokci.

– No dobra. Kto to jest? – zapytałem.

– Kobita z córką.

– Wiek?

– Mamcia to rycząca czterdziecha, a córa – bo ja wiem? Gówniara.

– Stawka razy dwa.

– Niezły żart.

– Zauważyłeś, żebym się śmiał? Niańcząc dwie cizie, dużo ryzykuję. Wiesz o tym.

– Mogę dorzucić co nieco – burknął Tatko.

– Stawka razy dwa.

– No, kurwa…

– Wóz albo przewóz.

– Możesz odebrać w naturze. Mamcia zrobi wszystko, jak przyłożysz jej lufę do głowy. Gówniara też niczego sobie, jeśli wolisz. Możesz też obie…

– Wóz albo przewóz.

– Naprawdę nie mogę…

Rozdział 2

Za Buforem

Mamuśka była naprawdę niezła. Miała nie więcej niż trzydzieści pięć wiosen, ale lata głodowania i nieustannego pilnowania własnych czterech liter zrobiły swoje. Ładną kiedyś twarz zdobiły zmarszczki, a pojedyncze pasemka siwych włosów szpeciły piękne niegdyś, czarne włosy. Nie ciemnoblond czy kasztanowe, ale właśnie czarne jak noc. Za duże i znoszone, ale czyste ubranie maskowało kobiece kształty, a czapka z daszkiem, wciśnięta głęboko na głowę, zasłaniała jej oczy. Aż trudno było uwierzyć, że siedząca obok niej drobna, najwyżej dziesięcioletnia blondyneczka o niezwykle jasnej cerze to jej córka. W swojej karierze widziałem wiele takich dzieci, urodzonych i wychowanych w norach pod zgliszczami świata, który jedynie ich rodzice jeszcze oglądali na własne oczy. Większość z tych małych bękartów nowej ery nigdy nie zaznało ciepła i miłości. Każde poznało, czym jest obojętność, strach i nienawiść. Żadne nie umrze śmiercią naturalną. Może dzięki temu pokolenie Rozbłysku jest takie silne. Silniejsze od nas – śmieci starego świata. Odwróciłem głowę i spojrzałem na dziewczynkę, która niedługo rozpocznie życie w trochę innej rzeczywistości. Ruiny będą takie same, głód nieco mniej dokuczliwy, a ludzie przyjaźniejsi. No, chyba że matka i córka trafią do burdelu, w którymś z dużych miast. Wtedy głód stanie się przeszłością, a kontakty z innymi ludźmi ograniczają się do… Zresztą sami wiecie, o jaki kontakt mi chodzi.

– Mamo – mała odezwała się nagle.

– Tak? – odpowiedziała cicho kobieta.

– On się na mnie gapi.

– Oj, Zu.

– Ciekawe imię – mruknąłem. – Zu. To skrót od „Zupełny brak rozumku”?

– Nie! – mała zacisnęła piąstki. – Mam na imię Zuzanna.

– Kochanie – uciszyła ją matka. – Nie przeszkadzaj panu.

– Nie szkodzi. Taki ze mnie pan jak… Nieważne.

– Zuzanna – powtórzyła dziewczynka. – Mam na imię Zuzanna.

– Słyszałem panno „Zupełny brak rozumku”.

Kątem oka dostrzegłem, że kobieta uśmiechnęła się i pogłaskała małą po głowie. Typowa matczyna reakcja, która dla mnie była wyłącznie pustym, niepotrzebnym gestem. Ja wystrzegałem się go jak ognia.

– Jestem Anna – usłyszałem cichy głos.

– W porządku – skinąłem głową i zapatrzyłem się w asfalt umykający przed światłami reflektorów.

– A pan… To znaczy…

– Tak?

– Może byłoby zręczniej nam rozmawiać, gdybym znała twoje imię.

– Wątpię. Pojawiłem się w twoim życiu tylko na chwilę. Rano już mnie nie będziesz pamiętać. Nawet nie powinnaś mnie pamiętać. Tym bardziej ona – wskazałem na małą.

– Rozumiem.

– Poza tym nie musimy rozmawiać. Nie płacą mi za deliberacje.

– A za co ci płacą?

– Za dowiezienie towaru na miejsce. W miarę bezpiecznie i w jednym kawałku.

– Więc jesteśmy dla ciebie tylko towarem? – odwróciła głowę w moją stronę. – Słyszałam, że tacy jak ty nie mają żadnych ludzkich uczuć.

– Jak już mówiłem, nie płacą mi za czcze gadki. Za posiadanie uczuć też nie.

– Sam zacząłeś rozmowę.

– Nie. To mała Zu zaczęła rozmowę.

– Dziwny jesteś.

– Dziwny?

– Aha.

Skupiłem się na drodze i nie kontynuowałem tego dialogu.

– Anno – odezwałem się po dłuższej chwili, bo zauważyłem coś w dużej od nas odległości.

– Słucham?

– Mam do ciebie prośbę – zacząłem spokojnym, rzeczowym tonem. – Za chwilę będę musiał się zatrzymać. Wysiądę, ale wy zostaniecie w aucie. Widzisz ten guzik? Wciśniesz go, jak już będę na zewnątrz.

– Ale w jakim celu mam go wcisnąć?

– On blokuje drzwi – tłumaczyłem cierpliwie. – W ten sposób, gdyby coś poszło nie tak, być może uratujesz życie swoje i córki. Przynajmniej na jakiś czas.

– Nie rozumiem, co mogłoby pójść nie tak? O czym ty mówisz? – zaczęła trochę panikować.

– Mamo, mamo! Co to jest? – Zuzanna wskazała na auto leżące w rowie.

– Ona już wie, o czym mówię – uśmiechnąłem się i wdusiłem hamulec. – Wiesz, co masz robić.

Wysiadłem, nie gasząc silnika, i usłyszałem znajome „klik-klak" rygli zamykających drzwi.

„Grzeczna dziewczynka" – pomyślałem, włączając latarkę. Palce drugiej ręki zacisnąłem na chłodnej okładzinie uchwytu mojego pistoletu. Wesoły Przyjaciel mógł tej nocy być potrzebny. Powoli okrążyłem wrak, który zgodnie z moimi przewidywaniami okazał się passatem kombi, widzianym kilka godzin temu na parkingu Stacji. Tak jak podejrzewałem, pojazd został zepchnięty z drogi, i to dość brutalnie. Zmasakrowane drzwi po stronie kierowcy wisiały na resztkach zawiasów, szyba pękła albo została wybita. Poświeciłem do wnętrza auta, pełnego szklanych odłamków i innych śmieci. Ciał pasażerów nie było, nie dostrzegłem też śladów krwi. Zaglądanie do bagażnika właściwie nie miało sensu. Znalazłbym tam tylko odrobinę pyłu i kurzu. Bagaże na pewno zniknęły. Podróżnicy najwidoczniej przeżyli, choć nikomu nie życzyłbym ich losu. Kobietę pewnie sprzedadzą do burdelu, a faceta czeka ciężka praca do końca jego dni. Miałem tylko nadzieję, że drugi passat zdołał uciec swoim oprawcom. Wzruszyłem ramionami i wróciłem do furgonetki. Zastukałem w szybę, wywołując pisk przerażenia moich dwóch klientek, wsiadłem do szoferki i ruszyłem w dalszą drogę.

– I jak? – zapytała Anna.

– Nijak – odpowiedziałem, wrzucając bieg. – Dobrze, że nie uciekłaś razem z moim autem.

– Nie umiem prowadzić…

– Tym bardziej cieszę się, że nie musiałaś siadać za kierownicę.

– Co tam się stało? – dopytywała Anna. – Z tym samochodem w rowie?

– Wypadek. Może złapali gumę, może strzelił im rozrząd. To porzucony wrak, nie warto się nim teraz zajmować.

– Skoro tak mówisz...

– Anno.

– Tak?

– Teraz mam do ciebie drugą prośbę. Za chwilę zjedziemy z głównej drogi. Będziemy podróżować przez zupełne pustkowie, zapomniane przez Boga i ludzi. Jak już opuścimy asfalt, będziesz musiała się zamknąć. Twoja córka również. Rozumiesz?

Zrozumiała. Kiedy koła zadudniły na nierównej żwirówce, wygasiłem zegary i wbiłem

wzrok w nierówną linię, jaką wyznaczała smuga świateł reflektorów. Niedługo pustkowia ustąpią miejsca kikutom drzew, ciągnącym się przez dziesiątki kilometrów w dwie strony od drogi, a będących kiedyś zielonymi płucami tego kraju. Najbliższe sto lat zajmie naturze odbudowanie tego, co kosmiczna siła zniszczyła w zaledwie jeden dzień. W miarę zbliżania się do Bufora suchy las stawał się coraz gęstszy, coraz bardziej nieludzki. Kiedyś Dziaduszka pokazywał mi książkę ze zdjęciami miejsca zwanego Tunguską, gdzie w odległej przeszłości prawdopodobnie spadł meteoryt lub inne radioaktywne gówno. Teraz, patrząc na rozciągające się dokoła hektary suchego lasu, miałem tamten widok przed oczami. Poczułem dreszcz strachu i niepewności. Bez pancerza w postaci karoserii furgonetki nie miałbym odwagi wybrać się na spacer w tej okolicy.

– O! – mała wskazała palcem punkciki świecące w ciemności. – Świetliki. Jak w tej bajce…

– Anno, zamknij jej buzię – sapnąłem. – Coś ci mówiłem na ten temat. A to nie są świetliki, tylko coś bardzo nieprzyjemnego dla niegrzecznych, małych dziewczynek. Dla tych dorosłych też.

– Przepraszam – szepnęła kobieta.

– W porządku – odpowiedziałem i zgasiłem halogeny, światła drogowe i mijania.

Właśnie minęliśmy głaz, który kiedyś oznaczyłem fluorescencyjną farbą. W tym miejscu należało opuścić nieźle utrzymaną żwirówkę i zagłębić się w las. Od tej pory musiałem polegać wyłącznie na słabej poświacie, jaką dawały światła postojowe. Na szczęście ich blask wystarczał, by dostrzec namalowane przeze mnie, bijące w oczy fluorescencyjne znaki. Kilka kilometrów przed Buforem zgaszę także i te lampki, ostatnią część podróży pokonując wyłącznie z pomocą własnej pamięci.

Moje pasażerki nie odzywały się do momentu, gdy zatrzymałem auto, zgasiłem silnik i otworzyłem drzwi.

– Co robisz? – szepnęła mi w ucho Anna, kurczowo chwytając moją rękę.

Spojrzałem prosto w jej oczy, ledwie widoczne w ciemności, i położyłem palec na jej ustach. Poczułem przyśpieszony oddech. Bała się. Wskazałem na przednią szybę. Suchy las ustępował miejsca wykarczowanemu pasowi zaoranej ziemi i betonowemu murowi, ciągnącemu się setki kilometrów na północ i południe, zwieńczonemu zwojami drutu kolczastego. Tylko, że w tym miejscu i w dziesiątkach innych przemytniczych przejść, żelbetowe przęsła zastąpione były drewnianymi płytami imitującymi beton. Nawet ich kolor, stalowoszary z zielonkawym nalotem, nie różnił się od barwy muru. Strażnicy nigdy nie odkryli tych przejść, a nawet jeśli im się udało, to nakryci na gorącym uczynku amatorzy szmuglerki raczej nie byli w stanie przekazać informacji dalej. Kulka w głowie skutecznie odbiera ochotę na wszelkie dyskusje. Mogłem tylko mieć nadzieję, że tym

razem również będę miał szczęście. A ze mną obie moje panie. Ten fart pewnie kiedyś się skończy, a może jednak dotrwam do emerytury. Przynajmniej taki miałem plan.

Wysiadłem z furgonetki i wsłuchałem się w ciszę. Porykujące w oddali bestie mogły mi już skoczyć. Nie podchodziły tak blisko Bufora, nie zbliżały się do pasa nagiej ziemi, usianej minami. Mogły wyczuwać niebezpieczeństwo, ale bardziej prawdopodobne, że kilka z nich zostało rozerwanych na kawałki i pozostałe wolały nie opuszczać suchego lasu. Miny przeciwpiechotne, którymi naszpikowano przygraniczny pas, to paskudne zabawki, ale śmiertelnie skuteczne. Sam kiedyś o mało nie wyleciałem w powietrze podczas rozminowywania dojazdu do jednego z przejść. Chyba nawet do tego, które właśnie zamierzałem przekroczyć. Z furgonetki zabrałem mały łom i za jego pomocą podważyłem przęsło. Uchyliłem je i w powstałą w ten sposób szczelinę włożyłem głowę. Rozejrzałem się uważnie i odetchnąłem z ulgą. Teren był czysty. Gdyby nie był, od tej pory paradowałbym bez głowy. Wymontowałem drewnianą płytę, wróciłem do auta i przejechałem przez Bufor. Ponownie zatrzymałem furgonetkę kilka metrów dalej. Wróciłem do muru, tym razem uzbrojony w grabie. Dokładnie usunąłem ślady kół po naszej stronie Bufora, zamontowałem fałszywe przęsło i dokończyłem grabienie. Białoruscy strażnicy patrolowali tylko swoją część Bufora, za murem rolę wartowników pełniły miny. Kiedy skończyłem grabienie, pozostała mi jedynie zmiana tablic rejestracyjnych na miejscowe i kontynuowanie wycieczki. W końcu wróciłem do auta, przetarłem oczy wierzchem dłoni, uruchomiłem silnik i ruszyłem przez suchy las.

Dokładnie po trzech kilometrach natrafiłem na starą drogę przeciwpożarową, która łączyła się z kolei z rozjeżdżoną żwirówką. Tutaj mogłem już włączyć światła i odprężyć się. W tumanach kurzu minąłem puste sioła, okupowane jedynie przez zdziczałe psy, i wpadłem na starą drogę P47, ciągnącą się z Prużany do Świsłoczy, dalej łączącą się z trasą P99 i dawnym przejściem granicznym w Bobrownikach. Po kilkunastu minutach spokojnej jazdy dotarłem na przedmieścia Świsłoczy. Autem zarzuciło, kiedy ostro zahamowałem przed obskurną kamienicą. W jednym z okien świeciło się światło z trudem przebijające się przez grube zasłony.

– To tutaj – oznajmiłem moim paniom. – Wasza podróż dobiegła końca.

– Tutaj? – z niedowierzaniem zapytała Anna.

– Tak. W tym miejscu poczekacie, aż wyrobią wam nowe papiery. Dadzą nową tożsamość. Później przerzucą was do innego miasta, wsi. Gdziekolwiek, byle dalej od tego miejsca.

– Mamo, czy oni mi zmienią imię? Czy tam mają szkoły? – Zuzia potarła zaczerwienione z niewyspania oczy. – Mamo, nie chcę się inaczej nazywać. I obiecałaś mi, że będę chodzić do szkoły.

– Dobrze, kochanie – westchnęła kobieta. – Weź swój plecaczek. Wysiadamy.

– Zaczekaj – powiedziałem, trąc czoło. – Pojedziemy gdzie indziej. Jest jeszcze jedno miejsce.

– Nie rozumiem. Dlaczego to miejsce nagle nie jest dobre? – Anna spojrzała mi prosto w oczy.

– Bo nie, kurwa – warknąłem. – Pojedziemy gdzie indziej.

Przeciąłem Świsłocz, trzymając się głównej drogi i na końcu miasta skręciłem w wąską asfaltówkę, będącą skrótem prowadzącym do głównej awtostrady P99. Nieomal przegapiłem skręt do jednego z malutkich chutorów, jakich pełno w tych okolicach. Ostrożnie przejechałem wąską ścieżyną, wyciętą wśród drzew i w akompaniamencie ujadających psów zajechałem pod solidną bramę. Zgasiłem auto i wysiadłem. Dopadła mnie chęć zapalenia papierosa. Odruchowo sprawdziłem kieszenie, choć i tak wiedziałem, że nie znajdę nawet niedopałka. Splunąłem i oparłem się o maskę furgonetki. Pozostało mi jedynie czekać. Nie miałem zbyt wiele czasu, bo niebo już zaczynało nabierać niebieskawej barwy, a ja wolałem podróż pod osłoną nocy. Taka już jest przemytnicza natura.

Z zadumy wyrwało mnie szczęknięcie małej klapki w bramie. W otworze pojawiła się lufa, a nieprzyjemny głos zapytał:

– Czego?

– To ja, Kamyk.

– Kamyk?

– Tak.

– Jesteś sam?

– Nie.

– Acha. Zaczekaj.

Lufa zniknęła, a klapka zamknęła się. Po chwili uchyliła się ponownie i usłyszałem inny głos. Kobiecy.

– Kamyk? To naprawdę ty?

– Ja.

– Skaranie Boże z tobą!

Brama zgrzytnęła i uchyliła się na tyle, by przepuścić moją furgonetkę. Ostrożnie wjechałem na teren chutoru, kierowany światłem latarek. Jedna z nich oślepiła mnie, kiedy wysiadłem z auta.

– To nie jest przytułek – oznajmił znajomy, kobiecy głos. – Sporo ryzykujemy.

– Wiem, wiem.

– Ty zawsze swoje. Cholera, kiedyś sprowadzisz na nas śmierć.

– Ale jeszcze nie teraz – wyszczerzyłem się w uśmiechu.

– Widzisz w tym coś zabawnego?

– Oj, Sonia, Sonia. Jesteś upierdliwa jak zawsze. Nie zaprosisz nas do środka? Jesteśmy zmęczeni. A im na pewno burczy w brzuchach – wskazałem na moje pasażerki. – O interesach pogadamy później.

– Żeby cię… – odpowiedział po chwili głos i latarka przestała mnie oślepiać. – Zaprowadź je do jadalni.

– Dziękuję – ukłoniłem się.

– Błazen.

Anna miała niewiele bagażu. Cały dobytek jej i małej Zuzi mieścił się w starej walizce na kółkach i plecaku. Lepszy taki majątek niż żaden. I przynajmniej nie trzeba dużo dźwigać.

– Co to za miejsce – szepnęła Anna, kiedy mieszkańcy chutoru dali nam chwilowo spokój.

– Tutaj się wami zaopiekują. Sonia to moja dobra znajoma.

– Sądząc po waszej rozmowie, nie mówisz mi całej prawdy.

– No coś ty… – rzuciłem drwiąco.

– Nie wiem. Pewne rzeczy nie mieszczą mi się w głowie.

– Przywykniesz.

– Gdzie mamy iść? – zapytała Anna zrezygnowana.

– Za mną – oznajmiłem i ruszyłem przez ciemność.

Na szczęście ktoś wpadł na świetny pomysł i włączył światło. Cały chutor był jednym ekosystemem, którego mieszkańcy dbali o siebie nawzajem, żywili i bronili w razie potrzeby. W ten sposób szanse na przeżycie wzrastały. Zawsze żałowałem, że podobne wspólnoty nigdy nie powstały po naszej stronie Bufora. Więcej ludzi mogłoby przetrwać, doczekać końca apokalipsy, o ile ten koniec kiedykolwiek nastąpi.

– Widzę, że czujesz się tutaj jak u siebie – zagadnęła mnie Anna, kiedy usadowiłem ją razem z córką w jadalni.

Sonia krzątała się, przygotowując szybki posiłek, a ja wyciągnąłem się na wytartym fotelu sporych rozmiarów. Zmęczenie nocną jazdą w końcu mnie dopadło.

– Ja nigdzie nie jestem „u siebie” – mruknąłem.

– Wiem już jak masz na imię – powiedziała Anna wesoło.

– Nie wiesz.

– Kamyk.

– To nie jest moje imię – odparłem i dodałem: – Muszę się zdrzemnąć. Soniu, zabaw rozmową swoich gości.

– Zabawię, a jakże – odpowiedziała gospodyni, stawiając na stole tackę z kanapkami. – A później porozmawiam sobie z tobą.

– Jeśli zdążysz. Nie mogę zostać zbyt długo. Właściwie to już powinienem ruszać.

– Pojedziesz, kiedy ja ci pozwolę! – Sonia wzięła się pod boki. – Czy to jasne?

– Jasne – odpowiedziałem i spojrzałem na nią z uwagą.

Miała nie więcej niż trzydzieści lat i twarz nastolatki – taki dziwny typ urody. Dwa grube warkocze blond włosów opadały na wojskową kurtkę narzuconą na koszulę nocną, którą kiedyś przez moment miałem ochotę zdjąć z jej właścicielki. Wyglądało, że ona ma jeszcze większą ochotę, bym to zrobił, ale obraz Leny, który pojawił się natychmiast pod zamkniętymi powiekami, skutecznie mnie zniechęcił. Następnego ranka już mnie nie było. Sonia w głębi serca nigdy mi tego nie wybaczyła, chociaż była twardą kobietą. Twardą kobietą z twarzą nastolatki.

– Musisz zobaczyć się z Aleksiejem – powiedziała twarda kobieta. – Rozpuścił wici. Nie wrócisz tej nocy za Bufor. Możesz się wyspać do woli.

* * *

Szlaban powędrował w górę, a uzbrojony po zęby ochroniarz ze straży przemysłowej machnął ręką. Skinąłem głową w podziękowaniu i powoli wjechałem na teren starej wytwórni biopaliw. Fabryka od dawna niczego nie produkowała, posiadała za to rozległe magazyny, dysponowała cysternami i solidnym ogrodzeniem. Kiedy mijałem odrapany biurowiec, nad którym górowały pozostałości wielkiego, czerwonego neonu z literami LUK, drogę zagrodził mi kolejny ochroniarz.

– *Boss choczet tiebia widiet* – powiedział, kiedy opuściłem szybę.

Zaparkowałem furgonetkę, zgasiłem silnik i, bawiąc się kluczykami od stacyjki, pchnąłem skrzypiące drzwi wejściowe do recepcji. W środku zastałem dwóch obwieszonych bronią drabów, pełniących funkcję sekretarek.

– Ja do bossa – zaanonsowałem się i oddałem Wesołego Przyjaciela.

– *Ja znaju* – jeden z ochroniarzy powiedział coś do trzeszczącej krótkofalówki i wskazał mi ścianę.

Każdy, kto miał spotkanie z bossem, musiał przejść rewizję. Wejście z bronią przed jego oblicze było niewykonalne. Może dlatego ten człowiek żył tak długo. Podszedłem do ściany, a jeden z ochroniarzy sprawnie mnie obszukał. Po chwili otrzymałem przyjacielskie klepnięcie w ramię.

– *Maładiec* – uśmiechnął się drugi goryl i wskazał mi klatkę schodową.

W tym budynku niestety nie działała winda albo korzystał z niej tylko boss, więc byłem skazany na wspinaczkę na piąte piętro na własnych nogach. Kiedy pokonałem ostatnie dziesięć stopni, poczułem delikatną zadyszkę. Minąłem kolejnych uzbrojonych drabów i dotarłem w końcu do obitych blachą drzwi. Obok nich, przy biurku zawalonym

stosami papierzysk, siedział człowiek o najbardziej nieprzyjemnym wyrazie twarzy, jaki kiedykolwiek widziałem. Zerknął na mnie zza grubych okularów i skinął głową. Wiedziałem, że pełnił funkcję księgowego i nadzorował wszystkie transakcje. Od niego zależało, czy delikwent otrzyma kredyt, czy będzie musiał w trybie natychmiastowym spłacić należności, czy też ma się wynosić w cztery diabły. Istniała jeszcze jedna możliwość – kulka w łeb, ale trzeba mieć wyjątkowego pecha lub być skończonym idiotą, by zasłużyć na tę ostateczną karę. Jednak księgowy był tylko pracownikiem, choć wyjątkowo zasłużonym i sumiennym, z którego zdaniem liczył się boss. Pan i władca tego interesu nazywał się Aleksiej Fiodorowicz Mroczko i był jednym z najbardziej przyjaznych ludzi, jakich znałem. A znałem ich niezbyt wielu, po obu stronach Bufora.

Aleksiej urzędował przy olbrzymim, krystalicznie czystym i absolutnie pustym biurku. Kołysał się na typowym fotelu prezesa i popalał cygaro. Aleksiej uwielbiał cygara. Nawet bardziej niż młode dziewczęta, które czasem u niego widywałem. Później przepadały jak kamień w wodę, ale cóż… takie jest życie.

– A, Kamyszka! – boss uśmiechnął się szeroko. – *Priwiet*!

– Dzień dobry, Aleksieju Fiodorowiczu.

– Co tam u ciebie?

– Stara bieda. Głodno, chłodno i w dupę twardo.

– Typowy Polaczek – pokiwał głową mężczyzna i wypuścił kłąb dymu. – Może *cigareta* chcesz?

– Rzuciłem.

– O! Co tym razem przywiozłeś? – zapytał tonem przyjacielskiej pogawędki.

– To, co zawsze – rzuciłem lakonicznie. – Z powrotem wziąłbym trochę paliwa.

– Detalista! Mógłbyś zarobić kokosy na handlu hurtowym. Nie myślałeś o tym?

– Aleksieju Fiodorowiczu, proponujecie mi przemyt na wielką skalę za każdym razem, kiedy u was jestem.

– I ty za każdym razem odmawiasz. Oj, Kamyszka, Kamyszka. Nie rozumiem ja ciebie. Albo ty *durak*, albo… Sam już nie wiem. To, jak to z tobą jest?

– A jak, Aleksieju Fiodorowiczu, wolicie?

– I to mi się w tobie podoba, Kamyszka – mężczyzna wyszczerzył zęby w niezwykle szerokim uśmiechu.

Zawsze zastanawiało mnie, ile są warte złote korony i mosty w jego szczęce. Pytać nie zamierzałem.

– Słuchaj… – boss wypuścił kolejny kłąb dymu.

– Tak?

– Widziałeś coś takiego? – Aleksiej położył na biurku kolorowy papierek.

– Wygląda jak rubel – odparłem.

– Bo to jest rubel. Nowy rubel. Świeżo wydrukowany. Przywiózł mi jeden towarzysz z Mińska. Co ty na to?

– Ładny – powiedziałem, nie dotykając papierka. – Po co mi to pokazujecie?

– Czeka nas denominacja czy jak to się tam nazywa.

– U nas też kiedyś była denominacja. Jeszcze przed tym wszystkim. Przed Rozbłyskiem. Dziaduszka mówił, że to nic strasznego.

– Niby tak, ale… Wiesz, ci z Mińska planują także inne zmiany.

– Aleksieju Fiodorowiczu, chyba nie…

– Obawiam się, że tak... – Boss spochmurniał. – Wiedziałem, że ten czas kiedyś nastąpi.

– Nie będzie tak źle. Emerytura w jakiejś rządowej daczy i tak dalej.

– Słuchaj Kamyszka – Aleksiej sięgnął do biurka, wyjął butelkę z ciemnym płynem i dwie szklanki. – To dwudziestoletnia whisky.

– Na specjalne okazje?

– E tam, mam tego dziesięć palet w magazynie. To z ostatniego przemytu przed Rozbłyskiem. Chcesz, to dam ci skrzynkę. No spróbuj.

Podniosłem szklaneczkę, powąchałem i umoczyłem usta.

– Niezłe. Prawie jak samogon Dziaduszki.

– Właśnie. Przez wzgląd na niego muszę cię ostrzec, że jeśli stąd odejdę, skończy się wymiana towarowa. Nie wiem, kto przyjdzie na moje miejsce, ale na pewno będzie miał swoich ludzi i swoje interesy. Nie będziesz miał taryfy ulgowej i bez gotówki nie załatwisz paliwa.

– Śmierdzi mi tu waszą *razwiedką*. Czy to pewne?

– Pewne – Aleksiej jednym haustem wychylił zawartość szklanki. – Pewne jak cholera.

– Więc ta meta będzie już spalona.

– I ta, i każda inna. Oni wszędzie wsadzą swoich ludzi. Nie znajdziesz innego dostawcy.

– Z kimś się dogadam.

– Przewiduję, że od razu cię odstrzelą. Domyślam się, kim jest osoba, która chce położyć łapę na całym handlu w tym kraju. I to nie jest byle harcerzyk. Ale to zupełnie inny temat.

– Może władze jakoś się dogadają. W końcu minęło tyle lat… – zagadnąłem tonem pocieszenia.

– Jakie władze? – zapytał drwiąco. – U was w tej chwili istnieje jedynie jakaś szczątkowa państwowość, nie mówiąc już o strukturach rządzenia. Ktoś tam gdzieś wysadził głowę z bunkra i próbuje szpanować. Partnerem do rozmów może być tylko realny i silny człowiek władzy, będący na wyciągnięcie ręki.

– Chyba nie chcesz robić interesów z Białym Miastem? Maksymilian to najbardziej podła i kłamliwa kreatura pod słońcem.

– Maksymilian to śmieć. A z kim robię interes, nie twoja sprawa - uciął.

– Po co właściwie chciałeś się ze mną widzieć? – przeszedłem do konkretów.

Aleksiej Fiodorowicz spojrzał na mnie uważnie. Milczał dłuższą chwilę, po czym ponownie napełnił szklaneczki.

– Mam dla ciebie jednorazową propozycję roboty. Ciężkiej roboty. Być może niebezpiecznej.

– Znasz odpowiedź.

– Nie jesteś ciekaw, co to za fucha? Ani trochę?

– No dobrze. Zamieniam się w słuch. Z czystej ciekawości.

– Mam pociąg i trzeba go przeprowadzić przez Bufor.

– Co? Jaki pociąg? – Starałem się nie wyglądać na zaskoczonego, ale mi nie wyszło.

– Dwadzieścia cystern z olejem napędowym – powiedział Aleksiej, obserwując mnie z rozbawieniem.

Bez słowa gapiłem się na whisky w szklaneczce. Ten trunek nawet zaczynał mi smakować.

– Dwadzieścia cystern – powtórzył Aleksiej.

– Słyszałem. Ale ja nie jestem ani samobójcą, ani maszynistą.

– Nie potrzebuję maszynisty, potrzebuję człowieka do obsługi bocznicy i stanowiska przestawczego.

– No tak! Przeklęta różnica w rozstawie torów! Kilka centymetrów sprawia, że prozaiczne przetoczenie pociągu z jednej strony granicy na drugą staje się trudne do wykonania. Jeśli nie niemożliwe. O ile nasze są węższe? Chyba o jakieś 9 centymetrów.

– Dziewięć i pół – sprostował Aleksiej. – Dlatego właśnie rozmawiam z tobą, a nie z jakimś Józkiem z Koziej Wólki.

– Właściwie to powinieneś rozmawiać z Dziaduszką. On był maszynistą. Zna się…

– On już się nie nadaje do tej roboty – wycedził boss. – Doskonale o tym wiesz. Jest za stary – to wszystko. A ty… Na pewno cię nauczył swojej roboty, znam go.

– Znałeś. Minęło wiele lat, ludzie się zmieniają.

– Podejmujesz się czy nie? – zapytał wprost.

– Są sprawy techniczne… – wahałem się.

– Podejmujesz się czy nie? – cisnął Aleksiej.

– W mój fach jest wpisane pewne ryzyko – zacząłem. – Nie istnieją bezpieczne szlaki, na straż graniczną można się natknąć dosłownie wszędzie, o każdej porze dnia i nocy. Gdyby złapali mnie z konserwami i paliwem, może udałoby mi się wykupić. Gdybym przemycał ludzi, pewnie zapuszkowaliby mnie na długie lata, o ile bym przeżył takie spotkanie. Za narkotyki od razu strzelają w łeb. A za cały pociąg nielegalnego paliwa?... Nie potrafię sobie nawet wyobrazić takiej operacji, nie mówiąc o jej przeprowadzeniu.

– Straży granicznej nie musisz się obawiać.

– Akurat ich obawiam się najbardziej – zauważyłem.

– Zupełnie niepotrzebnie. Oni będą obstawiać ten transport.

– No właśnie!

– Nie zrozumieliśmy się – powiedział boss z uśmiechem. Odczekał chwilę i dodał: - Oni będą wiedzieli o tym pociągu.

– I nie kiwną palcem? Nie chce mi się w to wierzyć.

– Mało tego! Kilku będzie oddelegowanych do ochrony składu. Będą do twojej dyspozycji.

– Więc straż graniczna jest w to zamieszana? – pokręciłem głową z niedowierzaniem. – Może w końcu otworzą nam granicę?

– To nigdy nie nastąpi – odpowiedział Aleksiej Fiodorowicz, puszczając ładne kółko z dymu. – Granica z Polską nigdy nie zostanie otwarta.

* * *

Potężną wieżę obserwacyjną można było dostrzec z daleka. Z bardzo daleka. Kiedyś przebijała się przez korony drzew, górując nad okolicznymi terenami. Obecnie ten samotny, celujący w niebo stołb był milczącym świadkiem upadku cywilizacji po obu stronach granicy. Bez względu na upływ czasu Strażnica trwała, zmieniali się tylko ludzie na orlim gnieździe tej ostatniej ostoi prawa i porządku. Obcego prawa i obcego porządku. Po polskiej stronie Bufora piach od dawna pokrywał gruzowiska pozostałe po terminalu granicznym. Znaki informujące o zakazie ruchu i obecności pól minowych ozdabiały pobocza głównej drogi prowadzącej do byłego przejścia granicznego i odstraszały ewentualnych amatorów pieszych wędrówek po nadgranicznym pasie. Analfabeci i ignoranci wylatywali w powietrze zaraz po zejściu z głównego szlaku lub – jeśli mieli wyjątkowe szczęście – docierali do samego Bufora, gdzie wypatrzeni przez Strażnika na wieży otrzymywali kulkę między oczy. Zawsze zastanawiało mnie, kto umieścił te znaki i kiedy? Nieistniejące już wojsko polskie? Od dawna martwi funkcjonariusze straży granicznej? Całe szczęście, że znajdowałem się po drugiej stronie granicy, gdzie raczej nie groziło mi trafienie przez Strażnika czy nadepnięcie na minę. Nie było powodu, by zabraniać dostępu do Bufora ludziom mieszkającym po tej stronie. Tylko idiota podjąłby się wyprawy do Polski, a nawet gdyby taki się znalazł, jego powrót nie wchodził w grę. Zresztą po cóż uczciwy człowiek miałby się wybierać do tego zapomnianego przez Boga i ludzi kraju. Dlatego też, kierując się wprost na wieżę strażniczą, nie zwracałem większej uwagi na znaki zakazujące wjazdu na teren

dawnego terminala i tabliczki ostrzegawcze z napisem wykonanym cyrylicą, informującym, że pas nadgraniczny ciągnący się wzdłuż granicy wyłączony jest z ruchu. W końcu dotarłem do potężnej bramy, zwieńczonej kłębem drutu kolczastego. Kiedyś było to jedyne oficjalne przejście graniczne w promieniu dwustu kilometrów. Zaspawane dawno temu.

Widok podpierającego bramę młodego pogranicznika, trzymającego kałasznikowa równie niedbale co fason, wywołał na mojej twarzy grymas, który od biedy można by uznać za uśmiech. Strażnik prawdopodobnie wziął mnie za miejscowego dostawcę albo za zbłąkanego wędrowca. W każdym razie spojrzał na mnie z wyższością i splunął pod nogi. Jako młody pogranicznik mógł nie znać pewnych zasad, które obowiązywały ludzi stojących po dwóch stronach szlabanu. Mógł nie wiedzieć, że pod kurtką ukrywam Wesołego Przyjaciela, który aż rwie się do nauczenia kultury parszywych oberwańców, wystrojonych w niewiele warte mundury. Pusty łeb strażnika mógł nie dopuszczać do siebie myśli, że oto ktoś wyjmie broń, wyceluje i pociągnie za spust z tego błahego powodu, że jakiś zbyt pewny siebie obszczymurek właśnie pogardliwie splunął. Ludzie ginęli z o wiele głupszych powodów. Wesoły Przyjaciel chwilowo pozostał na swoim miejscu. Miałem na głowie ważniejsze sprawy niż uczenie jakiegoś gnojka dobrych manier. Zatrzymałem furgonetkę tuż przed żołnierzykiem i opuściłem szybę. Silnik pracował.

– Jest naczalnik? – zapytałem.

– Co to, nie wiesz, że granica zamknięta? Czego tu? – warknął.

– Gówno tam, zadałem pytanie. Jeśli nie potrafisz udzielić odpowiedzi, to wezwij starszego trepa. – Zupełnie nie reagował, więc rzuciłem rozkazująco: - Biegiem! Ogłuchłeś?!

Strażnik ściągnął z ramienia kałasznikowa i wycelował prosto w moją głowę.

– Wysiadka. Z rękami do góry.

– W jakiej kolejności? Najpierw mam podnieść ręce czy najpierw wysiąść?

– Kurwa, wysiadaj – wrzasnął chłopak.

– Dobrze, bez nerwów – odpowiedziałem i przekręciłem kluczyk. – Paliwo kosztuje. A trochę czasu tutaj spędzę.

Drzwi dyżurki otworzyły się dokładnie w tym momencie, gdy postanowiłem nacisnąć klamkę i wysiąść z auta. Pojawił się w nich inny strażnik, starszy i wyposażony w dwie belki kaprala na pagonach.

– Co jest? – rzucił.

– To chyba miejscowy. Szuka kłopotów – odpowiedział chłopak i zerknął nerwowo na starszego.

Ten gapił się na mnie w milczeniu.

– Szukam naczalnika, nie kłopotów. Dobrze by było, gdybyście bez zwłoki mnie do niego zaprowadzili.

– Taaak? – pokręcił głową starszy. – Dla kogo byłoby dobrze?

– Dla wszystkich tutaj obecnych. I zabierz tego narwańca, bo jeszcze coś sobie odstrzeli. – Wskazałem głową na młodego strażnika.

– No dobrze, zaryzykujemy – zgodził się starszy i kiwnął głową. – Jeśli jednak przyszedłeś pieprzyć trzy po trzy, to wylecisz stąd na kopniakach, jasne?

– Jak słońce w południe.

Kapral poprowadził mnie przez pełną dymu papierosowego dyżurkę do pomieszczenia, w którym siedziało kilku innych strażników. Grali w karty i pili wódkę. Najwyraźniej na tym polegała ich służba. Na mój widok jeden z nich wstał i poprawił mundur ozdobiony plamami potu pod pachami. Na ramionach nosił krokiewki sierżanta. Przetarł łysą głowę i obrzucił mnie nieprzyjemnym spojrzeniem.

– Co to za jeden? – rzucił do kaprala.

– Szuka naczalnika.

– Co takiego? – czoło sierżanta przecięła zmarszczka.

– Tak powiedział.

– Po chuj go tu w ogóle przyprowadziłeś?

– No… – zmieszał się kapral.

– Kurwa – łysy wskazał drzwi – to nie przytułek, żeby byle menda się tutaj szwendała. Wypierdolić go na ryj. A z tobą jeszcze pogadam – pogroził palcem kapralowi.

– Ja do naczalnika – powiedziałem głośno. Zbyt głośno, by można było udać, że nic się nie słyszało. Zbyt głośno, by mogło mi to ujść płazem.

– Co? – sierżant odwrócił się do mnie niczym działko obierające cel. – Coś, kurwa, powiedział?

– Ja do naczalnika – powtórzyłem jeszcze głośniej. – Jest tu taki?

– Tak. To ja – wykrzywił usta łysy sierżant.

– Ty?

– A ja.

– Ty to chuj nie naczalnik – odpowiedziałem spokojnie i uśmiechnąłem się.

Każdy, kto słyszał salwę z dziesięciu automatów kałasznikowa, wie, że to jeden z najpiękniejszych dźwięków na świecie. Deklasuje go tylko szczęk przeładowania dziesięciu zamków wyżej wymienionej broni. Muszę przyznać, że chłopakom refleksu nie brakowało, nawet mimo liczby pustych butelek po wódce, które właśnie potoczyły się po podłodze. Przyspieszone oddechy, zimne spojrzenia i równie zimne lufy wpatrywały się we mnie długo. Niejeden palec drgał na spuście, niejedna kropla potu spłynęła po rozgrzanym od alkoholu i emocji czole.

– I jak? – zapytałem, nadal się uśmiechając. – Jest tu naczalnik czy zaczynamy naszą grę?

– A ty jak wolisz? – sapnął łysy. – Chcesz się zabawić?

– Nie gustuję w mężczyznach, a wy sierżancie?

Pogranicznik był szybki. Błyskawicznie dopadł do mnie i schwycił obiema rękami za ubranie. Moje nogi nagle straciły oparcie, a sierżant rozpoczął szarżowanie znajdującej się za mną ściany. Kiedy łupnąłem plecami o beton, na moment zabrakło mi powietrza w płucach. Nie na tyle jednak, by nie zdążyć wyszarpnąć Wesołego Przyjaciela. Chłopcy ze Strażnicy nie mieli czasu zrewidować mnie przy wejściu, tak byli zajęci rżnięciem w karty. Lufa pistoletu wbiła się w otwarte usta sierżanta, naruszając kilka zębów.

– Niespodzianka chłoptasiu – sapnąłem mu prosto w zdziwioną twarz. – Nadal marzysz o zabawie?

– Stop! – czyjś zdecydowany głos przerwał nasze harce. – Wystarczy tego kabaretu.

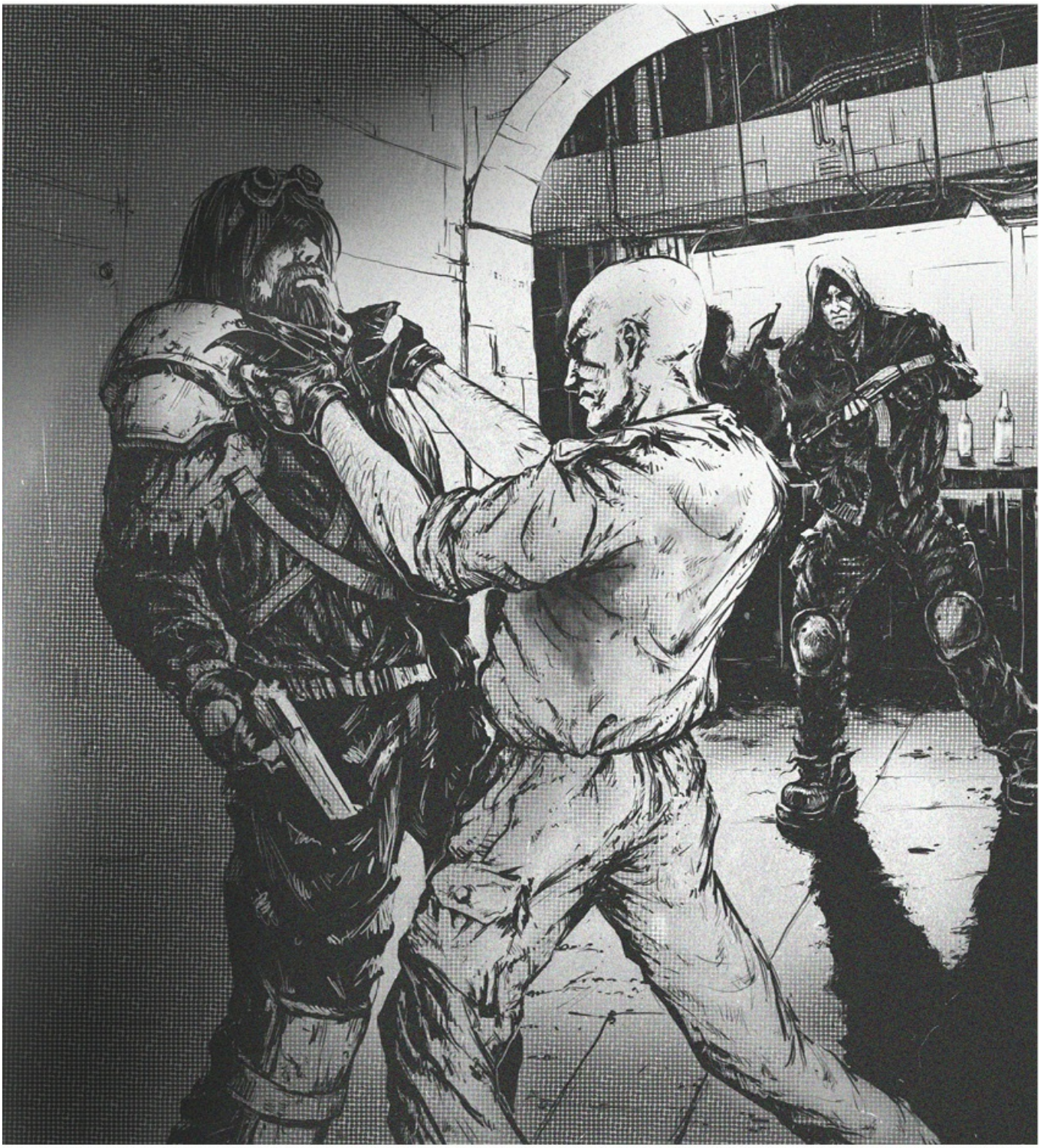

Czterdziestokilkuletni, siwiejący mężczyzna w polowym mundurze z oznaczeniami kapitana właśnie rozpychał się przez szpaler napompowanych adrenaliną strażników. Z pewnymi oporami, ale jednak karnie, usuwali się sprzed oblicza zwierzchnika. Tylko sierżant nadal wlepiał we mnie wściekły wzrok. Z jego ust ciekł wąski strumyczek krwi, ale mnie zainteresowało coś innego. Doskonale widziałem pulsujące na jego szyi żyły i zastanawiałem się, czy przegryzienie ich zatrzymałoby tego człowieka, gdyby mimo wszystko miał ochotę na dalsza szarpaninę. Doszedłem do wniosku, że musiałbym mu raczej odgryźć głowę…

– Co to jest? – zapytał kapitan, odciągając sierżanta. – Straż graniczna czy?...

Funkcjonariusze zaczęli opuszczać głowy i obserwować własne buty. Tylko sierżant tkwił niewzruszenie w swojej pozie szarżującego byka.

– No więc? Połknęliście własne języki, czy jak? I co tutaj robi cywil, w dodatku uzbrojony? Sierżancie?

– Tak jest – sapnął łysy mężczyzna.

– Wytłumaczcie się.

– On… Ten cywil chciał się widzieć z naczalnikiem Strażnicy.

– I dlaczego go do mnie nie przyprowadzono? Oczywiście po uprzednim zrewidowaniu?

– Obraził mnie.

– To ciekawe. W jaki sposób was obraził?

– Nazwał mnie…

– No?!

– Nazwał mnie chujem – wycedził sierżant. – Nikt, nawet…

– Bo to prawda – przerwał mu kapitan. – Jesteście chujem i to głupim.

– Ależ…

– Jesteście wolni. Zajmę się wami później. A ty, czego tutaj szukasz? – spojrzał na mnie oficer.

– Chciałem się zaciągnąć.

– Co? – oczy kapitana wyrażały szczere zdumienie.

– Może źle się wyraziłem. Słyszałem, że macie jakąś robotę. No i jestem.

– Jaką znów robotę? I od kogo to słyszałeś, jeśli wolno wiedzieć – zainteresował się mężczyzna.

– A od Aleksieja Fiodorowicza.

Kapitan podszedł bliżej i spojrzał na mnie uważnie. Przez chwilę wpatrywał się w moją twarz, po czym odwrócił się i ruszył do wyjścia.

– Wszyscy obecni w tej sali natychmiast udadzą się na piesze partole – powiedział,

zatrzymując się w drzwiach. – Ale już. A ty – kiwnął na mnie palcem – na co czekasz? Za mną.

Wykonałem polecenie, spodziewając się, że kapitan zaprosi mnie do swojego gabinetu. Oficer jednak poprowadził mnie ku metalowej klatce schodowej, prowadzącej gdzieś w górę. Domyśliłem się, że czeka mnie wspinaczka na wieżę obserwacyjną, którą miałem okazję oglądać tylko z zewnątrz. Mozolnie wdrapywałem się w ślad za kapitanem, czasami zerkając przez wąskie okienka umiejscowione przy podestach strzelniczych. Zdałem sobie sprawę, że chyba mam lęk wysokości. Moja – widziana z góry – furgonetka sprawiała wrażenie nieco mniejszej, niż była w rzeczywistości. Zauważyłem też, że klatka schodowa zrobiła się węższa, stopnie zakręcały pod mniejszym kątem, by ostatecznie ustąpić miejsca małym, metalowym drzwiczkom. Kapitan zatrzymał się przed nimi i grzmotnął pięścią w stalową płytę. W drzwiach uchylił się niewielki judasz, szczęknęła zasuwa i oficer zniknął w otworze wejściowym, wyglądającym bardziej jak właz do wozu bojowego. Niewiele myśląc, poszedłem w ślady oficera i przecisnąłem się do ciasnego, ale niezwykle jasnego pomieszczenia, którego całym wyposażeniem było metalowe krzesło. Rezydujący na tym bocianim gnieździe strażnik wyprężył się jak struna i zasalutował. Kapitan machnął ręką i odesłał go na dół. Zamknął pancerne drzwi kopniakiem, odsunął krzesło, po czym otworzył kolejne drzwiczki, prowadzące tym razem na zewnętrzny balkonik obiegający dokoła szczyt wieży. Kiedy wyszedłem na zewnątrz, lęk wysokości ponownie dał o sobie znać.

– Skąd znasz Aleksieja Fiodorowicza? – zapytał kapitan, opierając się o metalową poręcz i wbijając wzrok w jakiś punkt na horyzoncie.

– Ach, taka tam, służbowa znajomość – uśmiechnąłem się do pleców oficera.

– Zdradził cię akcent. Jesteś przemytnikiem stamtąd. Zza Bufora. Z Polski. Nie mylę się?

– Czy to coś zmienia?

– Może. Co dokładnie powiedział ci Aleksiej?

– Podobno chcecie ukraść pociąg z paliwem. Ja mam pomóc przy zmianie wózków w wagonach po polskiej stronie.

– W zasadzie… Tak. Dokładnie. Zakładam, że skoro rozmawiamy, potrafisz to zrobić?

– Dobrze pan zakłada. Co dalej?

– Dalej? – zdziwił się.

– Upłynniamy towar czy jak? Przecież nie odstawimy go na bocznicę, żeby kwitł do przyszłego roku.

– Dalsze losy tego transportu to już nie twoja sprawa.

– Tak myślałem. Mam kolejne głupie pytanie.

– Nie krępuj się.

– Czy ten pociąg z paliwem już ukradliście? Czy dopiero zamierzacie?

– Sądziłem, że Aleksiej przyśle mi kogoś bardziej rozgarniętego. Mniejsza o to. Wagony już stoją i czekają. Tyle że mamy coraz mniej czasu.

– Boicie się, prawda?

– Co proszę? – kapitan oderwał wzrok od punktu na horyzoncie i spojrzał na mnie czujnie.

– Zajebiście się boicie o swoje dupy. O głowy pewnie też, dlatego nie chcecie ich sprzedać tanio. Nie mylę się?

– Więc Aleksiej ci powiedział – pokiwał głową naczalnik.

– Oczywiście. Kiedyś łączyła go głęboka przyjaźń z moim… Mniejsza o to.

– Kiedyś?

– Dawno temu.

– Jeszcze przed Buforem?

– Jeszcze przed Rozbłyskiem. My używamy takiego określenia. Bufor jest dla nas tylko niewygodną przeszkodą.

– Ja nie zajmuję się polityką, tylko wypełniam rozkazy.

– Jasne. Wszyscy zawsze tylko wypełniają rozkazy.

Oficer milczał przez chwilę, po czym machnął ręką w kierunku dawnego polskiego terminala.

– Wiesz, co tam jest? Twój świat. Dokładnie w przeciwnym kierunku jest świat ludzi, dla których ty i tobie podobni są obojętni. Obchodzicie ich tyle, co kupka oszczanego śniegu. Kapujesz?

– A gdzie jest pana świat, kapitanie?

– Mój świat jest dokładnie tutaj – mężczyzna wskazał palcem w dół. – Dokładnie pośrodku.

– Pośrodku czego?

– Gówna – warknął dowódca. – Pośrodku wielkiego gówna, w którym przyszło mi gnić.

– Teraz kapuję.

– Wątpię.

– A jednak. Muszę jednak nadmienić, że moje usługi kosztują.

– Otrzymasz sowite wynagrodzenie.

– U nas pieniądze przydają się jedynie w kiblu. A szkoda by marnować nowe ruble.

– Dostaniesz, cokolwiek sobie zażyczysz. Prowiant, amunicję…

– Lekarza.

– Że co proszę? – zdziwił się kapitan.

– Chcę lekarza.

– Jakiego znów lekarza?

– Najlepszego.

– W Bruzgach… Eeee, to znaczy po waszemu w Kuźnicy mają takiego jednego kaprala…

– Ma to być prawdziwy lekarz, a nie jakiś pierdolony konował. Rozumie pan? Nie musi to być profesor, ale ma mieć ze sobą dyplom ukończenia odpowiedniej akademii. Inaczej dostanie kulkę prosto w łeb. Taki jest mój warunek.

– To chyba w Mińsku trzeba szukać…

– Nie mój problem – przerwałem. – Lekarz ma być w pociągu. Ja zajmę się resztą.

– W porządku. Coś jeszcze?

– Narwańcy z tej Strażnicy mają mi się nie wpierdalać w robotę. Chyba, że ich o to poproszę. Zwłaszcza ten porywczy sierżant.

– Da się załatwić – naczalnik uśmiechnął się po raz pierwszy.

– Aha. Jeszcze jedno.

– Tak?

– Co z drugą lokomotywą?

– Z jaką… drugą lokomotywą? – kapitan zdawał się nie rozumieć, o czym mówię.

– Różnica w rozstawie torów wymaga podmiany wózków w wagonach – wyjaśniłem. – Wózki w lokomotywach są niewymienne. W każdym razie w tych warunkach podobna operacja jest niewykonalna. Potrzebny jest specjalistyczny sprzęt, że nie wspomnę o wykwalifikowanym personelu i tak dalej. Żeby skład pojechał dalej, potrzebujemy lokomotywy o rozstawie 1435 milimetrów. Macie taką gdzieś w zapasie po naszej stronie Bufora?

– Nie – głucho odpowiedział kapitan.

– A ja mam – wyszczerzyłem zęby. – Niestety moje wynagrodzenie wzrośnie. Sami rozumiecie…

– Czego chcesz?

– Chcę cysterny. Jednej cysterny pełniusieńkiej oleju napędowego.

– Ożeż kurwa twoja mać! – Naczalnik mocno się zdziwił.

– Dokładnie tak – rzuciłem z bezczelnym uśmiechem.

– Nie ma takiej możliwości – potrząsnął głową naczalnik. – Podwajam stawkę. Dostaniesz równiutko…

– Jedna cysterna.

– Nie! – Kapitan złożył ręce na piersi. – Nie mogę o tym zadecydować sam. Nie i już.

– Zapomnijmy więc o naszej rozmowie. – Położyłem rękę na klamce drzwiczek. – Będę się już zbierał. Życzę powodzenia.

– Chwila – mężczyzna potarł dłonią czoło – może, gdybym uzyskał aprobatę…

– Aleksieja?

– Zaczekaj. Muszę się zorientować, dowiedzieć się…

Naczalnik trzasnął drzwiami i dobiegło mnie echo jego obcasów wybijających rytm na metalowych schodach.

Czekałem długo, bardzo długo. Słońce zbliżyło się do linii suchego lasu, gdy ponownie usłyszałem dudnienie butów na metalowych stopniach. Przez moment myślałem, że to łysy sierżant z bronią w ręku właśnie wbiega na wieżycę, by ostatecznie przedyskutować kwestię negocjowanej przeze mnie zapłaty. Przegoniłem tę niezbyt przyjemną wizję i z ulgą powitałem znajomą twarz naczalnika.

– Wysoko tutaj – zauważył, próbując złapać oddech po szybkiej wspinaczce. – Twoja stawka też jest wysoka. Ale kazano mi ją przyjąć.

– To miłe, bardzo miłe – odparłem z zadowoleniem.

– Przystąpmy zatem do konkretów. Plan jest taki…

Rozdział 3

Samogon, lokomotywy i śmierć

Zauważyli mnie, kiedy tylko wyłoniłem się zza betonowego rumowiska. Kręta droga, wijąca się między resztkami domów, dawała chwilowe schronienie przed oczami ciekawskich, by ostatecznie przeobrazić się w otwartą przestrzeń, na środku której wyrastał mur złożony z różnej wielkości płyt najeżonych sterczącymi we wszystkich kierunkach żebrowanymi prętami zbrojeń. Dobry obserwator zauważyłby, że pręty są zaostrzone. Zdobycie muru, czy to szturmem, czy też podstępem, byłoby niezwykle trudne. Opuszczenie bezpiecznych rumowisk wystawiało ewentualnego szturmowca na bezpośredni ogień obrońców, którzy tanio nie oddaliby swego terytorium. A było czego bronić. Za betonową palisadą czerwieniły się cegły starych wojskowych magazynów, wybudowanych jeszcze w latach trzydziestych XX wieku. Na dziesięć lat przed Rozbłyskiem kwatermistrzostwo wyniosło się z kompleksu, a miejsce wojskowych zajęły grupy wolnych artystów, wielbicieli starej motoryzacji i techniki kolejowej. Zespół budynków nazwano Kompleksem Węglowa od nazwy najbliższej ulicy.

Zatrzymałem auto tuż przed solidną betonową ścianą, upstrzoną różnokolorowymi bohomazami i wulgaryzmami. Wśród tej bazgraniny najbardziej nawet wytrawne oko z trudem mogłoby dostrzec pionową, skierowaną do góry błyskawicę wpisaną w okrąg – symbol tego miejsca i mieszkających tutaj ludzi. Wdusiłem przycisk klaksonu i przez moment go przytrzymałem. Potężna pneumatyczna trąba przymocowana na dachu mojej furgonetki ryknęła, a nagłe poruszenie na szczycie rumowiska sprawiło, że wyszczerzyłem się w uśmiechu. Przez moment miałem ochotę powtórzyć moje powitanie, ale zmieniłem zdanie, kiedy na masce furgonetki zatańczyła czerwona plamka celownika laserowego.

– Hej, tylko nie strzelaj – zaprotestowałem, wysiadając z podniesionymi rękami. –

Szukam Przepióreczki. Powiedzcie mu, że Kamyk przyjechał z wizytą.

Czerwona plamka zamarła, lecz nie zniknęła. Panująca wokół cisza zaczęła mnie denerwować. Zacząłem się zastanawiać, czy po drugiej stronie muru jest ktoś oprócz niewidocznego strzelca. A może strzelec odłożył karabin i poszedł szukać Przepióreczki?

– No, rusz dupę – powiedziałem, a plamka nadal uparcie tkwiła w miejscu. – Nie do wiary, co za amatorszczyzna.

Nagle betonowa płyta drgnęła i przesunęła się o kilka centymetrów. Z powstałej szczeliny wysunęła się lufa kałasznikowa i wygolona na łyso głowa. Kruczoczarna, charakterystyczna i niezmieniająca się przez lata broda zatrzęsła się ze śmiechu.

– Kurwa, otwierać bramę – powiedziała broda. – Kamyk, kopę lat, stary dziadzie! Co tutaj robisz?

Betonowa płyta zaczęła się powoli przesuwać, a właściciel brody wyskoczył niczym wystrzelony z procy i zamknął mnie w niedźwiedzim uścisku. Na moment straciłem oddech, bo Przepióreczka, zwany przez znajomych Przepiórem, był dwa razy szerszy od przeciętnego człowieka i co najmniej o dwie głowy wyższy. Poklepałem go po ramieniu, dając do zrozumienia, że też szczerze cieszę się z naszego spotkania. Przepióreczka nie zwolnił uścisku, wręcz przeciwnie. Nagle pociemniało mi w oczach.

– Co tutaj, kurwa, robisz – olbrzym sapnął mi prosto w ucho. – Pieprzony idiota!

– Wszystko ci wyjaśnię – stęknąłem. – Tylko mnie puść.

– Puszczę, a jakże. – Przepióreczka uniósł ramiona, a ja niczym szmaciana lalka opadłem na gorącą drogę. – Zabrać go i zamknąć w komórce. Tylko dobrze zasunąć skobelek, żeby nie zwiał. A ja się przejadę tym rzęchem.

– No co ty… – wyszeptałem wprost do szczeliny w asfalcie. Płuca mnie paliły, z trudem łapałem oddech. Nieznana konstelacja gwiazd wirowała mi przed oczami.

Krzepkie dłonie chwyciły mnie pod pachami i przeciągnęły przez bramę. Betonowa płyta zatrzasnęła się gdzieś za mną, a może był to dźwięk uruchamianego silnika? W tym momencie było mi to obojętne. Chciałem jedynie wziąć głęboki oddech. Kiedy zwlekli mnie po schodach do małego i ciemnego pomieszczenia, zrozumiałem, dlaczego Przepióreczka nazwał to miejsce komórką, chociaż bardziej pasowałaby mi nazwa: karcer. Spróbowałem odetchnąć i poczułem ból w okolicy żeber. Jeśli ten idiota połamał mi… No właśnie…

Mogłem się spodziewać wszystkiego po Przepióreczce, ale takiego powitania nie oczekiwałem. Pięć lat temu rozstaliśmy się w przyjaźni. Byliśmy czymś więcej niż przyjaciółmi. Byliśmy towarzyszami broni, byliśmy elitą ludzi Maksymiliana – naszego boga, idola, człowieka, który wtedy symbolizował nową nadzieję na lepsze życie, normalizację i wreszcie bezpieczeństwo w tych dzikich latach. „Wtedy”, czyli tuż po

tym, jak ustało promieniowanie, wyszliśmy ze schronów i ujrzeliśmy ten nowy świat. Właściwie nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy pojawił się na rumowisku i stanął na szczycie barykady. Pamiętam natomiast, że jego niezwykle silna osobowość porwała nas wszystkich. Trzeba przyznać, że nie tylko świetnie przemawiał, ale też imponował nam swoją odwagą, a nawet brawurą i fantazją. Po latach nazwano go Wielkim Skurwielem, a może to my go tak nazwaliśmy... Tym właśnie się stał – żądnym władzy sukinsynem, choć może zawsze był tylko wyrachowanym graczem. Któż to może wiedzieć?

Przepióreczkę poznałem na jednym z wieców mistrzowsko poprowadzonych przez Maksymiliana. Obydwaj, Olbrzym i ja, łykaliśmy gładkie słówka mówcy jak bocian żaby. Przepiór już wtedy znany był jako jeden z najzdolniejszych mechaników, który potrafi przywracać do życia i modyfikować wszelkie ruiny na czterech kołach, jakie tylko dało się odkopać z gruzu. Dla Maksymiliana był skarbem bezcennym. Przepióreczka naprawiał wszystko, jak leci, potrafił też zdziałać cuda z zardzewiałymi pistoletami czy dubeltówkami. Skonstruował formę odlewniczą i uruchomił prawdziwą produkcję zbrojeniową.

Przyłączyliśmy się do Maksymiliana, bo wierzyliśmy, że pod jego przywództwem zaprowadzimy porządek. Staliśmy się śmiertelnie niebezpieczni dla żądnych łupów zabijaków, grasujących w najmniej zniszczonej części miasta. Rozpoczęliśmy systematyczny podbój miasta. Jako pierwsze zajęliśmy Śródmieście i wielkie centrum handlowe, gdzie powstał prawdziwy sztab dowodzenia. Budynek nazwaliśmy Squatem Centrum, a jego dotychczasowych mieszkańców wyrżnęliśmy w pień. Mniejsze lub większe grupki ludzi ginęły lub przechodziły na stronę Maksymiliana. Wyboru nie było. Krnąbrni i oporni otrzymywali kulkę w łeb, mądrzejsi spuszczali głowy i przenosili się kilka ulic dalej. Podobny scenariusz powtarzał się co jakiś czas, przenosiny również. Chyba że delikwent potrafił wykupić swoje miejsce w naszym mieście. Maksymilian nie żądał wiele, cena za „obywatelstwo" nie była wygórowana. Zazwyczaj musieli oddać wszystko, co posiadali. Takie czasy.

Zawsze mogli się przenieść na niezamieszkane obszary miasta i tam szukać szczęścia. Jednak taki poszukiwacz najczęściej kończył w żołądku oszalałych z głodu wraków czegoś, co kiedyś można było nazwać człowiekiem. Maksymilian określał je jako zombie, chociaż to słowo nic dla nikogo nie znaczyło, nie kojarzyło się z niczym konkretnym. My znaliśmy tych nocnych łowców jako Strzygi. Podobno ich samice parzyły się z samcami, po czym zjadały reproduktorów. Bywało, że pożerały też swe nowo narodzone potworki, bo nie sposób było nazwać tego dziećmi. Nie mniej niebezpieczne były Wąpierze – te tylko wysysały krew ze śmiałków nocujących wśród rumowisk. Czasami wśród ruin spotykało się zdziczałe psy, które potrafiły być

dokuczliwe, ale bały się głośnych dźwięków. Chyba że akurat trafiło się na wygłodzone stadko, wtedy na podorędziu trzeba było mieć pełny magazynek… Mieszkanie w podobnym sąsiedztwie nie należało do przyjemności. Rządziło nami prawo dżungli, ale każdy mógł sam decydować o swoim losie. Napis przy bramie wejściowej do dominium Maksymiliana głosił: „Squat albo śmierć – wybór należy do ciebie", i tak właśnie było.

Wtedy, w tych pełnych nienawiści, bólu i krwi czasach, Przepióreczka poznał swoją niespełnioną miłość. Kilka szajbniętych amazonek, bynajmniej niesympatycznych, postanowiło walczyć do końca o swoją wolność i niezależność. Ostatecznie zdusiliśmy babski zryw. Moi towarzysze od razu zgwałcili większość tych zdziczałych kobiet. Jedną upatrzył sobie Przepióreczka i wyniósł z płonących ruin. Chciał, żeby z nim została. Zgodziła się. Po kilku miesiącach dźgnęła go nożem. On przeżył, ona nie. Kiedy ją znaleźli, rękojeść kosy jeszcze drgała między jej piersiami, szkliste oczy oskarżycielsko spoglądały na Przepióreczkę, a on sam płakał. Olbrzym siedzący w kucki i mażący się niczym dziewczynka, której zabrano lalkę. Takiego widoku się nie zapomina.

Minęła może godzina, odkąd zamknięto mnie w tej przeklętej komórce. Niebawem powinienem usłyszeć szczęknięcie zamka, a w progu ujrzeć potężną postać oświetloną ostrym południowym słońcem. Nic takiego się jednak nie stało. Moje zdziwienie powoli ustępowało miejsca znużeniu. Rozłożyłem się po przekątnej karceru i zapadłem w pusty sen. Zbudziłem się, kiedy w zimnej piwniczce zrobiło się jeszcze zimniej, co oznaczało, że zbliża się noc. Przesiedziałem więc w tej klitce ponad pół dnia. Dopiero wtedy usłyszałem niewyraźny szmer i nikłą poświatę, przebijającą się przez szczeliny w drzwiach. Coś zgrzytnęło i na dłuższą chwilę oślepiło mnie światło lampy naftowej. Ktoś postawił ją pod ścianą i ciężko zwalił się na podłogę obok mnie.

– Po kiego grzyba tu przyjechałeś? – usłyszałem zmęczony głos Przepióreczki.

– Wydawało mi się…

– Co takiego ci się wydawało? – zainteresował się mężczyzna.

– Już nic – odsunąłem dłoń, którą osłaniałem oczy. Jasność bijąca od lampy jakby przygasła albo mój wzrok przyzwyczaił się już do jej blasku.

– Jesteś cholernym debilem – stwierdził z troską. – Wiesz, co zrobi z tobą Maksymilian, jak cię dorwie?

– Dlaczego miałby mnie dorwać? Wydasz mnie w jego łapy? – zapytałem wesoło.

– Nie – burknął Przepióreczka.

– Twoi ludzie?

– Pewni.

– No widzisz. Przy tobie nic mi nie grozi – powiedziałem i uśmiechnąłem się szeroko.

– Niczego nie rozumiesz, przyjacielu. – Przepióreczka nie wyglądał na rozbawionego.

– Wielki Skurwiel jest potężniejszy niż kiedykolwiek. On nigdy nie darowuje win.

– Tobie darował – rzuciłem trochę ryzykownie i przyjrzałem się przyjacielowi.

– Powiedzmy – wycedził – ale to nie ja zabrałem mu Lenę.

– Gówno tam! – zbyłem ostatnią uwagę Przepióra. – Myślisz, że się go boję? Zresztą… Jak to miejsce się teraz nazywa? Squat Węglowa? Macki Maksymiliana dotarły także tutaj?

– Nie. Dopóki jesteś na moim terenie, nie spadnie ci włos z głowy. Ale jak tylko go opuścisz… – Przepióreczka uniósł dłonie w geście bezradności.

– O to się nie martw. Bezpiecznie dotarłem, to i bezpiecznie wyjadę.

– A dotarłeś w jakim celu? – olbrzym zawiesił głos, a ponieważ nie odpowiadałem, dodał: – Chcesz czegoś ode mnie?

– Może – odparłem powoli.

– Może… – Przepióreczka pokiwał głową i sięgnął pod kurtkę.

Słabe światło zatańczyło na ciemnozielonym szkle butelki pełnej jakiejś cieczy.

– Bez jaj – wyszczerzyłem się. – Czy to jest to, o czym myślę?

– Karbidówka – rzucił.

– Najprawdziwsza, klasyczna?

– A jak! – Przepióreczka nareszcie się uśmiechnął.

– Masz szkło?

– Coś ty, zdurniał? Pijemy z gwinta, jak za dawnych lat.

Przełknąłem palący płyn i po chwili fala ciepła przyjemnie rozlała się po moich trzewiach. Olbrzym niezwłocznie odebrał mi butelkę i pociągnął spory łyk, po czym oddał mi szkło. Spojrzałem na płyn mieniący się w słabym świetle lampy naftowej i westchnąłem.

– Ile to ma procent?

– Dużo – bąknął Przepióreczka i z przepastnych kieszeni wojskowej kurtki wyciągnął bochenek chleba. Powąchał go, wykrzywił usta i oddał mi pieczywo.

– Niezbyt świeży, ale musi ci wystarczyć.

– Wystarczy. Nie mam dużych wymagań.

– Wiem. Pamiętam. Pij.

– Piję przecież! – Przełknąłem kolejną porcję alkoholu.

– Dobrze! – Przepióreczka wetknął palce w czarną brodę i zaczął się nią bawić. – Teraz odpowiesz mi na podstawowe pytanie: po co tu wróciłeś?

– Może po to, żeby urwać jaja Maksymilianowi? – odpowiedziałem pytaniem.

– To nie miejsce i pora na żarty. Squat Centrum się rozrósł. W jego miejsce powstało Białe Miasto. Wszystko się zmieniło.

– Coś wiem na ten temat. – Wetknąłem do ust kawałek chleba i spojrzałem prosto

w oczy olbrzyma. – Wieści się szybko roznoszą. Chcesz kawałek?

– Nie. Jeśli cię złapią, to raczej nie wyjdziesz z tej opresji obronną ręką – stwierdził z troską.

– E tam… – Machnąłem ręką w odpowiedzi.

– Czego chcesz ode mnie?

Milczałem przez chwilę, żując chlebową papkę. Smakowała paskudnie.

– Musisz mi pomóc – powiedziałem wreszcie.

– Mylisz się przyjacielu – wymruczał Przepióreczka. – Ja nic nie muszę.

– Ach tak… Zapomniałem, że jesteś wolnym człowiekiem. Tacy rządzą się innymi prawami, żyją według własnych zasad.

– Nie o to chodzi. Ty nigdy nie potrafiłeś powiedzieć „proszę".

– Czyżbyś zapomniał, że prawdziwy twardy squat-ters nigdy nie prosi i nigdy nie przeprasza?

– Ale ty nie jesteś squattersem – zauważył mechanik i łyknął samogonu. – Jesteś wieśniakiem.

– I to niby miało mnie obrazić czy jak?

– A jak sobie stryjek życzy. – Przepióreczka wzruszył ramionami i podał mi butelkę. – Pij. Noc jeszcze młoda.

– Oho, zapowiada się balanga! Masz tego więcej w swoich przepastnych kieszeniach?

– Może. Czego chcesz ode mnie? – powtórzył swoje pytanie. – Nie będę cię więcej ciągnął za jęzor. Masz ostatnią szansę na wyjaśnienia. Później wywalę cię na ryj ze Squatu.

Odetchnąłem głęboko i pociągnąłem duży łyk ze szkła. Trochę mnie przytkało, lampa jakby przygasła, pociemniała.

– Potrzebuję lokomotywy – westchnąłem.

Przepióreczka nie poruszył się nawet o milimetr. Skryte w mroku oczy na pewno przewiercały mnie na wylot, setki myśli krążyły w łysej głowie. W końcu mechanik sięgnął do jednej ze swoich kieszeni i wyjął małą, szklaną fifkę.

– Zapalisz? – zaproponował.

– Co to za gówno?

– Co? – oburzył się olbrzym. – Najprawdziwsza marihuana ze swojskiego siewu.

– Tym właśnie handlujesz z Maksymilianem? Za to kupujesz wolność swoich ludzi? Gówniana wolność za gówniany towar?

– Przyznaję, że nie kapuję – potrząsnął głową Przepióreczka i wetknął fifkę do ust. – Twoje aluzje są gówno warte.

– Ja po prostu odrobiłem lekcje z najważniejszego z przedmiotów. Z przetrwania. Ale wracając do tematu…

– Po co ci ta lokomotywa? – przerwał mi mechanik.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

– Jest jakieś inne piekło niż to na ziemi?

– Może…

W dłoniach mechanika pojawiła się druga butelka, a moje nozdrza wypełnił słodki zapach marihuany.

– Na pewno nie chcesz pyknąć? – uprzejmie zapytał Przepiór.

– Nie – odpowiedziałem, a skryte w mroku ściany mojego więzienia zakołysały się, zafalowały.

– Squat Centrum to już naprawdę przeszłość. Czasami naprawiam coś dla ludzi z Białego Miasta i mam stałą przepustkę. Nie wpuszczają już obcych. Mówiłem ci, że wszystko się zmieniło. Nawet Maksymilian.

– Skurwiel zawsze pozostanie skurwielem – rzuciłem sentencjonalnie.

– Tak! Sami skurwiele! – odparł olbrzym ironicznie. –Ty jesteś jedynym prawym mężem na świecie. I wcale nie robisz brudnych interesów, a lokomotywa potrzebna ci na przejażdżkę z narzeczoną! – Skrzywił się i podał mi butelkę. – Napijmy się jeszcze.

– Białorusini szykują coś dużego – powiedziałem, by uciąć te sentymentalne gadki. – Nam też coś skapnie.

Potężny mężczyzna ponownie zastygł i zacząłem się zastanawiać, czy nie praktykuje jakichś technik medytacyjnych. Jego nagłe i dziwne znieruchomienia mogły też świadczyć o nadużywaniu środków halucynogennych. Może nagle dostrzegał wyrastające ze ściany potężne odnóża zmutowanych owadów lub słyszał brzęczenie muchy plujki. Hm... Właściwie to ja również usłyszałem podejrzane brzęczenie. Ech… Takie są efekty biernego palenia marihuany.

– To kupa złomu – usłyszałem gdzieś z daleka głos Przepióreczki. – Nie wiem, czy się nada…

– Chcesz chleba? – wymamrotałem bez związku. – Chcesz tego pieprzonego chleba?

– Nie powinieneś był jej wtedy zabierać – szept mechanika wwiercał się w moje uszy, ale nie rozumiałem, o czym on mówi. – Lepiej by było, gdyby ona wtedy…

– Smaczny ten chleb. Właściwie smakuje jak spleśniałe trociny, ale zawsze to coś…

– …umarła.

– …pieprzone trociny…

* * *

Jasnowłosa przyszła do mnie nocą, otoczona dziwnym blaskiem rozświetlającym jej

włosy. Stanęła nade mną i wyciągnęła rękę. Byłem zbyt pijany, by dotknąć jej dłoni, by powiedzieć choć słowo. Wstrząsnął mną niekontrolowany dreszcz, w gardle uwiązł szloch. A ona dotknęła mojej twarzy i za zasłoną jej jasnych włosów dostrzegłem błyszczące punkciki oczu. Dzikich, nieludzkich oczu, zdających się przewiercać mnie na wylot.

– Przyyyjdźźźź… – wyszeptała.

Gwałtownie otworzyłem oczy przestraszony szeptem, który zdawał się rozbrzmiewać tuż obok mojego ucha. W komórce nikogo nie było. Pusta butelka po karbidówce leżała tuż obok moich stóp, resztka chleba poniewierała się koło drzwi. Usiadłem bardzo powoli, by nie zwymiotować czystym samogonem, który aktualnie krążył w moich żyłach zamiast krwi. Podniosłem chleb i zacząłem się zastanawiać, co z nim zrobić, gdy zauważyłem, że drzwi są otwarte. Popchnąłem je i skrzypienie zawiasów wypełniło moje uszy niczym niebiańska muzyka. Ostrożnie przeniosłem ciężar ciała na kolana i przytrzymując się ścian, spróbowałem wstać. Udało się. Świat dziko zawirował, błędnik oszalał, ale utrzymałem się na nogach. Mój żołądek nie zachował równowagi. W ustach poczułem falę wymiocin, którą z trudem opanowałem. Nie chciałem narzygać w miejscu, do którego być może wrócę, kiedy Przepióreczka przypomni sobie, że drzwi do mojego więzienia pozostawił otwarte. A przypomni sobie o tym fakcie na mój widok, o ile wcześniej nie zgarną mnie jego chłopcy. Nie mogłem napaskudzić w tak ekskluzywnym apartamencie, dlatego też narzygałem na schodach. Wytarłem dłonią usta, na nos wcisnąłem przyciemnione okulary i wkroczyłem na zalaną słońcem uliczkę. Musiałem spać dłużej, niż początkowo sądziłem, bo słońce w pełni władało nieboskłonem. Jego siła zawsze mnie poraża. Nie żebym się bał, raczej czuję respekt przed tą ognistą kulą, zawieszoną na nieboskłonie. Płonąca doskonałość, idealnie okrągła, nieskończenie jasna. I pomyśleć, że kiedyś, przed Rozbłyskiem, istniało poczciwe słoneczko, które dawało wystarczająco dużo ciepła zimą i trochę więcej światła latem. Kiedyś… było jeszcze jakieś lato i jakaś zima. Teraz jest tylko pieprzony dzień i pieprzona noc. Na chwilę zdjąłem okulary, osłoniłem oczy ręką i rozejrzałem się dookoła. Moc słońca zdawała się przenikać przez ciało, docierać aż do kości. Na kacu było to szczególnie dotkliwe. Dłoń zaczęła mnie piec. Okulary z powrotem wylądowały na moim nosie, ręce wcisnąłem do kieszeni. Nie potrafię sobie wyobrazić siły stu słońc, skoro to jedno daje nam popalić. W przenośni i dosłownie. Dziaduszka opowiadał mi kiedyś, że ta nasza gwiazda w końcu wypali się całkowicie i zgaśnie. Nie wiadomo tylko, kiedy to nastąpi.

– Nadal szukasz odpowiedzi w gwiazdach? – usłyszałem za sobą czyjś głos.

Odwróciłem się i spojrzałem na znajomą kiedyś, starczą twarz i uśmiechnąłem się.

– Za dnia ich nie widać – odpowiedziałem.

– Gwiazd czy odpowiedzi? – zarechotał staruszek. – Opalanie się w samo południe jeszcze nikomu nie wyszło na dobre. Działo się wczoraj, co?

– Odrobina karbidówki…

– Co za pieprzony złom z… – przerwał mi donośny głos dobiegający z wnętrza jednego z hangarów. – Ja pierdolę!

– A temu co? – staruszek wskazał głową na blaszaną konstrukcję.

– Bo ja wiem? Może boli go głowa?

– Jego coraz częściej boli głowa – skwitował staruszek i naciągnął na oczy daszek czapki. – Czas już na mnie. Muszę przeczekać ten upał w domu. Tobie radzę to samo. I unikaj tej trucizny, którą się raczycie. Szkodzi na nerki. I na wątrobę. Karbidówka szkodzi na wszystko.

Skinąłem głową i z ulgą zanurzyłem się w chłodnym wnętrzu hangaru. Po chwili mój wzrok przywykł do ciemnego pomieszczenia. Na środku niczym pancerny taran tkwiła wielka, zielona lokomotywa ST44. Potężne plecy Przepióreczki, rozsadzające poplamiony kombinezon, wystawały spod metalowej klapy umieszczonej pomiędzy osiami pojazdu.

– Co jest, Przepióreczka? – zapytałem. – Złapałeś gumę?

Mężczyzna powoli wyprostował się, odwrócił i skrzywił swoją paskudną gębę. W tej chwili wyglądał bardziej jak rzezimieszek z ruin niż mechanik ciężkiego sprzętu. Mechanik – cudotwórca.

– Jestem wkurwiony – wycharczał Przepióreczka, splunął i wyprostował się.

– To mnie akurat nie dziwi – wzruszyłem ramionami. – Po pijaku zapomniałeś zamknąć drzwi i oto jestem.

– Nie ten klucz! – Olbrzym odrzucił klucz oczkowy trzymany w ręce i opadł na obrotowe krzesełko warsztatowe. Metalowa konstrukcja jęknęła, ale wytrzymała obciążenie.

– Jasne, zgubiłeś klucz, ale jak widzisz nawet nie próbuję uciekać – ciągnąłem swoje, chociaż zaczynałem rozumieć, że to nie moje niekontrolowane oswobodzenie było przyczyną wściekłości Przepióreczki.

– Zamkniesz wreszcie papę? – wrzasnął. – Jazgoczesz jak stara baba. Brakuje mi części, narzędzi, kurwa mać, a ten papla od rzeczy.

– Ach… części? – Nagle zrozumiałem, że Przepióreczka wcale nie miał zamiaru zamykać tych pieprzonych drzwi.

– Muszę wymontować cieknącą chłodnicę. Wiesz, jak to jest z chłodnicami. Z małej dziurki zrobi się duża dziura i klops. Czym ją później załatam?

– Jeden z chłopaków, jeszcze w Squacie Centrum, podobno zaspawał grzechotkę w hamulcach swojej ciężarówki – zagaiłem dla rozładowania atmosfery.

– I jak się to skończyło? – zainteresował się olbrzym.

– Dla niego czy dla samochodu?

Przepióreczka zarechotał i odgiął się na krzesełku. Kółka rozpłaszczyły się na betonowej posadzce, z nóżek posypała się rdza. Całość jednak nadal nieźle dawała sobie radę pod obciążeniem stu kilkudziesięciu kilogramów wagi potężnego mężczyzny.

– Może mi powiesz, czego szukałeś między osiami? Bo chyba nie tej chłodnicy?

– Nie – burknął mechanik. – Akumulatorów. Są od dawna martwe, trzeba podłączyć prostownik i podładować.

– Sądziłem, że jako wielbiciel techniki utrzymujesz ten szmelc w dobrym stanie i regularnie urządzasz przejażdżki.

– Przejażdżki? – prychnął Przepióreczka. – Wiesz, ile to cacko pali? Przy zachowaniu mocy znamionowej będzie to ze trzysta kilogramów paliwa na godzinę.

– Na biegu jałowym pali tylko dwadzieścia pięć kilogramów – wyrecytowałem. – Według instrukcji katalogowej.

– Znawca się znalazł!

– Mam przygotowanie teoretyczne, to wszystko. A w furgonetce mam kilka kanistrów oleju napędowego. Powinno wystarczyć. Daleko się nie wybieram.

– Wiesz… – zaczął Przepióreczka, kiedy wdrapaliśmy się do przedziału silnikowego lokomotywy. – Słyszałem, że w Squacie Czerwonych Latarni można ostatnio dostać niezłego sznapsa.

– Czy oni kiedykolwiek handlowali czymś lepszym niż gówno pędzone ze szczyn?

– Może dorwali się do jakichś starych zapasów? – powiedział olbrzym z nadzieją. – Podobno mają całą ciężarówkę najprawdziwszego, oryginalnego chmielowego.

– Ciekawe, kto rozpuszcza takie plotki? – Ja nie miałem nadziei.

– Zawsze znajdzie się jakaś „dobrze” poinformowana osoba. Dobry marketing to podstawa handlu. – Olbrzym wzruszył ogromnymi ramionami.

– Masz jeszcze jakieś inne klucze? Oczkowe, płaskie? Jakiekolwiek?

– Są tutaj. – Przepióreczka uśmiechnął się tajemniczo i wskazał wysmarowaną torbę na narzędzia. – A jak twoja głowa? Nie dudnią w niej werble?

– Nie – odpowiedziałem spokojnie.

– No… Bo ja wpadłem na taki pomysł… I jak z tą chłodnicą?

– Kręcę śruby, zaczekaj. Część z nich na pewno jest zapieczona.

– Tak myślałem, psia mać – olbrzym splunął i kopnął blok silnika.

– Jesteś zbyt nerwowy do tej roboty – poklepałem obudowę chłodnicy. – Zbyt nerwowy. Tutaj potrzeba spokoju i wyrafinowania. Właśnie… Nie masz czegoś do picia, bo wyschło mi w gardle…

Zamiast odpowiedzi ujrzałem oddalające się plecy Przepióreczki. Po chwili, klnąc, na

czym świat stoi, pojawił się z powrotem. Pod pachą taszczył skrzynkę z ciemnobrązowymi, zakurzonymi butelkami.

– Browary na dobry początek – rzucił radośnie.

– Zadziwiasz mnie – mruknąłem, zrywając kapsel. – Nie zepsute aby?

– Przeterminowane o jakieś dwadzieścia lat – zaśmiał się olbrzym. – Ale da się wypić. No, do dna.

– O jakim pomyśle mówiłeś przed momentem? – zapytałem, łapiąc oddech po skwaśniałym trunku.

– Ja? Ach, tak... – Mechanik zaczął z zainteresowaniem oglądać wypłowiałą etykietę na butelce. – Myślałem, że kac cię rypie. Ale skoro jest wszystko OK, to nie ma sprawy.

– Tak się składa, że kac mnie jednak rypie. Więc w czym rzecz?

– Wiesz… Może byśmy się wybrali na to piwo…

– Ach – wyszczerzyłem zęby w uśmiechu – o to chodzi. Chcesz iść na dziwki. Ty stary zboczeńcu. Twój tatko wie? Spotkałem go przed chwilą. Może zechce jechać z nami?

– No kurwa… Ja mówię poważnie. Więc jak? Zgadzasz się?

– Na dobre chlanie? Zawsze! – krzyknąłem wesoło.

– No to git. Bierzmy się więc do roboty. Trzeba wyszykować to cacko…

– Przepiór?

– Tak?

– Pojedziemy do Squatu Czerwonych Latarni, ale nie dziś. Piwo i dziwki muszą poczekać do mojego powrotu. Mam robotę do wykonania.

– Chciałeś powiedzieć: do naszego powrotu – sprostował Przepióreczka.

– Nie. Jadę sam.

– Ale…

– Nie ma dyskusji – uciąłem.

– Dobra – zgodził się, widząc moje zdecydowanie. – Kręć śruby!

– Przecież kręcę…

* * *

Wbrew najgorszym oczekiwaniom Przepióreczki chłodnicę udało się załatać, a kilkugodzinne ładowanie akumulatorów przyniosło efekt. Po zjedzeniu skromnego posiłku, składającego się głównie z kiełków i trudnych do określenia badyli, wgramoliłem się do małej sterówki i przekręciłem włącznik baterii akumulatorów.

„W porządku” – pomyślałem. „Mam nadzieję, że będę w stanie uruchomić to dziadostwo”. Nastawnik kierunku jazdy ustawiłem w pozycji „przód”. Trzy kontrolki

odpowiadające kolejno za rozrząd, rozrząd lokomotywy i pompę paliwa zabłysły na bursztynowo. Teraz tylko wystarczyło wcisnąć duży zielony guzik, odpowiadający za rozruch silnika. Jeszcze raz sprawdziłem wszystkie przełączniki i próbowałem sobie przypomnieć instrukcję obsługi, którą kiedyś znalazłem w biblioteczce zgromadzonej przed Dziaduszkę. Ostatecznie wdusiłem zielony guzik i z ulgą usłyszałem dudnienie w przedziale silnikowym. Wał korbowy wykonał obrót i zamarł, a po chwili do sterówki wpadł Przepióreczka i spojrzał na mnie ze złością.

– Co ty wyprawiasz? – spytał.

– Uruchamiam.

– Mogłeś mnie uprzedzić, że… Nieważne. Dlaczego nie odpaliła?

– Nie wiem – przyznałem. – Nie za bardzo pamiętam instrukcję…

– Instrukcję? Myślałem, że umiesz tym jeździć.

– Tak, ale teoretycznie. – Zdębiały wyraz twarzy mechanika bardzo mnie rozbawił. Pośpieszyłem z wyjaśnieniami: – Mój… Dziaduszka był kiedyś maszynistą. W domu… znaczy w schronie walały się takie różne książki, to czytałem z nudów jako dzieciak. Instrukcja obsługi lokomotywy ST44 też się trafiła. Znałem ją na pamięć.

– Więc dlaczego nie chce odpalić? – rzucił rzeczowo Przepióreczka.

– Może zrobiłem coś nie tak. Wiesz, ostatni raz widziałem ją na oczy, jak jeszcze Dziaduszka kazał mi chodzić spać z rączkami wyciągniętymi grzecznie na kołderce.

– Nie kapuję. – Przepióreczka wytrzeszczył oczy i ogólnie wyglądał w tym momencie naprawdę głupio.

– Nieważne. Sprawdzę jeszcze raz – Po kolei powciskałem wszystkie przełączniki i ponownie wdusiłem zielony przycisk.

– Może trzeba przytrzymać – krzyknął mechanik, kiedy silnik zadudnił.

Jego sugestia wydała mi się całkiem dorzeczna, więc wciskałem przycisk startu, aż wszystkie bursztynowe kontrolki zmieniły barwę na zieloną. Z ulgą oderwałem palec od zielonego grzybka i wsłuchałem się w gang dwunastocylindrowego silnika w układzie V.

– Chodzi jakoś dziwnie, nierówno – zauważył Przepióreczka.

– Zgadza się. Na biegu jałowym pracuje tylko połowa cylindrów. Jeśli nastawnik kierunku jazdy przestawimy na jeden, wtedy zaczną grzać pozostałe. To maleństwo ma prawie dwa tysiące koni mechanicznych.

– I ze sto lat.

– Przesada. Kiedy rozpoczęto ich produkcję, były szczytem techniki.

– Ford T także.

– Wiesz, że ten silnik wykorzystywano kiedyś jako jednostkę napędową w kutrach torpedowych, a nawet w łodziach podwodnych?

Przepióreczka popatrzył na mnie spode łba i sapnął. Mógł nie wiedzieć, o czym

mówię. Mało kto dorastał z taką biblioteką jak ja. Książek do schronu raczej nikt nie zabierał. Jego czarna broda zatrzęsła się, kiedy zmiął w ustach jakieś przekleństwo, po czym walnął pięścią w przycisk „stop". Silnik po chwili zamilkł, szumiała jedynie pompa wstępnego smarowania.

– Jadę z tobą. Sam sobie nie poradzisz… – zaczął mechanik.

– Nie będę sam – przerwałem mu. – I nie zadawaj więcej pytań, proszę. Po prostu otwórz tę pieprzoną bramę.

Przepióreczka przyglądał mi się przez chwilę, po czym wysiadł z lokomotywy. Popołudniowe słońce zatańczyło na szybach czołowych, kiedy otworzył potężne wrota. Ponownie uruchomiłem pojazd i nastawę kierunku jazdy ustawiłem w pozycji „przód" i „1". Stalowy taran drgnął i majestatycznie wytoczył się z hangaru. Kilku mieszkańców squatu, pomachało mi rękami, inni odciągnęli szeroką bramę przecinającą tory. Lokomotywa nabierała rozpędu, a rumowiska wielkiego miasta zostawały za mną. W kłębach kurzu minąłem zamkniętą od dawna stację fabryczną, na której z otwartymi ze zdziwienia ustami stało kilkoro jasnowłosych dzieci. Koła wybijały rytmiczne „tuch-tuch", a ja modliłem się, żeby w tej wiekowej konstrukcji nic nie nawaliło. Za oknami migały kikuty pni drzew rozciągające się na całej przestrzeni. To był las, który kiedyś żył, zielenił się każdej wiosny i pokrywał koroną bieli każdej zimy. Dziaduszka mówił, że człowiek nie ingerował w życie tego kilkusetletniego boru. Dawne nieprzebyte lasy stały się jednak historią. Wyschły i zmarniały, a drewno wyjechało na wagonach za Bufor, sprzedane przez miejscowych cwaniaczków i dorobkiewiczów. Rosyjskojęzyczna część tego krańca byłej Europy kupowała wszystko, jak leci, płacąc żywnością, paliwem i czym tylko dusza zapragnie. Uczciwie i rzetelnie, wolnorynkowo.

Suchy las ustąpił w końcu miejsca betonowym płytom, spękanym i wybrzuszonym w wielu miejscach. Olbrzymie ekrany dźwiękochłonne, otaczające drogę biegnącą niegdyś w tym miejscu równolegle do torów, dawno rozkradziono. Posłużyły pewnie do budowy schronień w leżącym na wyciągnięcie ręki Gródku. Zawsze ciekawiło mnie, ilu ludzi przeżyło w tym leżącym niedaleko granicy miasteczku. Na pewno buszowała tutaj miejscowa grupa przemytników, niezbyt przychylna konkurencji. Przejazd lokomotywy na pewno już ich zaalarmował i para czujnych oczu niebawem zacznie podążać za mną w bezpiecznej odległości. Miałem jedynie nadzieję, że obecność uzbrojonego oddziału białoruskich pograniczników zniechęci miejscowych do działania.

Po godzinie wsłuchiwania się w rytmiczne dudnienie silnika dotarłem do stacji Zubki, gdzie kiedyś znajdowało się kolejowe przejście graniczne z Białorusią. Zamknięte i opuszczone, obecnie miało zostać użyte zgodnie ze swoim przeznaczeniem. Obok ruin budynku służby celnej, po którym pozostała jedynie tablica z nazwą przejścia, znajdowała się bocznica kolejowa wyposażona w specjalne podnośniki służące do

przekładania wózków wagonów. Niedługo ze wschodniej strony powinien nadjechać pociąg towarowy z cysternami pełnymi paliwa. Przekładanie wózków zajmie parę godzin, chociaż zawodowcy podobno wykonywali taką operację w sto dwadzieścia minut. Ale oni znali się na rzeczy i mieli sprawny sprzęt. Ja miałem jedynie chęci i pomocnika…

Zastopowałem lokomotywę, wyłączyłem zasilanie i usiadłem na metalowych schodkach. Nie byłem sam. Wokół bocznicy krzątał się chudzielec, który na widok nadjeżdżającej lokomotywy odstawił olejarkę i obserwował hamujący ze zgrzytem pojazd. Teraz przywołałem go gestem. Szedł, śmiesznie stawiając nogi i kiwając się we wszystkie strony. Gdybym go nie znał, mógłbym przysiąc, że jest pijany. Nie był. Ktoś kiedyś połamał mu oba golenie, a że akurat w promieniu stu kilometrów nie było lekarza, to kości zrosły się tak, a nie inaczej. Stąd dziwny chód chłopaka.

– Jak tam, Szczurek? – spytałem.

– Bo ja wiem? – odpowiedział pytaniem i wzruszył ramionami.

Znałem go od kilku ładnych lat i muszę przyznać, że elokwencją nigdy nie grzeszył. Nie podejrzewałem go też o filozoficzne przemyślenia i wywody. Może zbyt długo siedział w pełnym słońcu i kilka klepek w jego głowie uległo deformacji. Jedno trzeba mu przyznać, miał nosa do wyszukiwania wszelkiego rodzaju fantów. Nie chodzi mi tutaj o zwykły szaber, o nie. On po prostu podnosił klapę zasyfionego kibla, który każdy ominąłby szerokim łukiem, i znajdował kilka schowanych tam konserw. Odrywał spróchniałą deskę i odkrywał skrytkę z prowiantem. Ot, samorodny talent nowych czasów.

– Noc idzie – mruknął Szczurek, oglądając lokomotywę. – Kiedy przyjadą?

W tym momencie w oddali zawyła syrena i potężne reflektory lokomotywy rozświetliły zapadającą powoli ciemność. Spalinowóz ozdobiony białoruską flagą zatrzymał się przed bramą graniczną, którą sprawnie otworzyło kilka postaci w ciemnych ubraniach, niewyglądających na mundury. Po chwili skład wtoczył się na bocznicę. Zazgrzytały hamulce, lokomotywa umilkła, a ludzie z obstawy pozeskakiwali z wagonów i rozlokowali się w kilku strategicznych punktach, omiatając lufami karabinów krzaki i suche pnie drzew. Obstawa rzeczywiście paradowała w cywilnych ubraniach.

– *Nu?* – Podszedł do nas mężczyzna w czapce maszynisty. – *Ty Kamyk?*

– Ja – odpowiedziałem i uścisnąłem suchą i żylastą dłoń.

– *A eto twoj lokomotiw?*

– *Da.*

– *Haroszyj* – pochwalił maszynista.

– To prawie takie same maszyny – wskazałem na spalinowóz Białorusina. – Różnią się

tylko szczegółami…

– Może byście się wzięli do roboty? – rzucił jeden z obstawy i wskazał palcem na zegarek. – *Ja tu komandir, a wremia...*

– *Spakojna* – uśmiechnął się maszynista.

– Ilu was jest? – spytałem.

– Wystarczająco wielu – warknął dowódca.

– Możemy mieć towarzystwo.

– Spodziewam się.

– Jest jeszcze jedna sprawa. Powinien być z wami lekarz. *Wracz*.

– Jest – mężczyzna powiesił karabin na ramieniu i z wewnętrznej kieszeni wydobył czerwoną książeczkę. – To *diplom*. A *wracz* czeka tam – wskazał na białoruski spalinowóz. – Boi się. U was… dzicz.

Otworzyłem książeczkę i spojrzałem na fotografię młodego mężczyzny w okularach z rogową oprawką. Dyplom był stary, został wydany wiele lat przed Rozbłyskiem. Może to i lepiej. Lekarz powinien mieć doświadczenie.

– W porządku – powiedziałem, oddając dyplom. – Bierzemy się do roboty.

Zgarnąłem Szczurka i razem z maszynistą zaczęliśmy demontaż wózków. Muszę przyznać, że chłopina znał się na rzeczy. Po trzech godzinach połowę składu mieliśmy z głowy, a koszule mokre od potu. Zaproponowałem krótki odpoczynek, co Szczurek przyjął z zadowoleniem, a *komandir* ze szkaradnym skrzywieniem, lecz nie powiedział ani słowa. Wzruszył tylko ramionami, a jego ludzie wyciągnęli papierosy. Rozżarzyły się zapalniczki, rozległ szmer rozmów, atmosfera nieustannego zagrożenia uległa rozluźnieniu. Szczurek, posiłkując się latarką, grzebał w ruinach budynku celnego. Postanowiłem dla relaksu przyłączyć się na chwilę do chudzielca. Wykorzystując hałas, jaki robili Białorusini, podkradłem się do zgarbionej postaci i nagle wynurzyłem się z ciemności.

– Buuu! – krzyknąłem, ale Szczurek nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi.

– Co? – zapytał i dalej grzebał w swoich śmieciach.

– Zachowaj czujność, bo cię okradną.

– Niby kto? – zdziwił się chudzielec i zanurkował w jakiejś dziurze.

– Co tam wypatrzyłeś – zainteresowałem się. – Jest coś ciekawego?

– Jeszcze jak – dobiegł stłumiony głos. – Znalazłem prawie nieużywane gumiaki. I ziemniaki. Całe góry ziemniaków.

– Jadalnych?

– Może… jak się przebierze. Pod ziemią przetrwały dłuższy czas…

Przerwał mu huk wystrzału, który nagle gruchnął gdzieś od strony bocznicy. Instynktownie przyklęknąłem za fragmentem muru, wyciągnąłem Wesołego Przyjaciela

i spojrzałem na dziurę, w której chował się Szczurek. Cwaniak nie miał najmniejszego zamiaru wystawiać głowy i ryzykować oberwania choćby rykoszetem. Nawet mu zazdrościłem, bo za chwilę musiałem zorientować się w sytuacji i podjąć pewne działania… Gruchnęły kolejne strzały, usłyszałem jęk bólu i – chcąc nie chcąc – wyjrzałem zza mojej osłony. Ludzie z obstawy prowadzili nieco chaotyczny ogień, celując do niewidocznych postaci, przemykających gdzieś pomiędzy pniami drzew. Jeden Białorusin leżał rozkrzyżowany.

Napastnicy prawdopodobnie czekali w ukryciu na zapadnięcie zmroku, kiedy któryś z Białorusinów coś zauważył. Mogło to być odbicie światła na ostrzu noża, niestarannie uczerniona twarz lub zwykłe przeczucie, że coś jest nie w porządku. Niewidoczny przeciwnik odpowiadał ogniem z rzadka, co było zrozumiałe i świadczyło, że mamy do czynienia z zawodowcami. Mogli się łatwo przemieszczać w znanym terenie, jednocześnie mając jak na tacy obstawę pociągu, obserwowaną pewnie od dłuższego czasu. Z drugiej strony, obstawa transportu miała za plecami cysterny z paliwem. Jeden nieostrożny wystrzał mógł zakończyć tę zabawę w ciuciubabkę i miejscowi przemytnicy – bo prawdopodobnie z nimi mieliśmy do czynienia – musieliby odejść jak niepyszni, oglądając się na smugę oleistego dymu walącego z płonących wagonów. Ktoś byłby niezadowolony, ktoś inny musiałby ponieść karę. Nie, bezpośredni szturm nie wchodził w grę. Gdybym był na ich miejscu, starałbym się wyeliminować wroga po kolei, bez hałasu. Musiałem zaniechać dalszego rozważania strategii napastników, bo od strony ostrzeliwanych drzew dał się słyszeć hałas. Takiego rozwoju wypadków nie przewidziałem, choć powinienem. Był to coraz głośniejszy odgłos auta przedzierającego się przez nieprzejezdny, leśny trakt. Dużego, ciężkiego i głośnego auta. Dość szybko też je ujrzałem. Wypadło na otwartą przestrzeń i zabuksowało kołami na pokrytych piaskiem betonowych płytach. Było wyposażone w halogeny dużej mocy. Zerknąłem na białoruską obstawę pociągu – byli gotowi, zagwizdałem bezgłośnie i schowałem Wesołego Przyjaciela. Na niewiele by się przydał w konfrontacji z lekkim transporterem opancerzonym, który ustawił się przodem do pociągu i najwyraźniej szykował się do otwarcia ognia z ciężkiego karabinu maszynowego zamontowanego na dachu. Przynajmniej ja tak to widziałem.

– Kto tu dowodzi? – zaszczekał głośnik zamontowany gdzieś na pojeździe.

Odpowiedział mu grzechot pocisków, odbijających się od karoserii transportera.

– Jeden wystrzał i nie ma was, nie ma pociągu. Tego chcecie?

Białorusini najwyraźniej pozdejmowali palce ze spustów i wysadzili głowy zza ramp, starych beczek i wszystkiego, co tylko nadawało się do osłony. Wyglądało na to, że za chwilę zaczną się pertraktacje. Jeśli będziemy mieli szczęście, stracimy jedną cysternę razem z zawartością. Chociaż… Znajdowałem się nieco z boku transportera i jego

załoga mogła mnie nie widzieć. Postanowiłem zaryzykować i obejrzeć sobie dokładnie ustrojstwo zamontowane na pojeździe. Karabin wyglądał groźnie, ale nie dostrzegłem taśmy z nabojami. Mało tego, wydało mi się wątpliwe, by broń była obsługiwana zdalnie, ze środka pojazdu. Oczywiście mogłem się mylić.

– Szczurek – rzuciłem w kierunku jamy – masz granat czy coś?

Dłoń chudzielca wyłoniła się na moment ze schronienia i równie szybko zniknęła z pola widzenia, a po spękanej betonowej płycie posadzki potoczył się RKG-3, wyprodukowany przez Rosjan jakieś pięćdziesiąt lat temu granat przeciwczołgowy. Szczurek zawsze miał przy sobie jakiś ładunek wybuchowy – ot, takie zboczenie, które czasami mogło uratować życie. Miałem nadzieję, że ta zabawka zadziała i będę miał szansę zostać bohaterem. Kątem oka dostrzegłem, jak kolejnych dwóch Białorusinów upadło z rozpostartymi ramionami, a pozostali pozmieniali magazynki i przegrupowali się, chociaż trudno to było nazwać przegrupowaniem.

– Chcemy tylko… – ponownie szczeknął głośnik, po czym zapiszczał donośnie i umilkł.

„Sprzężenie" – pomyślałem i ruszyłem przez gruzowisko. Białorusini znowu otworzyli ogień, skutecznie przyciągając uwagę załogi transportera. O ile wewnątrz stalowego potwora znajdował się ktoś poza kierowcą. Widziałem to tak: korzystając z zamieszania wywołanego strzelaniną, podkradnę się do transportera, podrzucę granat, dam nura do jednej z jam pozostałych po betonowych słupach i zacznę się modlić. To powinno wystarczyć. Uczyniłem tak, jak pomyślałem.

Granat zadudnił na stalowym pancerzu, a ja o mało nie skręciłem sobie karku, lądując na dnie głębokiego wykrotu. Łupnęło porządnie, po chwili buchnął ogień z rozerwanego zbiornika paliwa. Z bronią gotową do strzału wyjrzałem z mojej kryjówki i uśmiechnąłem się. Transporter płonął, a w otwartym włazie pojawiła się postać otoczona kulą ognia i na ślepo ruszyła wprost na Białorusinów. Szczęknął pojedynczy strzał, żywa pochodnia upadła tuż przed lokomotywą. Wstałem i machając rękami, okrążyłem płonący wrak.

– To ja! – krzyknąłem.

Odetchnąłem z ulgą, kiedy komandir uniósł rękę na znak, że mnie rozpoznał. Nie ma to, jak umrzeć od omyłkowego postrzału sojuszników.

– Macie jakąś gaśnicę? – spytałem, wskazując na płonące zwłoki.

– *Da* – odpowiedział jeden z Białorusinów. – *Tolko za czto?…*

– Dobrze, że go zdjęliście, zanim wpadł między was.

– My? – Mężczyźni spojrzeli po sobie ze zdziwieniem. – *Nie ty strielał?*

Przez chwilę zastanowiłem się, skąd pochodziła gorąca ciecz, która właśnie zalała mi twarz. Przewracając się, zdołałem jeszcze dostrzec, jak eksploduje głowa komandira. Później nie widziałem już nic. Nie zdążyłem nawet zmówić zdrowaśki. Niektórzy

twierdzą, że przed śmiercią widzi się całe swoje życie. A ja wam mówię: gówno prawda.

Rozdział 4

Humor wisielca

Dziaduszka często powtarzał mi, że punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Jako małoletni gówniarz niezbyt przejmowałem się jego moralizatorskimi pogadankami. Tym bardziej, że wtedy kompletnie nie rozumiałem pointy, do jakiej dążył. Prawdopodobnie miałem ją odkryć sam, metodą prób i błędów. Tylko że w tych czasach błędy często kosztują życie, a już prawie na pewno ciężki uszczerbek na zdrowiu. W pewnym więc sensie Dziaduszka spartolił swoje nauki. Z drugiej znów strony…

Ostre, przenikliwe światło zatańczyło na moich zamkniętych powiekach, wymuszając zmianę pozycji. Przekręciłem głowę, ale sama powróciła do poprzedniej pozycji. Otworzyłem na moment jedno oko, ale torturująca mnie jasność szybko wymusiła ponowne zaciśnięcie powieki. Osłonięcie twarzy rękami również nie przyniosło spodziewanych efektów. Może dlatego, że nie byłem w stanie nimi poruszyć. Nogi także miałem jak sparaliżowane. Czułem tylko narastające ciśnienie w pęcherzu i to w tej chwili martwiło mnie najbardziej. Nieistotny był dokuczliwy chłód i zajebisty ból głowy. Każde uderzenie serca odczuwałem w skroniach niczym walnięcie młotem kowalskim, trząsłem się z zimna, ale w tej chwili jedynym moim marzeniem była możliwość odlania się gdzieś w krzakach.

Zajączki tańczące na mojej twarzy zniknęły na moment i mogłem wreszcie przekonać się, kto jest takim cholernym żartownisiem. Otworzyłem oczy i nieco się zdziwiłem, widząc plecy zakapturzonego kolesia wiszącego przede mną do góry nogami. Zaraz, zaraz… Chwileczkę… Coś tutaj się nie zgadzało. Koleś odszedł kilka kroków i odwrócił się w moją stronę, co oznaczało, że to ja znajduję się w pozycji skrajnie odmiennej od horyzontalnej, w jakiej ostatnio straciłem przytomność. W dodatku więzy dość boleśnie wrzynały mi się w łydki i staw skokowy. Nie przyszło mi do głowy, odwróconej zresztą,

że sytuacja jest trudna, bo poczułem, jak zaczyna we mnie narastać wściekłość.

Tymczasem zakapturzony typ przykucnął i włączył malutką latarkę dającą niesamowicie skupione i ostre światło. Ponownie zacisnąłem powieki. Byłem naprawdę wściekły.

– Słuchaj no… – spróbowałem odwrócić głowę, ale koleś wyciągnął rękę z latarką i ponownie oświetlił moją twarz. – Oż, w kurwę! – wrzasnąłem.

Latarka zgasła. Przez moment spodziewałem się kolejnej fali świetlnych tortur, ale nie nastąpiła. Wzruszyłbym ramionami, gdybym mógł, ale zakapturzony i tak chyba zrozumiał moją konsternację. Wstał i niespiesznie podszedł do mnie. Ukucnął tak, że jego skryta w kapturze twarz znajdowała się tuż przed moją.

„Dureń" – pomyślałem. „Zaraz odgryzę mu nos".

– Tylko nie odgryź mi nosa – szepnął – bo poderżnę ci gardło i wykrwawisz się jak prosię.

Nawet nie zauważyłem, kiedy poczernione ostrze znalazło się na mojej szyi, boleśnie ją kalecząc.

– Czujesz?

– Niby, kurwa, co? – warknąłem, starając się nie poruszać grdyką.

– Ech. Przestań powtarzać te podłe słowa.

– Jakie, kurwa…

Ostrze ponownie sprawiło mi ból. Zacząłem się właśnie zastanawiać, jaki ból ja sprawię temu zasrańcowi, jak już stanę na nogach. Gdybym chociaż wiedział, czy mam do czynienia z człowiekiem. Być może była to jedna z tych bestii w ludzkiej skórze, mutantów gorszych od wściekłych zwierząt. Nie, lepiej było się nad tym nie zastanawiać.

– Wypowiadasz brzydkie słowa, które ranią moje uszy – kontynuował swoją moralizatorską opowiastkę zakapturzony. – Nie czyń tego więcej.

– No, kur… Znaczy… Właściwie… czego, kurde, chcesz? – zapytałem w miarę spokojnie, tłumiąc wściekłość.

– Niczego.

– To po co ta cała szopka?

– Dla zabawy, samej w sobie.

– Nie kapuję. – Aż zamrugałem oczami, bo ucisk w pęcherzu się wzmagał.

– Nie musisz. Mam ubaw i to wszystko. Wiesz, pozwoliłem sobie ściągnąć z ciebie ubranie. Nawet rozmiar pasuje.

– Oż, ty bladź… – Pohamowałem się od kolejnych przekleństw.

Teraz przyczyna zimna, jakie wstrząsało moim ciałem, stała się jasna. Ujrzałem cały obraz sytuacji. Ja, wiszący do góry nogami z gołym tyłkiem i wackiem na wierzchu, to

nie był widok dla grzecznych panienek. Dla tych niegrzecznych również nie. W każdym razie niezbyt częsty ostatnimi czasy. W dodatku gnój wystroił się w moje ciuchy, cokolwiek nieświeże, ale zawsze to bliższa ciału koszula – jak mawiał Dziaduszka.

– Teraz powiem ci, jak będzie – gnojek zignorował moją uwagę i zdjął kaptur. – Czekamy do wschodu słońca. Wtedy…

– Zrobi się trochę cieplej, nie? – przerwałem mu, delikatnie poruszając głową, by rozmasować mięśnie karku. Za moment powinny być mi potrzebne.

– Tobie – zaśmiał się, odrywając nóż od mojego gardła – tobie zrobi się cholernie gorąco.

Teraz albo nigdy. Taka okazja może się więcej nie powtórzyć. Rozluźniłem mięśnie całego ciała i pozwoliłem, by mój pęcherz w końcu zaznał ulgi opróżnienia.

– Co to? Pada? – zdziwił się gówniarz, kiedy pierwsze kropelki moczu spadły na jego czoło.

– Nie. Po prostu zachciało mi się szczać – wyprowadziłem go z błędu.

Małolat spojrzał w górę, wprost na mojego wacka i na moment zamarł. Zamarła też jego ręka uzbrojona w nóż. Strumień mojego moczu wzmógł się i teraz trafił wprost w jego otwartą gębę. Przynajmniej tak sądziłem, bo gnojek raptownie zgiął się w odruchu wymiotnym. Na ten moment czekałem. Podciągnąłem głowę do piersi i gwałtownie poderwałem się do góry. Twarz małolata spotkała się z moim czołem. Coś trzasnęło, chrupnęło i gówniarz jakby w zwolnionym tempie przewrócił się na bok. Zrobił to tak majestatycznie, że przez chwilę byłem dumny ze swojego dzieła. Tylko przez chwilę, bo w następnej ktoś przeciął sznur, na którym wisiałem. Muszę przyznać, że betonowa trylinka, jaką wyłożono plac obok bocznicy, była cholernie twarda.

– Pojawiłeś się w odpowiednim momencie – wykrzywiłem usta, masując sporego guza, który właśnie rósł na mojej skroni.

Ze świeżo zasklepionej rany nad uchem sączyła się krew, prawdopodobnie tam drasnął mnie pocisk wystrzelony przez tego domorosłego snajpera, lubiącego wieszać nieprzytomnych ludzi za nogi.

– No – chrząknął Szczurek i spuścił wzrok.

– Nie mogłeś się pofatygować wcześniej?

– Eeee… Od tego wybuchu coś mi spadło na łeb, tam w piwnicy. Dopiero teraz się ocknąłem. Wylazłem, rozglądam się i widzę jak ten pajac się z tobą zabawia…

– Ostatecznie to ja się z nim zabawiłem.

– No więc już się zbierałem, żeby mu przypierniczyć w łeb, kiedy żeś go znok… znokautował.

– Dobrze, że chociaż ty przeżyłeś. Dzięki za pomoc. Sam bym się nie mógł odciąć – wskazałem na sznur leżący u moich stóp. – W każdym razie bez noża byłoby trudno.

Swoją drogą miałeś szczęście, że akurat szabrowałeś po piwnicach. Gdyby nie to, ten gnój od razu zdjąłby cię ze snajperki.

– Niezły sprzęt, co? – Szczurek podniósł zdobyczny karabinek i oglądał go z uznaniem. – Może…

– Nie. To należy do mnie. Jako łup wojenny – odpowiedziałem zdecydowanie, oglądając stary radziecki SWD, kaliber 7.62 mm. – W końcu prawie oddałem za niego życie. Ty możesz wziąć latarkę.

– Naprawdę? – Ucieszył się chudzielec i chwycił ledową zabawkę, którą torturował mnie gnojek.

– Dobra, podaj mi buty. Spróbuję włożyć…

– Lepiej nie. Trzeba jeszcze poczekać. Ten sznur na zbyt długo odciął dopływ krwi.

– Aleś mądry! – Gwizdnąłem z udawanym uznaniem. – Podawaj te buty. Aha, nożyk też możesz zatrzymać. Gnojkowi już nie będzie potrzebny.

– No – skwitował Szczurek i spojrzał na nagą postać skrępowaną jak kaban i porzuconą obok dogasającego transportera.

– No i weszły – cicho jęknąłem, zawiązując sznurowadła.

– To co? Spadamy? – zapytał chudzielec.

– Bez pociągu? – Wskazałem na w połowie przemontowany skład. – Chcesz to tu zostawić?

– Eeee… – Szczurek nie miał zdania w tej kwestii.

– Widzę dwa wyjścia z tej patowej sytuacji – powiedziałem. – Możemy oddać naszym białoruskim towarzyszom ich własność. Chyba nie sądzisz, że pociągi towarowe pełne paliwa znikają codziennie i nikt ich nie szuka?

– Bo ja wiem?

– Wystarczy, że ja to wiem. Ty pewnie najchętniej opróżniłbyś cysterny i sprzedał ich zawartość, co nie?

– No…

– Tak też myślałem. Niestety, ten pomysł wsadź sobie w skarpety. Jak już mówiłem, odprowadzenie pociągu Białorusinom, jakkolwiek chwalebne by nie było, może skończyć się dla nas fatalnie. Bo niby jak byśmy wytłumaczyli im całą sytuację? Że niby przechodziliśmy obok i znaleźliśmy nikomu niepotrzebny towarowy skład? Sądzę, że oprócz dozgonnej wdzięczności naszych wschodnich towarzyszy otrzymalibyśmy też po kulce prosto w czoło. Jak ci się podoba taka alternatywa? Hę?

Szczurek wzruszył ramionami i zaczął grzebać palcem w nosie. Po chwili spojrzał na mnie i uśmiechnął się chytrze.

– A drugie rozwiązanie?

– Drugie rozwiązanie, mój kolego, jest o wiele bardziej ryzykowne. Właściwie jest

głupie i tylko idiota podjąłby się jego realizacji.

– Dlatego wybrałeś mnie – wypiął pierś chudzielec.

– Nie – odpowiedziałem sucho. – Aktualnie nie ma w okolicy żadnego ochotnika, więc ty musisz mi wystarczyć. Swoją drogą, zastanawiasz się czasami nad tym, co mówisz?

– Ja?

– Nieważne. Nie skończyliśmy roboty. W pięciu wagonach trzeba przerzucić podwozie. I teraz się tym zajmiemy? Wiesz, co będziemy robić później?

– Nie bardzo.

– Tak podejrzewałem. Jak widzisz, pełno tutaj trupów.

– Aha.

– Zabieram je ze sobą.

– Co? – chudzielec aż otworzył gębę ze zdziwienia. – A po chuj?

– To już moja sprawa – uciąłem.

W końcu udało się nam przygotować do jazdy skład i przyszła pora na bardziej makabryczną część roboty. Szczurek warczał coś pod nosem, ale dzielnie pomagał mi przenosić trupy Białorusinów i wciągać je na podest otaczający ostatnią cysternę. Pociągnął nosem, kiedy przenosiliśmy zwłoki maszynisty. Przez te kilka godzin zdążyliśmy się z nim zaprzyjaźnić.

– Zaczekaj – zapiszczał, przełykając łzy.

– Co znowu?

– Może… Jego…

– Jego też – powiedziałem stanowczo. – Po tylu latach nadal masz jakieś skrupuły? Sumienie cię gryzie czy jak?

– Nie – burknął Szczurek – nic mnie nie gryzie.

– No to wrzucamy go na dwa. Raaaz, dwaaa…

– A z tym gołym fagasem co?

– Ach… – zupełnie zapomniałem o gnojku, który wcześniej usiłował zrobić mi coś naprawdę brzydkiego.

– Zostawiamy go tutaj? – dopytywał chudzielec. – Coś go pewnie zeżre zaraz po naszym odjeździe.

– Pomysł z zeżarciem nie jest zły, ale wolałbym go wykorzystać trochę później. Żywy może mi się przydać jako karta przetargowa. Za jakiś czas.

Pociąg był gotowy do odjazdu. Została ostatnia sprawa.

– Kurwa, gdzie ty właściwie chcesz jechać tą kupą złomu? – Szczurek przyjrzał się składowi krytycznie.

– Nic ci do tego – odparłem z uśmiechem. – Ty masz do wykonania inne zadanie. Mam tylko nadzieję, że nasz wracz nie kopnął w kalendarz ze strachu.

* * *

Bocznica w Zubkach została za mną, Szczurek właśnie wiózł nieprzytomnego ze strachu lekarza w kierunku leśnej ostoi Dziaduszki, a goły fagas oglądał sobie świat z poziomu odkładnicy pługa zamontowanego na dziobie lokomotywy. Gnojek początkowo darł się w niebogłosy, później chyba stracił przytomność. Nie miało to dla mnie większego znaczenia. W tym momencie mój niedoszły kat był jedynie kupą mięsa, chwilowo jeszcze żywego. Nie widziałem powodu, by zajmować się nim dłużej.

W bladym świetle wschodzącego słońca zamajaczyły pierwsze kikuty zabudowań i nagle nabrałem ochoty, by wcisnąć klakson. Przejazd towarowego składu i wydarzenia w Zubkach narobiły wystarczającego hałasu, by zaalarmować mieszkańców Gródka. Wiedziałem, że mijane przeze mnie ruiny i zgliszcza są tylko na pokaz. Leżały przy głównej drodze i ich zadaniem było odstraszenie przygodnych wędrowców i poszukiwaczy przygód. Ci, którzy ocaleli, skupili się bliżej centrum, żyli z przemytu i mieli się całkiem dobrze. No może z wyjątkiem gnojka przywiązanego do pługa i jego kumpla odstrzelonego kilka godzin wcześniej.

Lokomotywa toczyła się powoli, szyny i podkłady pracowały, wydając regularne „tuch-tuch". Świat szarzał, przypominając mi, że nadal żyję i będę musiał przetrwać kolejny dzień. Ten zapowiadał się wyjątkowo paskudnie.

– Dobra! – powiedziałem sam do siebie, widząc niewielką przecinkę w karłowatym lesie, który skrywał odchodzące w jego głąb szyny.

Na wielkiej wypłowiałej tablicy, przymocowanej do zardzewiałego znaku kolejowego, można jeszcze było dostrzec przekreśloną sylwetkę człowieka i litery układające się w wymowny napis: „Niebezpieczeństwo! Zakaz wstępu!".

Delikatnie wyhamowałem pociąg, starając się, by ostatni wagon znajdował się kilka metrów za rozjazdem. Przynajmniej miałem nadzieję, że ta trudna sztuka mi się udała. Odblokowałem drzwiczki i otworzyłem je kopniakiem. Chwyciłem metalową łapkę, sprawdziłem czy Wesoły Przyjaciel jest na swoim miejscu i ostrożnie zszedłem po stopniach. Nie zdawałem sobie sprawy, że najniższy znajdował się teraz, co najmniej półtora metra nad nasypem, więc zeskakując z niego o mało nie skręciłem sobie stawu skokowego. Zakląłem tak, jak tylko ja potrafię kląć, i rozejrzałem się uważnie dokoła. Nie zauważyłem żadnego podejrzanego ruchu wśród karłowatych drzewek, najmniejszy szelest nie płoszył spokoju wstającego dnia. Pomijając oczywiście dudniący silnik lokomotywy. Splunąłem i ruszyłem w kierunku rozjazdu. Odgarnąłem nogą piasek i moim oczom ukazała się krzyżownica. Wbiłem łom między szynę toru zasadniczego

i iglicę szyny toru zwrotnego, naparłem ramieniem na metalowy drąg i usłyszałem charakterystyczne „trrrrrrrk". Zwrotnica przestawiła się. Zadowolony wróciłem do lokomotywy, włączyłem nastawnik na „wstecz" i z ulgą przyjąłem drgnięcie maszyny. Wózki trzęsły się na zasypanym piaskiem torze, a stalowe koła zdawały się lada chwila wyskoczyć z szyn. Miałem nadzieję, że skład nie wykolei się w tym właśnie miejscu. Nie byłby to pech. Raczej kurewska niesprawiedliwość.

Przejechałem na wstecznym biegu dobry kilometr, gdy zauważyłem majaczącego w oddali kozła oporowego – solidną betonową zaporę, pomalowaną w czarno żółte pasy. W tym miejscu kończyła się moja podróż. Kiedyś znajdował się tutaj duży tartak, a dalej wielka odkrywkowa kopalnia minerałów. Po Rozbłysku ludzie oczywiście ukradli to, co było do ukradzenia, resztę puścili z dymem. Aż dziwne, że nie spłonęły okoliczne lasy. Zresztą… Może i spłonęły, kto to wie, kto pamięta? W każdym razie pewnego dnia górnicy uciekli w popłochu, zakład zamknięto, a torowisko zablokowano betonowym kozłem. Ale szyny pozostały i prowadziły dalej, aż do wielkiej dziury w ziemi, z której wydobywano kruszec i ładowano na wagony. Być może ktoś wbił łyżkę koparki za głęboko lub odsłonił zasypaną jaskinię czy korytarz i otworzył jakieś od wieków nieużywane przejście, bo pewnego dnia pojawili się tutaj dziwni ludzie, chociaż określenie ich mianem „człowiek", nie jest zbyt adekwatne do prawdziwej natury tych hybryd. Tym właśnie byli, krzyżówką humanoida z wilkiem. Z daleka nie różnili się od ludzi. Po bliższej i dokładniejszej obserwacji okazywało się, że ich żuchwy i szczęki są nieco przerośnięte, ciało pokryte gęstą sierścią, palce i dłonie przypominają bardziej szpony, a zęby wyglądają jak kły dzikiej bestii. Dla wielu pechowców był to ostatni widok w życiu. Istoty te były znane przed Rozbłyskiem głównie z legend i nazywano je, w zależności od regionu, vulcolacami, vrycolokasami, warcolakami czy wreszcie wilkołakami. Jakiś naukowiec musiał się tym pasjonować, bo w naszej biblioteczce w schronie znalazłem kiedyś *Bestiariusz słowiański,* opisujący historię i zwyczaje krwiożerczych stworów ze świata naszych przodków. Kiedy nadeszła apokalipsa, nadeszły i one. Ale mimo to nie myślałem, że kiedykolwiek poznam osobiście jednego z nich.

Zjawił się na mej drodze tego tragicznego dnia. Pędziłem na złamanie karku zdezelowaną furgonetką ukradzioną Maksymilianowi. Na siedzeniu pasażera, nie dając oznak życia, leżała zakrwawiona Lena. Celowo wybrałem drogę okrężną, wiedząc, że moi towarzysze broni już rozpoczęli pościg i depczą mi po piętach. Kluczyłem po bezdrożach, przemykałem po piaszczystych łachach, ryzykując wciągnięcie przez ruchome piaski, dociskałem gaz do dechy na leśnych przecinkach, nie zważając na skamieniałe pnie, na których w każdej chwili mogliśmy zakończyć naszą podróż.

Skręcałem właśnie na znany mi stary dojazd pożarowy i nieomal wpadłem na wielki

głaz leżący na rozstaju dróg. Zatrzymałem auto, otarłem pot z czoła, zerknąłem na Lenę i wtedy ujrzałem bestię: wielką, włochatą postać wiszącą do góry nogami. Wpadła w jedną z pułapek zastawionych przez nadgranicznych przemytników. Stalowa linka i specjalna konstrukcja naciągowa, starannie zamaskowane wśród pni, były niezwykle skuteczne. Wilkołak wisiał z zamkniętymi ślepiami, na zranionej nodze zasychała krew, a wokół krążyły wielkie, zmutowane, mięsożerne muchy plujki. Stwór najwidoczniej próbował się uwolnić, ale przegryzienie stalowej plecionki jest trudne, nawet jeśli jest się wyposażonym w garnitur ostrych jak brzytwa zębów. Łatwiej odgryźć sobie nogę, ale wilkołak bez nogi to martwy wilkołak. Do tej pory nie potrafię zrozumieć, dlaczego wysiadłem z auta i odciąłem potwora. Kiedy z jękiem uderzył o ziemię, uchylił jedno oko i jego palący wzrok niemal mnie zahipnotyzował. Stałem z otwartymi ustami i gapiłem się na to dzikie stworzenie.

– Ja Valentis Szalony – wychrypiał w końcu i uniósł się na łokciu. – Ja mieć dług. Ja go spłacić. Ty przyjść, kiedyś…

– Spokojnie, nie ma sprawy – odparłem. Poczułem dziwną sympatię do tego stworzenia, ale dodałem: – Nie będę cię szukał.

Wyobraziłem sobie, jak błądzę po pustkowiu i wołam tego gościa, bo akurat mam do niego sprawę. Zimny dreszcz przeszedł mi po plecach na samą myśl. Odwróciłem się i chciałem już odejść, kiedy powiedział:

– Czekaj! Jakie imię?

– Ja Kamyk – odpowiedziałem w jego gramatyce, co mnie nawet rozbawiło. – Uważaj na siebie!

– Kamyk! – zatrzymał mnie ponownie. – Bocznica. Tartak. Kopalnia. Znasz?

– Znam – odparłem. – Dzięki, Valentis! Naprawdę muszę jechać. – Podniosłem rękę w geście pozdrowienia, on zrobił to samo.

Widać, ten dobry uczynek mi się opłacił, bo dowiozłem Lenę do naszego domu bez dalszych przygód.

I oto jestem na tym pustkowiu, które wtedy wywołało we mnie dreszcz grozy. Kto by pomyślał!

Wsłuchując się w zgrzyt hamulców, modliłem się w duchu, by skład zdążył zatrzymać się przed betonowym kozłem. Z niepokojem wbijałem wzrok w niewielkie lusterko wsteczne, by po chwili uchylić okienko i wysadzić przez nie głowę. Pociąg znieruchomiał w sporej odległości od przeszkody, co mogłem zawdzięczać jedynie szczęściu, a nie moim umiejętnościom operatora lokomotywy. Zgasiłem złomka i wyciągnąłem ramiona, aż strzeliły stawy. Moi „kontrahenci” powinni wiedzieć o moim przybyciu od dawna. Już kiedy wbijałem łom w krzyżownicę, czułem na sobie wzrok istot zamieszkujących to miejsce, schowanych wśród dzikich ostępów pogranicza.

Obecność pociągu na pewno ich zdziwiła i zaciekawiła. Wiedziałem, że zostawią mnie w spokoju, dopóki nie wejdę na ich teren. Zrobiłem to jednak, w dodatku z wielkim hukiem. Na widok pierwszych humanoidalnych sylwetek wyłaniających się spomiędzy starych tartacznych ramp załadunkowych pociągnąłem za linkę uruchamiającą syrenę na dachu lokomotywy. Dmuchnęła głośno i donośnie. Nie liczyłem na ich odstraszenie. To byli solidnie zbudowani mężczyźni odporni na głośne dźwięki. Raczej starałem się im uzmysłowić, że się przed nimi nie chowam, że mam interes. Otworzyłem drzwiczki i usiadłem na pierwszym stopniu. Zdobyczny karabin niedbale położyłem na kolanach, zupełnie przypadkowo błądząc palcem w okolicy języka spustowego.

– Tu się nie wchodzi – bardziej zawarczał niż powiedział mężczyzna, który podszedł najbliżej.

– A jakże, wiem o tym – odpowiedziałem spokojnie.

– Tu się nie wchodzi… bezkarnie – podkreślił ostatnie słowo.

– Tak – potwierdziłem.

– Wykup musi dać – znowu warknął.

– Ostatni wagon. – Wskazałem na koniec pociągu. – Są dary dla was. Dosyć świeże.

Mężczyzna warknął coś i skinął kudłatą głową, na co dwóch innych jego towarzyszy pobiegło we wskazanym kierunku. Wrócili po chwili, powarkując z zadowoleniem. Mój rozmówca wyszczerzył kły w uśmiechu.

– Zadowolone my – powiedział. – Sam może odejść.

– Hola, hola, nie tak szybko. Coś za coś. Handel wymienny, czyż nie?

– Czego chce? – nadstawił spiczaste uszy wilkołak.

– Chcę dać coś na przechowanie

– A? – stwór wzniósł krzaczaste brwi i popatrzył na mnie prawie ludzkim wzrokiem. – Niech zostawia.

– To nie wszystko. Chcę, żebyście zasypali tory po moim odjeździe, tak żeby nikt tu nie trafił, nawet przypadkowo.

– Ty trafił.

– Znam to miejsce. Poza tym znam Valentisa.

– He! – szczeknął wilkołak. – U nas dużo się Valentis nazywa. Ja Valentis Szary.

– Valentis Szalony. Może mieć bliznę na nodze.

– A! – O mało nie połknął własnego języka. – Skąd ty znać go?

– Nie twój zasrany interes – odpowiedziałem, głaszcząc lufę broni. – Poślesz po Valentisa Szalonego i każesz mu powiedzieć, że Kamyk chce spłaty długu. On będzie wiedział, o co chodzi.

– Echhhhh… – rozległ się warkot pozostałych wilkołaków.

– Ty Kamyk? Ten, co kiedyś uratować Valentisa? – z szacunkiem pochylił łeb Szary.

– Nie będę czekał do zimy. Streszczajcie się.

– A to co? – mój rozmówca wskazał golasa wiszącego na dziobie lokomotywy.

– To prezent dla Valentisa.

– My już iść – zaszczekał Valentis Szary i wydal kilka pojedynczych warknięć.

Jego współplemieńcy błyskawicznie sprzątnęli zwłoki z ostatniego wagonu i zniknęli pomiędzy drzewami. Po chwili usłyszałem wycie, odpowiedziało mu inne, gdzieś dalej. Jest to ten rodzaj nawoływania, od którego cierpnie skóra, nawet mnie. Słysząc je, masz ochotę uciekać, a jeśli nie możesz biec – klepać zdrowaśki. Popełniamy błąd, traktując ich jak ludzi przemienionych w wilki. To nie są żadni kanibale, to po prostu drapieżne bestie umiejące mówić. Nie mają nic wspólnego z ludźmi, nie są nimi w najmniejszym stopniu. A przynajmniej od dawna nimi nie były. Zastanowiłem się chwilę nad tym gatunkiem, który rozplenił się na zgliszczach starej cywilizacji. Każdy z wilkołaków wyglądał prawie tak samo, co obalało mit o mutacji gatunku wywołanej promieniowaniem, jakie uderzyło w Ziemię po Rozbłysku. Każdy organizm mutuje inaczej, dwóch różnych ludzi może przekształcić się w dwa kompletnie odmienne od siebie stwory. Takich przypadków widziałem aż nadto. Ale wilkołaki jako nowy gatunek, który powstał na skutek genetycznej mutacji? Mnie taki pomysł wydawał się gówno wart. Zresztą… Niech naukowcy zajmują się tymi kwestiami. Oczywiście, o ile jacyś przetrwali.

Kolejne wycie, tym razem rozlegające się tuż koło lokomotywy, sprawiło, że mimowolnie podskoczyłem i zapragnąłem wcisnąć się we wnękę za szafą elektryczną.

– Ech! Kamyk, to ty? – usłyszałem gardłowy charkot dobiegający gdzieś z dołu.

Opuściłem głowę i spojrzałem prosto w przekrwione ślepia Valentisa Szalonego.

– Aleś mnie podszedł. Tak, to ja, ty stary gadzie.

– Tak, to ty. Chcesz coś do mnie?

– Tak.

– Achhhh… – Valentis pogładził gęste, czarne włosy porastające jego szyję i policzki. – Co?

– Popilnujesz moich wagonów. Każdego, kto się do nich zbliży, możesz zjeść.

– A! – zębiska wilkołaka zalśniły we wschodzącym słońcu. – Ty wiedzieć, co mówić?

– Wiedzieć. Trzeba też na powrót zamaskować te tory. Lokomotywa trochę zniszczyła waszą misterną robotę. Aha! Specjalnie dla ciebie mam mały kąsek. Przez noc skruszał na wietrze.

Valentis podszedł do gnojka przywiązanego do pługa. Chłopak, jakby w przeczuciu najgorszego, ocknął się i zaczął wrzeszczeć.

– To jak, stary gadzie? Umowa stoi?

– Co ma nie stać? – warknął wilkołak i jedną ręką skręcił gnojkowi kark.

* * *

Rozrusznik zakręcił i silnik mojej furgonetki zatętnił życiem. Przepióreczka wypiął pierś i wskazał mi fotel obok kierowcy.

– Podrasowałem nieco to cacko – powiedział. – Czas na jazdę próbną. Mechanik prowadzi!

– OK. – Podniosłem ręce w geście poddania. – Ustępuję przed mistrzem.– Aha! Ruszajmy! – Przepióreczka wcisnął na czubek głowy poplamiony smarem kowbojski kapelusz. Jego nos wieńczyły lustrzane pilotki, w których ujrzałem własne, zniekształcone krzywizną szkła, odbicie.

– Czy ty coś widzisz w tych okularach?

– Jak cholera! – wyszczerzył się mechanik i wdepnął pedał gazu.

Furgonetka wyrwała do przodu niczym pocisk. Sześciocylindrowy silnik diesla nieźle dawał sobie radę z ponad dwoma tonami wagi. Prawie trzysta koni mocy pozwalało w miarę sprawnie podróżować zarówno w mieście, jaki i po spękanym asfalcie ciągnącym się przez rumowiska. Po „operacji" Przepióreczki auto zdawało się lekkie jak piórko.

– Nieźle toto jeździ – powiedział z uznaniem Przepióreczka, zbliżając się do betonowej bramy.

Zaterkotał kołowrót i ściana przesunęła się, wypluwając nas na ziemie niczyje.

– Teraz testujemy! – Mechanik uśmiechnął się łobuzersko, pomachał wartownikowi pilnującemu bramy i wcisnął gaz do dechy, wsłuchując się w pracę silnika ze świstem wkręcającego się na obroty.

Zostawiliśmy za sobą Squat Węglowa, przystosowany do nędznej egzystencji i otoczony ruinami istniejącego tutaj kiedyś osiedla domków jednorodzinnych. Całość sprawiała dosyć przygnębiające wrażenie i odstręczała przypadkowych podróżników przed zatrzymywaniem się na dłużej w tak podejrzanej okolicy. To był jednak czyjś dom. Mieszkańców podobnych oaz nazywano Wolnymi Ludźmi, bo pracowali na własny rachunek. Squat Centrum zapewniał godne życie pełne rozrywek w zamian za mniej lub bardziej ciężką i niebezpieczną pracę. Zawsze jednak nad głową majaczył karabin kogoś ważniejszego, silniejszego. Wolnych Ludzi nie dało się kupić świecidełkami i butelką wody sodowej. Nie było ich wielu – najczęściej kilka bloków otoczonych kordonem połamanych płyt betonowych i wraków aut spełniało swoje zadanie. Stanowiły oazę w tym brutalnym świecie. Eden dla kilkudziesięciu twardzieli. Taki był ich wybór. Taki był wybór Przepióreczki, który stworzył ten przytułek dla odszczepieńców,

niepotrafiących lub niechcących żyć w społeczeństwie, jakie by ono nie było.

Słabe światełka kwitnące w pustych oczodołach budynków z czerwonej cegły oddalały się coraz szybciej. Dostrzegłem jeszcze zamykającą się bramę Squatu Węglowa i odwróciłem głowę. Kiedyś, gdy jeszcze walczyłem dla Maksymiliana, nie było dla mnie ważne „jutro". Żyłem z dnia na dzień, wyjeżdżałem na akcję, a w mojej głowie nigdy nawet nie pojawiła się niepokojąca myśl, że być może po raz ostatni widzę Squat, swój dom. Prawdę mówiąc, śmierć czekała wszędzie. Tereny niczyje położone najbliżej centrum dawnego miasta zostały oczyszczone z wszelkiego plugastwa polującego na ludzi. Właściwie można było się tam osiedlić w każdej chwili, oczywiście po uzyskaniu błogosławieństwa Maksymiliana. Jednak osiedla odległe o kilka kilometrów od Śródmieścia, opuszczone i niszczejące, nie były tak martwe, jak można by się spodziewać. Nieostrożny lub głupi wędrowiec nocujący wśród betonowych ścian, ozdobionych łuszczącymi się płatami farby, mógł się spodziewać niespokojnych snów. W końcu zdałby sobie sprawę, że girlandy wnętrzności, które ktoś dla draki porozwieszał na sterczących ze ścian drutach zbrojeniowych, są jego własnymi wnętrznościami, a dziki wrzask wydobywa się z jego własnych ust. Wtedy zrozumiałby, że lepiej było ominąć opuszczone osiedle szerokim łukiem. Nie należało też schodzić z utwardzonej drogi. W czeluściach spękanej ziemi, w nieckach powstałych na zapadliskach, w smaganych wiatrem samotnych ruinach także czekała śmierć. Nieostrożna stopa postawiona z dala od asfaltowej ścieżki mogła zostać szybko i bezszelestnie odgryziona na wysokości pasa. Resztę krwawiącego truchła wciągały ruchome piaski i kryjące się w nich bestie. Jedynym ratunkiem była asfaltowa droga. Jedyną świętość stanowił chroniony szlak i jego należało się trzymać. W przeciwnym wypadku…

Furgonetka zaczęła się lekko bujać na pofalowanym podłożu, wypiętrzonym przez wędrujące piaski. Przepióreczka zaklął i zmniejszył prędkość.

– Mogliby poprawić ten odcinek. Gówniana ta droga – stwierdził.

– Poprawią, jak Maksymilian zechce.

– Może, kiedyś.

– Wątpię, Przepiór. Ta nitka kończy się na twoim Squacie. Dla Maksymiliana to droga donikąd. Po co mu remont takiej drogi?

– Donikąd! – Przepióreczka łypnął na mnie okiem. – I to nie jest mój Squat. Należy do wszystkich jego mieszkańców.

– Marzyciel! – Uśmiechnąłem się i wyciągnąłem na fotelu. – Daleko jeszcze?

– Jesteśmy w połowie drogi.

– Że też dałem się namówić na ten wypad! – Pokręciłem głową. – Na nadmiar wrażeń w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin nie mogłem narzekać.

– Trochę rozrywki jeszcze nikomu nie zaszkodziło – wyszczerzył się Przepióreczka. – Dobra dupa to sedno zadowolenia.

Nie słuchałem olbrzyma. Moje myśli błądziły gdzieś daleko, za siedmioma blokami i dziesięcioma wiaduktami. Nagle zapragnąłem być przy jasnowłosej Lenie. Szczurkowi ufałem i miałem pewność, że dostarczył lekarza na miejsce. Nie miałem jedynie pewności, co do umiejętności wracza. Pozostało mi tylko mieć nadzieję…

Szybko zapadający zmrok błyskawicznie wyziębiał powietrze, które także zabijało spóźnialskich. Solidny koc lub śpiwór na ogół załatwiał sprawę. Zdarzały się wyjątki. Przepióreczka uruchomił nawiew, ustawił temperaturę i po chwili w aucie zrobiło się ciepło i przytulnie. Zamknąłem oczy i poddałem się kołysaniu auta. Jednostajny rytm koił, usypiał…

– Przyyyjdźźźź … – zdawał się mruczeć silnik furgonetki.

Autem szarpnęło, rąbnąłem głową w pancerną szybę i obudziłem się.

– Co mówiłeś? – spojrzałem na Przepióreczkę.

– Jesteśmy na miejscu!

Mechanik wskazał oświetlony reflektorami dużej mocy punkt kontrolny umiejscowiony przy dawnym rondzie św. Faustyny Kowalskiej. Po prawej stronie znajdował się tunel prowadzący kiedyś ku dawnej alei Tysiąclecia Państwa Polskiego. Po lewej, u zbiegu ulic Jurowieckiej i Poleskiej, zbudowano barykadę obsadzoną przez uzbrojonych drabów. Pośrodku widniało coś na kształt bramy szerokiej na jedno auto. Przepióreczka ruszył wolno w tym kierunku. Oberwaniec w odblaskowej kamizelce i z kałasznikowem przewieszonym przez ramię wyciągnął rękę w znajomym geście. Hamulce jęknęły i furgonetka zatrzymała się tuż przed jego kolanami. Mechanik opuścił szybę i pokazał przepustkę. Oberwaniec nonszalancko podszedł do pojazdu i zajrzał do wnętrza.

– Cel wizyty? – rzucił.

– Interesy – odpowiedział Przepióreczka i wyszczerzył się w fałszywym uśmiechu.

– A ten? – Wartownik wskazał palcem na mnie.

– A ten to turysta – odparł olbrzym i powachlował się odpowiednim banknotem.

Wartownik zgrabnie przejął banknot i zapytał:

– Posiadacie broń?

– Skądże! – Przepióreczka odegrał niewiniątko. – My?!

Obszarpaniec wzruszył ramionami i wykonał nieokreślony gest ręką. Zasiek z drutu kolczastego usunięto, bramę otwarto, a my spokojnie wjechaliśmy do środka. W odległości jakichś 400 merów po prawej stronie, tuż przy dawno wyschniętej rzeczce Białej, znajdował się kompleks dawnej galerii handlowej i hotelu, obecnie gniazdo rozpusty i najróżniejszych zboczeń. W mrocznych i dusznych pokoikach hotelowych

można było znaleźć wszelakie trunki i używki, przyjemności i tortury, chłopców i dziewczynki. Wszystko za brzęczącą monetę. Według upodobań i preferencji zdegenerowanych umysłów, jakie tylko zrodziły się na tej niegościnnej i jałowej ziemi. Tak mi przynajmniej zrelacjonował sytuację mój kompan. „Witamy w Squacie Czerwonych Latarni" – zdawała się krzyczeć pomalowana na krzykliwe kolory fasada dawnego kompleksu handlowego.

Przepióreczka zaparkował auto przed hotelem-burdelem nad Białą, obok innych pojazdów ozdobionych przeróżnymi symbolami. Dominowały trupie czaszki ze skrzyżowanymi pistoletami – historyczny już znak rozpoznawczy Squatu Centrum, którego mieszkańcy podporządkowali sobie wszystkich dokoła – zarówno tych zrzeszonych w innych squatach, jak i wolnych strzelców. A nad wszystkimi górował budynek z czerwonej cegły, zwieńczony dwoma strzelistymi wieżami i doskonale widoczny z każdego miejsca w Śródmieściu. Na szczytach wież katedry kiedyś znajdowały się krzyże. Przepiór opowiadał, że te krzyże można było dostrzec z wyższych pięter hotelu-burdelu nad Białą. Musiałem mu uwierzyć na słowo. Świątynię dzieliło może pół kilometra w linii prostej od Squatu Czerwonych Latarni. Później katedrę przemianowano na tanclokal o wdzięcznej nazwie „U Szalonego Maksa". Łatwo się domyślić skąd wzięła się nazwa. Dla mnie osobiście lokalizacja tancbudy wcale nie była zabawna. Nigdy nie interesowały mnie upadłe kulty, ale pamiętam, że Babuszka i Dziaduszka mówili o przybytkach wiary z niezrozumiałą dla mnie czcią. Prześmiewca Maksymilian – tak, wtedy jeszcze miał poczucie humoru – szukał ustronnego miejsca na peryferiach swojego Squatu i znalazł podupadającą świątynię. Arcybiskup otrzymał propozycję nie do odrzucenia i spakował się w ciągu kwadransa. Po kolejnym kwadransie opuścił granice Squatu. Podobno odchodząc, odwracał się co kilka kroków i kreślił znak krzyża…

– Nie zasypiaj – solidny kuksaniec Przepióreczki wyrwał mnie z zadumy. – Wchodzisz czy nie?

Mój towarzysz jako pierwszy wparował przez obrotowe drzwi i skierował się wprost do baru. Zasiadł na poobgryzanym przez ząb czasu stołku barowym. Metalowa noga jęknęła głośno pod jego ciężarem, ale wytrzymała. Przycupnąłem obok niczym mysz na zboczu góry.

– Dwa sikacze, tylko z najwyższej półki. Nie płacę za pianę – oznajmił Przepióreczka i uważnie obejrzał butelkę, która wylądowała na barze przed nim. – Czyżbyś miał problemy ze słuchem, kolego?

– Nie jesteśmy kolegami – spokojnie odpowiedział barman z twarzą ozdobioną dziurami po ospie. Zresztą, może to wcale nie była ospa…

– Gdzie on lezie?! – Przepióreczka zacisnął potężne dłonie, spoglądając za spokojnie

oddalającym się barmanem. – Nie lubię, jak taki gnój mnie ignoruje.

– Pewnie ma innych klientów do obsłużenia. Byłem w kilku podobnych przybytkach i barman zawsze zachowywał się tak samo.

– Masz na myśli to, że każdy był gnojem?

– Coś w tym stylu – odpowiedziałem i otworzyłem piwo.

Rzeczywiście śmierdziało jak szczyny. Zrozumiałem, dlaczego Przepiór próbował protestować. Już miałem rozpocząć degustację, kiedy czyjś łokieć spoczął na moim ramieniu, a śmierdzący jakimś gównem głos wybełkotał:

– Mam was, figlarze!

Odwróciłem się powoli i spojrzałem prosto w zniszczoną narkotykami twarz największego brzydala, jakiego widziało słońce. Wydawało mi się, że już kiedyś spotkałem tego typa. Może pracował dla Maksymiliana? Albo dostał ode mnie po łbie w jakimś zaułku. Koleś patrzył nieprzytomnie, próbując pewnie przypomnieć sobie, jak mam na imię. Nie udało mu się.

– Zabieraj łapy, palancie – oznajmił Przepióreczka i strącił z siebie drugi łokieć intruza.

– Ależ Wiewióreczko…

– Spierdalaj mówię!

Chwiejący się na nogach mężczyzna zabrał ręce, ale nie odszedł. Zamglone, przekrwione ślepia wbijały się w nas z uporem.

– Ty nie jesteś Wiewióreczka… tylko… Przepióreczka… – z tryumfem oznajmił i zwalił się jak długi wprost pod nasze nogi.

– No ja pier… – sapnął Przepióreczka i spojrzał na mnie badawczo.

– To jakiś oćpany palant. – Wzruszyłem ramionami i pociągnąłem spory łyk paskudztwa nazywanego tu piwem.

– Palant – zgodził się mechanik – ale i człowiek. Zaraz ochroniarze wywleką go do rynsztoka. Przy okazji straci zawartość portfela.

– Wątpię, żeby miał portfel… Znasz go? Wiesz, jak się nazywa? On najwyraźniej ciebie zna.

– Jakoś… – Przepióreczka podniósł nieprzytomnego narkomana – …się pewnie nazywa. Lepiej stąd chodźmy.

Słońce dawno zniknęło za horyzontem, temperatura spadła grubo poniżej zera. Chłód na zewnątrz nieco otrzeźwił naszego nowego znajomego. Lepszy efekt dały dwa solidne strzały otwartą dłonią w jego zaślinioną gębę.

– Oprzytomniałeś? – Przepióreczka zamachnął się jeszcze raz.

– Zaczekaj! – Zatrzymałem rękę mechanika. – Odsuń się, zaraz będzie rzygał.

Miałem rację. Osunął się na kolana i fala wymiocin chlusnęła z jego ust. Przepióreczka

zwinnie uskoczył na bok, a wielobarwny kobierzec pokrył spękane płyty chodnikowe.

– Coś ty żarł? – pociągnąłem nosem i przezornie odsunąłem się od wymiotującego mężczyzny.

– Gówno... – wymamrotał i wytarł usta ręką. – Gówno cię to obchodzi. Zabierzcie mnie stąd.

– Niańczenie zarzygańców to nie nasza sprawa. – Mechanik wzruszył ramionami. – Dalej radź sobie sam. My wracamy do picia.

– Zabiją mnie. Zapłacę wam za pomoc. Dobrze zapłacę.

Przepióreczka spojrzał na mnie, po czym splunął.

– Jeśli coś przeskrobałeś – zwrócił się do narkomana – to pewnie będziesz musiał odpokutować. Niekoniecznie śmiercią. Ludzi nie zabija się ot tak, za nic. Wyrok musi wydać Trybunał…

– Gówno wiecie – sapnął mężczyzna, próbując wstać. – Nie będzie żadnego wyroku. Maksymilian mnie zajebie, rozumiecie czy nie?

– Maksymilian? – wtrąciłem. – Jeśli coś ukradłeś, to pewnie obetną ci dłoń. Czy coś się zmieniło w zasadach Squatu? Może dasz dyla?

– Nigdzie przed nim nie ucieknę. Jak? Strażnicy wszystkich kontrolują, nie prześliźnie się nawet mysz. Zresztą Maksymilian znajdzie mnie nawet w piekle.

– Oho! – rzuciłem zgryźliwie. – Kolega przeskrobał coś poważnego.

– A żebyś wiedział, ty... – zarzyganiec przyjrzał mi się uważniej. – Strumyk... Patyk... Ja ciebie też znam! Kamyk! Na ciebie mówią Kamyk.

Spojrzeliśmy na siebie czujniej, ja na Przepióreczkę i on na mnie.

– Spadamy! – Olbrzym trącił mnie w ramię. – To nie nasza sprawa.

– Może i nie! – narkoman wykrzywił wargi w czymś, co można było uznać za uśmiech. – Ale ja was znam…

– Gównozjad! – Przepióreczka ponownie splunął i pociągnął mnie w kierunku furgonetki. – Zdechnie tak, jak żył.

– Czyli jak? – zainteresowałem się.

– Bo ja wiem? W kałuży wymiocin?

– Ja ciebie znam… – zwrócił się do mnie narkoman. – Pamiętam cię…

– Tak? – zainteresowałem się i przyklęknąłem tuż obok tego wraku człowieka.

– Widziałem cię gdzieś… Kiedyś… Dawno temu…

– Wtedy jeszcze nie ćpałeś, prawda?

– Nie…

– Kurwa, spadamy – niepokoił się Przepióreczka.

– Nie – powiedziałem.

Narkoman wytrzeszczył przekrwione oczy i patrzył na mnie błagalnie. Gęsta ślina

kapała mu z ust, ale pewnie mu to nie przeszkadzało. Może nawet nie zdawał sobie z tego faktu sprawy.

– Pomóż mi.

Spojrzałem na Przepióreczkę. Ten pokręcił głową z dezaprobatą.

– Wynajmiemy mu pokój w hotelu. Na tydzień.

– Nie – warknął mechanik i rozejrzał się dokoła. – Spadamy, ale już.

– W takim razie u którejś z samodzielnych dziwek, po drugiej stronie ulicy.

– Kurwa mać, kurwa mać… Ale ty go niesiesz. Nie dotknę tego zarzygańca – wycedził Przepióreczka i ruszył przez ulicę, w kierunku nieźle zachowanych kamieniczek.

Podążyłem za nim na wpół ciągnąc, na wpół niosąc naszego nowego znajomego. Mechanik pewnie poruszał się między kamienicami, by w końcu zabębnić w drzwi ozdobione odpadającymi płatami farby. Otworzyła podstarzała dama, karykaturalnie wymalowana i koszmarnie brzydka.

– O, Przepiór! – zdziwiła się. – Masz czelność tutaj przychodzić? Po tym co… Ejże, a tych dwóch to co?…

– Mam do ciebie prośbę – grzecznie skłonił się mechanik – trzeba przechować tego zaszczańca.

– A co to, kurwa, przytułek jest? – wrzasnęła dama. – Tu się płaci. Ale pan Przepiór o tym nie pamięta. Podymać moje dziewczyny to się lubi…

– Zapłacimy – sapnąłem, sadzając ćpuna pod ścianą. – Przetrzymasz go przez tydzień, później wylejesz na pysk. Umowa stoi?

– A… A co masz? – burdelmama złagodniała.

– Dam ci konserwy, kanister oleju napędowego i to…

Wetknąłem w jej przepoconą rękę zwitek nowych rubli. Obejrzała, powąchała, spojrzała podejrzliwie na mnie i na Przepióreczkę, po czym schowała banknoty za brudny stanik i potrząsnęła ondulacją.

– Ale ty mi jeszcze wisisz za dwie dziewuchy! – Wskazała paluchem na Przepióreczkę.

– Zapłacę, zapłacę.

– Właściwie… – zastanowiłem się chwilę. – Może my też zostaniemy na noc. Jeśli szanowna pani pozwoli. Dług tego pana oczywiście spłacę.

Kolejne banknoty zniknęły w staniku, dama machnęła ręką i wdrapała się po trzeszczących schodach.

– Co ty wyprawiasz? – szepnął mi do ucha mechanik.

– Ja? To zdaje się twoja znajoma, a raczej znajome – syknąłem i skinąłem głową w kierunku kilku dziewczyn, które właśnie pojawiły się u szczytu schodów.

Żadna nie odezwała się nawet słowem. Razem z burdelmamą tworzyły raczej żałosną trupę brzydkich kacząteк niż doborowy zespół panien do towarzystwa.

– Przepiór, gdzie ty miałeś oczy, bzykając te dziwki?

– W rozporku oczywiście. Co się czepiasz?

– No, chyba właśnie tam – zgodziłem się, ciągnąc narkomana po schodach. – W knajpie widziało nas zbyt wiele osób. Jeśli ten koleś wykitowałby przed wejściem, szybko powiązano by nas z trupem. Tego chyba byśmy nie chcieli. A tak, wypijemy butelkę lub dwie, prześpimy się i rano wrócimy na Węglówkę.

– Racja – zgodził się olbrzym.

Burdelmama wskazała nam jeden z pokoi wyposażonych w pomalowane na czerwono żarówki i zatrzasnęła za nami drzwi. Mechanik, nie zdejmując butów, władował się do łóżka i spokojnie obserwował, jak meczę się z ćpunem.

– Ulokuj go na balkonie, będzie miał lepszy widok – powiedział w końcu.

– Zamarznie – zaoponowałem.

– Jego sprawa. – Przepióreczka nie był zbytnio zainteresowany losem zarzygańca.

– Nasza chwilowo też. Zrozum… – wysapałem, taszcząc narkomana w kąt pokoju. – Poznajesz go? Skoro on nas zna...

– Nie znam gościa – odparł mój przyjaciel. – Zupełnie go nie kojarzę.

– Ja też – sapnąłem. – Ale on nas zna. Mógłby być kłopot...

Przepiór tylko wzruszył ramionami w odpowiedzi. A jednak się zastanawiał nad starymi czasami, bo po chwili rzucił pytanie:

– Co z Leną?

Usiadłem obok niego i przez chwilę obserwowałem nieprzytomnego narkomana leżącego na podłodze.

– Co ma być? – odparłem.

– Ty mi powiedz.

– Wiesz... Ona się nie obudziła od tamtego dnia. A od jakiegoś czasu choruje, ma gorączkę. Nawet Dziaduszka nie jest w stanie jej pomóc. Jego zioła nie działają albo są za słabe – wyznałem.

– Gdzie ją trzymasz?

– Przecież wiesz, Przepiór, że ci nie powiem. Nawet tobie – zawiesiłem głos.

– Jasne, stary. Tak pytam. Wcale nie chcę wiedzieć. Dziaduszka z Babuszką się o nią troszczą. Gdzie? Twoja sprawa.

– Racja! Moja sprawa – potwierdziłem i nie powstrzymałem się od wyznania: – Lekarza do niej posłałem. Prawdziwego.

– O! Skąd go wytrzasnąłeś? – olbrzym naprawdę się zdziwił.

– Hm... Powiedzmy, że twoja lokomotywa pomogła...

Przerwało mi pukanie do drzwi. Chrząknąłem, a do pokoju zajrzało jedno z brzydkich kaczątek. Miało nie więcej niż osiemnaście lat i odstające uszy. Dziewczyna

uśmiechnęła się niepewnie i głośno przełknęła ślinę.

– Czy panowie czegoś sobie życzą? – spytała drżącym głosem.

– Flaszkę albo od razu dwie – odpowiedział Przepióreczka i gestem odprawił dziewczynę. – Chyba jakaś nowa.

– Jesteś tu stałym bywalcem, jak widzę.

– Przesada – skrzywił się mechanik – czasem tu zachodzę.

– Ty, Przepiór, tam pod knajpą mówiłeś coś o jakimś Trybunale. Pamiętasz?

– Ach! Ty o niczym nie wiesz. Maksymilian powołał do życia Trybunał. W trybie doraźnym sądzą i skazują wszystkich sprawców przestępstw. Na usługach Trybunału są goście z Czarnego Komanda. To banda rzezimieszków działających na terenie Białego Miasta. I tylko tam. Wolni Ludzie są, jak sama nazwa wskazuje, wolni. Tam łapy Trybunału nie sięgają.

– Ten znowu swoje – wydałem wargi.

– Squaty leżące na terenie Białego Miasta – kontynuował Przepióreczka – są mniej lub bardziej powiązane. Rzekłbyś – skonfederowane. Oczywiście zależą całkowicie od widzimisię Maksymiliana. To w zasadzie normalne, że wyznaczył granice, których nie wolno przekroczyć. Gdy ktoś łamie zasady gry, pojawia się Czarne Komando. Zamaskowani funkcjonariusze sprawnie wyłuskują podejrzanych, Trybunał rozpoznaje sprawę i natychmiast wydaje wyrok. Na ogół sprawiedliwy.

– Tak – rzuciłem z powątpiewaniem – sprawiedliwy sposób eliminacji wrogów.

– Przesadzasz.

– Nie sądzę.

Drzwi skrzypnęły i na stoliku pojawiły się dwie butelki i dwie szklanki. Dziewczyna dygnęła i zastygła w oczekiwaniu.

– Przyjdź później – sapnął Przepióreczka i odkorkował szkło. – Przednia prymucha – wymruczał, wciągając w nozdrza aromat zgromadzony w szyjce.

– Rozlejesz czy będziesz to wąchał przez resztę nocy?

– Rozleję! – powiedział ochoczo i sprawnie nalał płyn do szklanek.

– Zamierzasz oddawać się rozpuście, kiedy już padnę narąbany jak stodoła? – zapytałem, pociągnąwszy spory łyk.

– Może… – Wychylił całą szklankę, nalał sobie kolejną i uśmiechnął się łobuzersko. – Pamiętasz takiego chłopaka, co to robił za popychadło u Maksymiliana?

– Chodzi ci o tego chorego na umyśle?

– O tego samego – wyszczerzył się Przepiór. – W jego osiemnaste urodziny kilku żartownisiów postanowiło zaprowadzić go do burdelu. Wiesz, żeby przeżył swój pierwszy raz. Zapłacili dziwce, ta wzięła chłopaka za rękę i poprowadziła do pokoju. Po chwili wyszła, rzuciła im kasę pod nogi i wyzwała, na czym świat stoi. Zdezorientowani

wpadli do pokoju, a tam na środku stoi ten głupek z gaciami opuszczonymi do kolan i beczy jak baba. I wiesz co? Ten głupek miał kutasa aż do kolan. Dasz wiarę?

– No. I że niby ta dziwka się wystraszyła czy jak?

– He, he. Kazała im zaprowadzić głupka do kobyły albo krowy. Rozumiesz? Skąd oni niby mieli mu wziąć kobyłę?! Albo krowę?!

Szczerze go bawiła ta anegdota. Patrząc na roześmianego przyjaciela, poczułem się niemal błogo.

– Przepiór? – zagaiłem czule.

– Tak?

– Ty jednak jesteś starym zboczeńcem.

– No… – Mechanik mlasnął językiem i wlał w siebie zawartość szklanki. – No…

Rozdział 5

Rozmowy z katem

Światełko na końcu tunelu rozbłysło po raz kolejny. Na moment przybrało krwistoczerwoną barwę, by po chwili zblednąć, przygasnąć. Zawsze zastanawiało mnie, na ile prawdziwe były opowieści Dziaduszki o zaświatach. Śmierć kiedyś zapuka do naszych drzwi i jeśli akurat będziemy w domu, to... Cóż. Czasami jednak koścista narzeczona ma pecha i pocałuje klamkę. Wtedy zaczynają się schody. Polowanie na delikwenta, który dał nogę i tak dalej. Klient kostuchy najczęściej wpada podczas ulicznej potyczki, przypadkowego napadu na sklepik, rajdu na konwój z paliwem czy też kończy jako pokarm jakiejś krwiożerczej bestii. Śmierć, tak czy siak, zawsze osiąga swój cel. Bilans w tym pogrzebowym interesie zawsze musi się zgadzać.

Światełko znów zabłysło, jego żar stał się intensywniejszy. Bardziej wyrazisty. Czy tak może wyglądać właśnie ta jasność na końcu tunelu? Dłoń jakiegoś stwórcy przyciągająca swoje dziecko, gładząca jego policzki... Właściwie to wszystko mogłoby się skończyć już teraz. Dotknięcie jakiegoś boga…

Siarczysty policzek sprowadził moją błądzącą duszę z powrotem do ciała. Uświadomiłem sobie, że światełko na końcu tunelu jest żarem tlącego się w ciemności papierosa. Dziaduszka jednak nie miał racji. Bóg nie istnieje, a śmierć jest końcem, tylko i wyłącznie końcem. Wszystkiego.

– No… – usłyszałem chrapliwy głos. – Nasza śpiąca królewna w końcu się obudziła.

– Naprawdę? – odpowiedział mu inny, niemal aksamitny głos. – Może warto to sprawdzić?

– Aha! – przytaknął pierwszy i kolejny strzał z otwartej dłoni spadł na mój policzek.

Z całych sił starałem się utrzymać głowę w pionie. Nie udała mi się ta trudna sztuka, podbródkiem pacnąłem we własną klatkę piersiową. Nawet nie bolało. Nic mnie już nie

bolało.

Gdzieś wysoko nade mną pewnie świeciła goła żarówka, a Pan Chrypka wszedł w rzucany przez nią krąg światła. Niemal pod nos podsunął mi poobijane wiadro, pełne cuchnącej mieszaniny stęchłej wody, moczu i ekskrementów.

– Spragniony? – zarechotał i chlusnął zawartością naczynia prosto w moją twarz. – To pij, kurwa twoja mać.

Gdybym był w stanie wymiotować, pewnie obrzygałbym nie tylko Pana Chrypkę, ale i Pana Aksamitnego, skrytego za żarem papierosa i zasłoną ciemności. Pusty żołądek nawet nie zareagował, a z wyschniętego gardła wydobył się jedynie trudny do określenia skrzek.

– O! – zdziwił się Pan Chrypka. – Coś mówi!

– Dobrze, wystarczy! – Aksamitny głos dobiegł gdzieś z bliska. Z bardzo bliska.

Próbowałem otworzyć zapuchnięte oczy. Nie udało mi się. Głowa, pozbawiona wsparcia umęczonych mięśni, znów opadła mi na pierś. Poczułem dziwny zapach, w zasadzie ładny, jednak niepokojący. Resztkę świadomości skupiłem na analizie pochodzenia tego aromatu. Taka dziwna zagrywka umysłu zagnanego w kozi róg, w obliczu rychłego końca żywota. Po chwili otworzyłem usta i zaśmiałem się.

Pan Chrypka i Pan Aksamitny pewnie byli przez moment zdezorientowani. Silna dłoń chwyciła mnie za włosy i podniosła głowę wysoko, aż coś mi chrupnęło w karku.

– On się śmieje? – zapytał z niedowierzaniem Aksamitny.

– No, kurwa… – odpowiedział równie zaskoczony Chrypka.

– Marlboro – wymamrotałem.

– Co?

Zapach stał się jeszcze intensywniejszy.

– To Marlboro. Najprawdziwsze – zdołałem powiedzieć, zanim zamknęła się nade mną ciemność.

* * *

Śniłem.

W tym śnie leżałem obok jakiegoś zarzyganego ćpuna i podziwiałem podskakujące cycki małolaty, wyczyniającej cuda na Przepióreczce, który najwidoczniej zwalił mnie z łóżka. W zasadzie sytuacja była do zaakceptowania. Nie pamiętałem, jakie zrządzenie losu zaprowadziło nas do plugawego pokoiku i jaką rolę w naszej eskapadzie pełnił nieprzytomny narkoman. Trwałem w przyjemnym odrętwieniu i całą moją świadomość wypełniały te cycki, naprawdę niezłe. Z pijackiego amoku wyrwało mnie pukanie do

drzwi. Właściwie były to uderzenia tarana, w następstwie których do pokoiku wtargnęły zamaskowane, ubrane w czarne uniformy draby postury Przepióreczki. Później dowiedziałem się, że oni zawsze pojawiają się o nieludzkich porach, nie pukają do drzwi, nie przedstawiają się. Marnej jakości zamek pod dotknięciem tarana rozpadł się jak za sprawą czarodziejskiej różdżki. Drzazgi z rozbitej futryny jeszcze szybowały w powietrzu, kiedy zamaskowani mężczyźni zakuwali mi ręce w kajdanki. Funkcjonariusze Czarnego Komanda bez słowa wyciągnęli mnie z klitki, którą w tej chwili uznawałem za najbezpieczniejsze miejsce na świecie, moją głowę wetknęli do śmierdzącego szczynami worka i bezceremonialnie skopali ze schodów. Na zewnątrz na pewno czekał czarny transporter opancerzony, pozbawiony jakichkolwiek oznaczeń. Przez moment przypomniałem sobie nieszczęsnego ćpuna, leżącego w kałuży własnych wymiocin i pomyślałem, że być może to z jego powodu znalazłem się w tej cokolwiek patowej sytuacji. Solidne uderzenie kolbą pistoletu w głowę pozbawiło mnie tej wizji. Poczułem strużkę krwi na skroni i zastanowiłem się, czy to nowa rana, czy też wczorajsza. Przez całą drogę tkwiłem wciśnięty między dwóch rosłych funkcjonariuszy, półprzytomnie czując, jak powiększa się opuchlizna wokół mojego oka. Miarowe kołysanie pojazdu sprawiło, że na moment się zrelaksowałem, ignorując lufę karabinu wbijającą się w moje plecy. Jeśli Przepióreczka miał rację, Trybunał wydawał sprawiedliwe wyroki. Jako uczciwy człowiek nie miałem powodu, by obawiać się czegokolwiek. Czułem jednak pewien niepokój, irracjonalny lęk przed nieznanym. Nie wiedziałem, gdzie jestem i dokąd zmierza transporter. Z drugiej strony być może wcale nie znajdowałem się w transporterze, tylko w poobijanej półciężarówce. Nie mogłem przeceniać Maksymiliana, chociaż ci, co go niedoceniali, od dawna gryzą piach. Niepewność zaistniała w głębi moich trzewi i wierciła się jak cycata małolata, siedząca do niedawna na udach Przepióreczki. Uczucie to pogłębiło się, kiedy pojazd się zatrzymał. Załomotały podkute buty, a na moją głowę spadło uderzenie, kolejne i jeszcze jedno. Po dziesiątym straciłem rachubę, straciłem też przytomność. Na długo.

* * *

Śniłem.

Wiatr rozwiewał jej jasne włosy. Nie zwracała na to uwagi, chyba też nie wiedziała o moim istnieniu. Korony wysmukłych, nagich drzew były nieruchome. Cisza przyjemnie koiła zmysły. Gęsta mgła snuła się nisko po ziemi. Jasnowłosa wypatrywała czegoś w oddali. Nadal nie miała pojęcia, że jestem tuż za nią, na wyciągnięcie ręki. Nabrałem powietrza w płuca i właśnie chciałem wykrzyczeć jej imię, kiedy uderzył

wiatr. Poczułem Wibrację – zwielokrotnione bicie stu serc, które wypełniło moje ciało i zniknęło równie nagle, jak się pojawiło. Jasnowłosa nie drgnęła, a ja w końcu wypowiedziałem jej imię. Zbyt cicho, prawie szeptem, jednak nieznacznie odwróciła głowę, jakby nasłuchując. Nadzieja na moment zagościła w mojej duszy i ruszyłem w jej kierunku, przezwyciężając wściekły napór ściany powietrza. Już prawie dotknąłem jej ramienia, jej rozwianych włosów, kiedy zaczęła się niemal niedostrzegalnie oddalać ode mnie i po chwili znów ledwie mogłem dostrzec jej białą sukienkę. Tym razem udało mi się wykrzyczeć jej imię, a ona je usłyszała. Odwróciła się do mnie, ale była zbyt daleko, bym mógł dostrzec jej twarz. Wiatr wzmógł się, niosąc ze sobą wirujące drobiny piasku, które zaczęły się unosić coraz wyżej, ograniczając widoczność do kilku kroków, wbijały się we wszystkie zakamarki ciała, oczy, uszy, nos, usta. Zasłoniłem twarz ręką, drugą wyciągnąłem przed siebie i zacząłem błądzić, kręcić się w kółko. Nagle poczułem jakąś zmianę faktury między palcami, piasek stał się bardziej jedwabisty, bardziej mokry. Stałem przez chwile zdezorientowany, bojąc się otworzyć oczy. Kiedy w końcu oderwałem dłoń od twarzy i spojrzałem przed siebie, z mojego gardła wydobył się jedynie niemy jęk, który miał być wrzaskiem. Chwilę później opadła na mnie ściana wody.

* * *

– Kurwa twoja mać – wysapał Pan Chrypka. – Wyspałeś się chyba za wszystkie czasy. Teraz nadeszła pora, by wrócić do świata żywych. No, przynajmniej na jakiś czas – zaśmiał się i odstawił wiadro z wodą. – Ciężko cię dobudzić, psi synu. Tylko zimna kąpiel podziałała.

Łańcuchy zabrzęczały, żelazne obręcze wbiły się boleśnie w przeguby moich rąk i zawisłem, pozbawiony na moment oparcia nóg. Te zresztą i tak odmówiłyby mi posłuszeństwa, zdrętwiałe na skutek dłuższego bezruchu. Jednocześnie ich nie czułem i sprawiały mi ból. Czyjeś silne dłonie chwyciły mnie pod pachy, obręcze zniknęły z moich nadgarstków, a stopy zaczęły śmiesznie podskakiwać, ciągnąc się za mną. Zawlekli mnie do innego pomieszczenia, nie tak zatęchłego i wilgotnego. W miarę delikatnie ułożyli mnie na czymś miękkim i zostawili samego. Upłynęło wiele minut, a może godzin, zanim byłem w stanie choćby tylko poruszyć powieką. Przyćmione światło brudnej żarówki sprawiło mi ból, więc pozwoliłem, by powieka z powrotem opadła. W końcu usłyszałem trzaśnięcie drzwiami i zrobiłem się czujny. Zatrzeszczało jakieś krzesło, ktoś ujął moją głowę i zaczął ją badać palcami, uciskając skronie, podstawę czaszki i okolice oka, którego, jak zdałem sobie sprawę, w ogóle nie mogłem

otworzyć.

– Nie jest tak źle – usłyszałem nieznany głos. – Opuchlizna zejdzie, oko zdaje się w porządku, potrzeba jedynie czasu. Możliwe wstrząśnienie mózgu, ale niegroźne.

– A ty co? Jasnowidz? – zainteresowałem się.

– Weterynarz.

– Aha. Mam szczęście, że trafiłem na fachowca.

– Ręka chyba nie jest złamana. Brak obrzęku typowego dla infrakcji – kontynuował wracz. Dotarło do mnie, że jestem tylko przedmiotem rozmowy. Zatem w pomieszczeniu był ktoś jeszcze. Kiedy trząsnęła zapalniczka i poczułem zapach dymu papierosowego, mimowolnie uśmiechnąłem się, rozpoznając nowego znajomego. Zaszczycił mnie Pan Aksamitny we własnej osobie.

– No, jak tam? Doszedłeś do siebie? – zapytał, kiedy drzwi zamknęły się za konowałem.

– Ja? – zdziwiłem się.

– Nie widzę w tym pomieszczeniu innego kolesia ze zmasakrowaną twarzą.

– Fakt, ostatnio byłem trochę niedysponowany – odpowiedziałem, próbując się podciągnąć na rękach i usiąść.

– Nie radzę. Znów zaczniesz krwawić. Rany ładnie się goją.

– Doprawdy?

– Może chcesz zapalić?

– Rzuciłem.

– Punkt dla ciebie.– Krzesło zatrzeszczało, głos się zbliżył: – Moi ludzie przesadzili przy aresztowaniu.

– Aha.

– Mój kolega jest narwany. Swoje obowiązki wypełnia sumiennie, tylko zbyt brutalnie. Zwracałem mu na to uwagę, ale wiesz, jak jest.

– Właśnie nie wiem.

– Taaak – mruknął Pan Aksamitny. – Nie jesteś zbyt rozmowny, ale to się zmieni.

– A wy nie jesteście gościnni. Pierwsza randka i od razu wpierdol?

– My tylko robimy swoje. To miejsce jest opoką ocalałych, staramy się je utrzymać, bronić go…

– Przed pijakami?

– Niczego nie rozumiesz.

– Oświeć mnie.

– Nie muszę. I nie chcę.

Coś szczęknęło, zabłysło i papierosowy aromat ponownie wypełnił moje płuca.

– Ktoś tu za dużo pali – zauważyłem.

– To nie jest zabawa – głos Pana Aksamitnego nieco się zmienił. – Nie rozumiesz tego, bo nie jesteś stąd. Być może nie znasz zasad panujących w Białym Mieście. Wprowadził cię ten wielkolud… Jak mu tam?

– Przepióreczka – warknąłem.

– Właśnie. Bez obaw, nim też się zajmujemy. Przyznam, że jest bardziej skory do rozmów. Ma więcej do stracenia. Nie to, co ty, przybłędo.

– Zawsze wydawało mi się, że Białe Miasto powstało dzięki przybłędom. Takim jak Wielki Maksymilian.

– Wielkolud – zignorował moją uwagę Pan Aksamitny – jest winny dwa razy bardziej niż ty. Znajduje się pod naszą opieką, pod opieką Miasta i mimo to wprowadził obcego. Obcego, który dopuścił się przestępstwa. Zbrodni na obywatelu miasta.

– Taaa, jasne. Ten ćpun był od dawna martwy, tylko jeszcze o tym nie wiedział.

– Tak czy siak, obywatel to obywatel. Naruszenie bezpieczeństwa jednostki traktujemy jak zamach na bezpieczeństwo całego miasta. Właściwie moglibyśmy potraktować cię łagodniej. Jak mówiłeś, to był tylko ćpun. Ale ty popełniłeś jeszcze jeden błąd.

– Jaki?

– Fałszywe ruble, którymi zapłaciłeś w bajzlu – wyjaśnił mężczyzna – to już zupełnie inna sprawa. Rzekłbym – polityczna.

– Ostro.

– Musi być ostro i bezwzględnie. Chcemy przetrwać, to wszystko.

– My, czyli kto konkretnie?

– Skąd się tutaj wziąłeś, czego tu szukasz i kto dał ci te ruble? – zignorował moje pytanie Pan Aksamitny.

– Oho, widzę, że żarty się skończyły.

– Ja nigdy nie żartuję.

– Sztywniak, co?

– Wolisz, żeby znów zajął się tobą ten drugi?

– Kiedyś już o tym słyszałem.

– O czym – zdziwił się Pan Aksamitny.

– O grze w dobrego i złego gliniarza. Ty jesteś tym dobrym, jak sadzę. Niestety, nawet wezwanie całego zastępu oprawców nie nakłoni mnie do powiedzenia tego, czego oczekujesz. Nie jestem winny niczyjej śmierci, nie zrobiłem niczego, co można by uznać za łamanie jakiegokolwiek prawa. Nie naruszyłem nawet jednej z waszych zasad, jakiekolwiek by one nie były. Radziłbym raczej poszukać kozła ofiarnego wśród handlarzy narkotyków. Ci mają niejedno na sumieniu.

– Cytuję z pamięci: „Kto podrobiony pieniądz, inny środek płatniczy lub dokument

puszcza w obieg albo go w takim celu przyjmuje, przechowuje, przewozi, przenosi, przesyła albo pomaga do jego zbycia lub ukrycia, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10". Według mnie jesteś winny jak cholera. No, chyba że się jakoś dogadamy…

– Że niby mam zacząć kablować?

– Przemyśl swoją sytuację – krzesło zaskrzypiało kolejny raz, tym razem jakby z ulgą pozbywając się ciężaru siedzącego na nim człowieka. – Wystarczy na dzisiaj. Ale do rozmowy jeszcze wrócimy. I – uwierz mi – wkrótce odpowiesz na wszystkie moje pytania. Obiecuję. Chyba że… Sam rozumiesz.

Trząsnęły drzwi i silne dłonie znów chwyciły mnie za ramiona. Pozbawione czucia stopy zaczęły podskakiwać na stopniach, więc ciągnęli mnie powrotem do tej podziemnej wilgotnej nory, którą zdążyłem już znienawidzić. Posadzono mnie przy tej samej, zimnej ścianie, tym razem rezygnując ze skuwania mi dłoni. Skrzypnęły zawiasy, zasuwy z łoskotem powędrowały na swoje miejsce i nareszcie zapadła cisza. W końcu mogłem zebrać myśli i ocenić sytuację, w której się znalazłem. Ta nie należała do najlepszych. W dodatku dokooptowali mi sublokatora. Kogoś, kto bardzo nie chciał zostać zauważony, przynamniej jeszcze nie teraz. Postanowiłem pozbawić tę osobę złudzeń, dotyczących jej niewidzialności.

– Głośno sapiesz – powiedziałem. – Usłyszałem cię od razu. Żyjesz?

– Ja?… Tak… – zająknął się przerażony głos.

– Co przeskrobałeś, że cię ulokowali w tym hotelu?

– Właściwie to nic… takiego… Byłem głodny i ukradłem im… A ty? Za co siedzisz?

– Za pijaństwo. Ale cała sytuacja zaczyna już mnie wkurwiać. Trzeba się będzie urwać z tych wakacji.

– Żartujesz? – mój współlokator zakaszlał i splunął. – Stąd jest tylko jedna droga wyjścia. Przez mur.

– Właśnie na to liczę.

– W takim razie musisz być szalony.

– Dlaczego? Przestało mi się tutaj podobać i chcę wrócić do domu.

– Ty chyba nie rozumiesz… – zastanowił się chwilę mój towarzysz. – Ty nie jesteś stąd, prawda?

– Trochę jestem, trochę nie jestem. Czego niby nie rozumiem, co? – rzuciłem ostro, bo zaczynałem tracić cierpliwość. – No?

– Oni… – mężczyzna głośno przełknął ślinę – nie pozwolą ci wrócić tam, skąd przybyłeś. Białe Miasto można opuścić tylko w jeden sposób.

– Tak, już mówiłeś, przez mur. A jak będę za murem, to chyba nie będę już w Białym Mieście, co? I o to chodzi.

– Przez mur... zaporowy – wydusił w końcu z siebie, a w jego głosie słyszałem autentyczny strach.

– Człowieku! Życie poza Białym Miastem istnieje. Nie musisz się aż tak bać. – Nie mogłem pojąć, skąd ten lęk.

– Ty nie rozumiesz... – wyjąkał.

– Dobra, zamknij się! – uciąłem tę głupią rozmowę. – Daj mi pomyśleć. Sądziłem, że powiesz mi coś, czego nie wiem. A ty w kółko powtarzasz „przez mur" i „przez mur".

W błogiej ciszy próbowałem przeanalizować swoją sytuację, ale żadne sensowne myśli nie układały się w mojej poobijanej, pulsującej głowie. Pomacałem swoją twarz. Prawa połowa była jednolitą powierzchnią, bez charakterystycznych wypukłości i wklęśnięć. „A to gnojek!" – pomyślałem o facecie, który zaprawił mnie przy aresztowaniu kolbą pistoletu. Wracz mówił, że opuchlizna zejdzie, ale przez jakiś czas będę oglądał ten piękny świat jednym okiem.

Mój współlokator do najwytrwalszych nie należał. Szybko zaczął się wiercić, stękać i mruczeć. Kiedy nie reagowałem, w końcu wybuchnął:

– Nie chcę, żeby mnie skazali! Nie chcę się tam znaleźć!

– Ciszej, bo wypłoszysz wszystkie szczury – starałem się go uspokoić, bo hałas rozsadził mi czaszkę. – I co będziemy wtedy żreć? Chyba, że gustujesz w ludzkim mięsie…

– Nie!

– W takim razie po kolei – powiedziałem zachęcająco. – Co to za mur, o którym wspomniałeś. Mur zaporowy, tak?

– Dokładnie – westchnął. – Budują go ci wydaleni z miasta.

– Czyli „przez mur" znaczy przymusową pracę, czy tak? – pomogłem mu się wysłowić.

– No… Każą im...

– Kto?

– Czarni.

– Jacy czarni?

– Funkcjonariusze Czarnego Komanda.

– Ach, ci! – rzuciłem lekko i dalej ciągnąłem go za język: – Pilnują tych wygnańców, czy jak?

Mój rozmówca jakby nabierał otuchy, a przynajmniej przestał się tak strasznie bać. Zaczął mówić bardziej składnie:

– Wydaleni mieszkają w czterech ocalałych wieżowcach. Dostają pożywienie i narzędzia. Wstają o świcie i pracują, pracują bez końca.

– Śpią kiedyś?

– Tak. O zmroku…

– Co oni właściwie robią?

– Plantują teren. Czyszczą rumowiska i z pozyskanego materiału budują Mur Zaporowy. Już teraz ma ponad trzy metry wysokości i w przyszłości ma otoczyć całe Białe Miasto – westchnął na koniec.

– Takie kamieniołomy nowych czasów – mruknąłem do siebie i dodałem głośno: – Trudno uciec z tych wieżowców?

– Uciec? – zdziwił się mężczyzna. – Ale dokąd? Dalej czeka tylko śmierć.

– Nie jest tak tragicznie – uspokoiłem go. – Ja przybywam z tego „dalej".

– Właśnie, że jest – powiedział z naciskiem. – Czarni nawet nie muszą ich zbyt dokładnie pilnować. Odkąd rozpoczęto prace, z własnej woli odeszła tylko jedna osoba.

– I co się z nią stało? – zapytałem.

– Nie wiadomo.

– To jeszcze nie znaczy, że coś go zarżnęło i zjadło. Może żyje spokojnie w jakiejś chatce na odludziu, ukryty przed oczami ciekawskich.

– Nie przekonuje mnie to – powiedział zrezygnowany.

– Mnie właściwie też nie – przytaknąłem – ale lepsze to niż wszechogarniający defetyzm. Widzisz, ja z natury jestem optymistą.

– Zazdroszczę – stwierdził spokojnie i zapytał swobodnie: – Jak ty się właściwie nazywasz?

– Czy to ważne? – Aż tak towarzyski nie zamierzałem być.

– Jakoś tak przyjemniej się rozmawia, kiedy zna się imię drugiej osoby. Wiesz, o co mi chodzi? – westchnął.

– Nie bardzo. Możesz mnie nazywać, jak chcesz.

– W porządku. Nawet to rozumiem. Tak jest bezpieczniej.

– Skoro doszliśmy do porozumienia, to teraz daj mi odpocząć. Wykończyła mnie ta wyprawa na górę. – Ostatnie zdanie wypowiedziałem już bardziej do siebie.

Mój towarzysz wziął do serca moją prośbę tak bardzo, że kiedy się obudziłem, już go nie było w celi. Mógł oczywiście kopnąć w kalendarz, ale raczej wyczułbym obecność ciała, nawet martwego. Takie rzeczy po prostu się wie. Musiałem spać jak kamień, skoro nawet nie usłyszałem szurania ciężkich butów i jęków więźnia. Znając Pana Chrypkę, wątpiłem, by darował sobie kilka kuksańców. Ten typ ludzi uwielbia znęcać się nad innymi, katować ich do nieprzytomności, cucić i katować dalej. Pan Aksamitny natomiast stanowił przeciwieństwo oprawcy. Z pewnością był mistrzem słownych gierek, zapędzania w kozi róg i psychicznego wykańczania swoich podopiecznych. Pan Chrypka zmiękczał ich, a Pan Aksamitny wyżymał, wykręcał niczym szmatę i wyrzucał. Ten idealny duet miał jedną wadę. Stawał się przewidywalny.

W najbliższych godzinach spodziewałem się kolejnej wizyty Pana Aksamitnego, który

powinien przemycić trochę jedzenia, coś na uśmierzenie bólu i obietnicę przeniesienia do innej celi. Typowa zagrywka „dobrego gliniarza", który ostatecznie i tak zawsze okazywał się jedynie zimnym, wyrachowanym graczem. Pytanie brzmiało: czy powinienem zagrać w jego grę, czy iść w zaparte? Z jednej strony kusiła mnie perspektywa odzyskania wolności, istniało jednak pewne prawdopodobieństwo, że po udzieleniu odpowiedzi na wszystkie pytania Pan Aksamitny przystawi do mojej skroni lufę pistoletu i pociągnie za spust. Kompletnie nie potrafiłem rozgryźć prawdziwych intencji tego gościa. Gdybym chociaż mógł spojrzeć mu w oczy… Na pewno był zaufanym człowiekiem Maksymiliana, pozostawało jednak dla mnie zagadką, skąd się wziął w Białym Mieście, w dodatku z całą ferajną zamaskowanych i uzbrojonych drabów. Maks zawsze otaczał się ludźmi oddanymi i ślepo wierzącymi w jakąś wyższą ideę, ale nie dopuszczał do siebie tak inteligentnych jednostek. A Pan Aksamitny był niezwykle inteligentny i niezwykle cwany. I, takie przynajmniej odniosłem wrażenie, nieco zbyt... samodzielny. Czyżby miał przerosnąć Maksymiliana? Dziwna myśl.

Postanowiłem trochę się z nim potargować. Może przeniesie mnie do lepszej celi? Ta ostatnia możliwość stawała się kartą przetargową, bijącą nawet perspektywę odwiedzin Pana Chrypki. Pal go licho, zniósłbym kolejne razy, ale ta wilgoć i nuda zaczynały podnosić mi ciśnienie. Zacząłem odliczać sekundy i minuty dzielące mnie od wizyty mojego wybawcy, kiedy usłyszałem jakiś szmer, szczęk zasuwy i jęk zawiasów.

– Najwyższy czas – mruknąłem.

– Co tam mamroczesz? – zapytał Pan Aksamitny.

– Oto mój zbawca we własnej osobie.

– Dlaczego zbawca?

– Gdyby nie ty, zabiłaby mnie nuda.

– Sądzę, że jeszcze zdążysz się rozerwać – zaśmiał się. – Pracując przy budowie Muru.

– Zdążyłem już usłyszeć o tym wynalazku. Nie rozumiem tylko, w jakim celu…

– Nie musisz rozumieć – przerwał mi Aksamitny. – Wystarczy, że będziesz ciężko tyrał dla dobra Białego Miasta.

– Generalnie mam w dupie dobro całego tego szajsu, nad którym wszyscy się tak rozczulają. Spójrzmy prawdzie w oczy, istnieją setki o niebo lepszych miejsc.

– Możesz jakieś wymienić?

– Sracz na końcu świata, może być?

– W porządku. Zacznijmy zatem od początku. Nazywasz się jakoś?

– Cholera – zastanawiałem się przez chwilę. – Twoi chłopcy dali mi za mocno po łbie. Chyba sobie nie przypomnę.

– Przyjdzie i na to czas. Skąd znasz wielkoluda, na którego wołają Przepióreczka?

– Och, poznałem go przypadkowo. W barze.

– I z przypadkowo poznanym kolesiem, dwa razy większym od siebie, wałęsałeś się po zaszczanych zaułkach w poszukiwaniu burdelu? Nie bałeś się?

– Czego? – wzruszyłem ramionami. – Przecież Białe Miasto to bezpieczne miejsce. Przynajmniej tak słyszałem.

– Skąd wziąłeś ruble?

– Otrzymałem jako zapłatę za towar.

– No, w końcu otrzymuję jakieś odpowiedzi. – W głosie Pana Aksamitnego usłyszałem zadowolenie. – Jesteś przemytnikiem, nie mylę się?

– Fach jak każdy inny.

– Co zwykle szmuglujesz za Bufor?

– W tej kwestii chyba obowiązuje mnie tajemnica zawodowa – próbowałem się uśmiechnąć.

– Co szmuglujesz? – kontynuował twardo.

– Różnie – westchnąłem. – Ludzi, alkohol, żywność, paliwo.

– No proszę, nawet handel żywym towarem…

– To nie tak – zaprotestowałem. – Przerzucam tylko tych, którzy sami chcą się stąd wynieść.

– Jasne – parsknął Pan Aksamitny. – Rozumiem, że po tamtej stronie Buforu masz stałych kontrahentów.

– Rozumiem, że jeśli podam ich nazwiska, to wypuścicie mnie stąd.

– Nie tak szybko, przyjacielu.

– Może już czas porozmawiać o warunkach ugody? Przecież zmiękłem i odpowiadam na pytania.

– Pytań mam wiele i nie na wszystkie będziesz chciał odpowiedzieć. Przynajmniej nie od razu. Ale dowiem się wszystkiego, w przeciwnym razie twoje życie będzie krótkie i bolesne. Teraz tylko ściemniasz, żeby coś ugrać i zyskać na czasie. Przejrzałem cię, przyjacielu. A do naszej rozmowy wrócimy i być może będzie nam towarzyszył ktoś jeszcze. Niedawno go poznałeś.

„Pan Chrypka” – przemknęło mi przez myśl. „Znów czeka mnie mordobicie”.

Huk zatrzaśniętych drzwi długo odbijał się echem od kamiennych ścian lochu. Tym razem zabrzmiał zupełnie jak odległy odgłos wystrzałów. Ich dźwięk był kiedyś codziennością, podobnie jak ich ofiary: niewinni ludzie, bandyci i szabrownicy, moi przyjaciele... W dzień głównego ataku na Śródmieście Lena, Siwy, Irokez i ja wybraliśmy się razem na naszą Wojenkę. Byłem wtedy innym człowiekiem i obraz tamtego świata nagle stanął mi przed oczami.

* * *

– Kamyk, kurwa, ciśnij, bo nigdy nie dojedziemy – Siwy pociągnął spory łyk z butelki.

– Ty, stary, lepiej się przymknij – warknął Irokez. – Jesteś jedną nogą po tamtej stronie, a zabierasz głos, jakbyś rządził ekipą. I nie pij tego gówna, bo śmierdzi siarą na kilometr.

– Moja, kurwa, siara – burknął Siwy.

– Skończ – cichy głos Leny zmusił Siwego do odstawienia butelki.

Jej głos zmuszał wszystkich. Do wszystkiego. Taka już była. Tak na wszystkich działała. Chyba się jej trochę bali.

– Jesteśmy na wojence, nie? – Irokez odwrócił się do Siwego. – Trochę powagi, trochę kultury.

Siwy westchnął. Jakiś czas temu się zmienił. Może się zestarzał, może zbyt długo był sam. Miał nas, ale to nie to samo. Chyba musiał kogoś kochać. Kiedyś. Zresztą miłość to tylko pusty frazes. Taka bzdura, chociaż Lena twierdziła coś innego. Była trochę staromodna. Lubiła, jak ją trzymałem za rękę. Sami wiecie, romantyzm i tym podobne bzdury. Była moją kobietą, więc czasem odgrywałem dla niej czułego amanta. Dla mnie to nie miało to znaczenia, nie wtedy. Mieliśmy przecież nasze święto. Naszą Wojenkę.

Pędziliśmy przed siebie, spękany asfalt umykał spod kół. Irokez był niespokojny, jakby na coś czekał. To konkretny świr, jak większość ludzi i półludzi na tym świecie.

– Jest! – Siwy machnął ręką w nieokreślonym kierunku. – Jest!

Zwolniłem. Przed nami wyrosła jedna ze świętości – Stacja. Wtedy były trzy świętości. Wojenka, Droga i Stacja. W tej właśnie kolejności. Na Drodze byłeś nietykalny, dzięki Stacjom miałeś co wlać do kotła i do gardła. A Wojenka to Wojenka. Pieprzone igrzyska Nowego Świata.

Powoli dojechałem do dystrybutora i wysiadłem z auta. Nieśpiesznie podszedł do nas koleś w wysmarowanym kombinezonie mechanika. Na szyi miał naszyjnik z ludzkich palców.

– Obry.

– Dobry – odpowiedziałem grzecznie. – Diesla do pełna i w dwa kotły. Zapłacę konserwami.

– To będzie dużo konserw – stwierdził facet i gwizdnął.

Irokez wysiadł, nonszalancko pomaszerował na tył furgonetki i wyciągnął kanistry spod Siwego. Ja rozejrzałem się w poszukiwaniu Leny. Irokez wskazał na budynek Stacji.

– Jedziecie na Śródmieście? – młody, najwyżej piętnastoletni chłopak zaczepił mnie w drzwiach.

– Spadaj – powiedziałem i wszedłem do środka.

Lena właśnie robiła zakupy. To i to. I jeszcze tamto. Pokazywała wszystko sprzedawcy. Ten beznamiętnie ściągał produkty z półek. Przy pasie dyndał mu glock. Na pewno nabity.

– A tamci? – usłyszałem jej głos i wzruszyłem ramionami.

Byli dorośli, potrafili o siebie zadbać. Zresztą… nie musieli.

– Zjemy coś? – zapytałem.

Skinęła potakująco.

Na rożnie opiekały się dwa psy. Rarytas. Wskazałem głową, sprzedawca odkroił dwa spore kawałki, owinął w papier i podał Lenie. Jedliśmy szybko. Nie mieliśmy czasu na głupoty. Ściemniało się, a Wojenka czekała.

Furgon z radością żłopał paliwo, a Siwy zawartość butelki kupionej na Stacji. Pędziliśmy. Irokez trącił mnie łokciem. Gdzieś z przodu zamigotały światła innego auta. Stało przed nami, na samym środku drogi. Zwolniłem i ostrożnie podjechałem do krwisto czerwonego, poobijanego suva. Obok, na asfalcie, leżało zakrwawione ciało blondynki.

– Co, do kurwy? – mruknął Irokez.

Kiedy wysiedliśmy, okazało się, że blondyna jest cokolwiek nieświeża, a w suvie terkocze silnik.

– Spieprzamy! – krzyknąłem, ale było za późno. Jak spod ziemi wyrósł małolat spotkany na Stacji. W rękach trzymał obrzyna.

– Zuch chłopak! – krzyknął do niego wychudzony pajac, który zaszedł nas od tyłu. – Wyciągaj kotły i fanty – powiedział.

Trafił się nam amator cudzej własności. Wskazałem na auto.

– Sam weź, patałachu.

Chudy oblizał się i kiwnął głową na małolata. Ten podszedł do furgonu i otworzył tylne drzwi. Nie wiedział, że jest tam niespodzianka w postaci Siwego. Modliłem się, żeby nie był zalany w trupa. Szczęśliwie zachował resztki trzeźwości. Walnął do małolata ze swojego waltera. Gnój dostał dwie kulki w pierś. Chudego oporządzili Irokez z Leną. Solidnie. Droga była świętością.

Musiałem przyznać, że Siwy się sprawił. A już mieliśmy się go pozbyć. Nie tak jak myślicie. Przy okazji. Właściwie to był pomysł Leny. Jak się jeździ razem, trzeba mieć zaufanie do załogi. Tak na co dzień. A na Wojence tym bardziej. Od tego zależy twoje życie. I moje, i nas wszystkich. Ale Siwy się sprawił.

– Tam – Irokez wyciągnął brudny paluch. – Tam jest dom. Zajedźmy. Zabawmy się – ekscytował się, przeładowując broń.

– Nie mam ochoty – odpowiedziałem. – Poza tym nie mamy czasu.

– Nie, zajedźmy! – Lena spojrzała mi prosto w oczy.

– Nie! – rzuciłem zdecydowanie.

Docisnąłem gaz, spod kół trysnęła fontanna kamieni i piachu. Nagle poczułem się strasznie zmęczony tym wszystkim, Wojenką i naszym parszywym miastem. Zerknąłem na Lenę. Obraziła się i wbiła spojrzenie w bezkres ruin za oknem. Wiedziałem, że jej gniew był udawany. Tak już musiało być.

– Kamyk – dobiegł mnie głos Siwego – wracajmy do domu. Już nadszedł czas. Chcę rzucić to wszystko i osiąść w małym domku, gdzieś na pustkowiu.

– Kurwa, Siwy! – roześmiałem się. – Wytrzeźwiałeś.

– Już czas, Kamyk. Zresztą… obiecałeś.

Lena się uśmiechnęła, Irokez splunął przez otwartą szybę. Ciągle szczerząc zęby, wdepnąłem hamulec i skręciłem w podrzędną drogę, prowadzącą na miejsce zbiórki. Podziurawiona dziesiątkami pocisków tablica kłuła w oczy napisem „Airport Krywlany”. Wielki płaski teren pełen był ludzi i maszyn. Aż po horyzont ciągnęły się rzędy aut i krzątających się wokół ludzi. Jedni spali w samochodach, inni porozbijali obozy i szykowali jedzenie. Jeszcze inni czekali, żeby coś ukraść albo wbić komuś nóż w plecy. Stado bestii. Ale tacy byliśmy i nic tego nie zmieni. Do Śródmieścia mieliśmy może pięć kilometrów w linii prostej i wcale nam się nie śpieszyło. Mieliśmy czas. Na lotnisko zajechała cysterna. Będą sprzedawać paliwo. Można zapłacić konserwami lub

życiem. Niekoniecznie swoim, takie czasy. Ustawiła się spora kolejka, niektórzy musieli zatankować, żeby dojechać i żeby wrócić, jeśli ktoś będzie miał tyle szczęścia. Zaparkowałem obok innego czarnego furgonu i rozsiadłem się wygodnie. Do ust włożyłem papierosa.

– Trzeba zapierdalać, Kamyk, a nie smażyć kiełbaski – wściekał się Irokez.

– Mamy czas – wzruszyłem ramionami. – Całą wieczność. Masz coś innego do roboty?

Irokez spojrzał w niebo i zawrócił na pięcie. Lena i Siwy też plątali się gdzieś bez celu. Zostałem sam. Sprawdziłem furgon, kopnąłem w opony.

– Może pomalować? – zagadnął mnie koleś w kapeluszu. – Na jakiś żywy kolor. Ten złom wygląda jak karawan.

Wydało mi się, jakbym już to kiedyś słyszał. Może przeczytałem coś podobnego w jednej z gazet Dziaduszki? Kiwnąłem głową. Koleś przyniósł wiadro i pędzel.

– Pomarańczowy będzie dobry? – spytał.

– Będzie zajebisty – odpowiedziałem.

Irokez wrócił, kiedy kowboj skończył malowanie.

– Kamyk, kurwa – pokręcił głową – jesteś pojebaniec.

– Gdzie Lena?

– Tutaj! – Nagle pojawiła się za moimi plecami.

– Jutro wyruszamy z fasonem. – Wskazałem nasze auto. – Jesteś gotowa?

– Od dawna jestem gotowa.

Spojrzałem uważnie w jej twarz, nie dostrzegając najmniejszej reakcji, żadnego drgnięcia mięśnia. Może rzeczywiście była gotowa.

– Trzeba się wyspać, jutro będzie ciężki dzień – mruknął Irokez.

– Pieprzysz – odpowiedziałem. – Dzień będzie w sam raz. Dla Siwego może być ciężki, jak przesadzi z gorzałą.

Otworzyłem flaszkę. Strasznie śmierdziała karbidem, ale to normalne. Nie dziwiło mnie nic i nikt. Takie czasy. Pociągnąłem tęgi łyk i oddałem szkło Irokezowi. Ten alkohol niemal parzył moje wnętrzności.

– Dobre? – Lena dotknęła moich pleców.

– Paskudne – odpowiedziałem, a ona pocałowała mnie w kark.

– Chcę się napić – szepnęła mi do ucha. – Szkoda nocy na spanie.

„Szkoda tej nocy" – pomyślałem. Głowa zaczęła mi ciążyć. Odwróciłem się, zwinąłem w kłębek i zasnąłem.

Obudziło mnie szturchnięcie wojskowego buta. Przetarłem oczy i powoli doszedłem do siebie. Do ręki ktoś wcisnął mi butelkę z wodą. Podniosłem do ust, wypiłem zawartość małymi łykami.

– Jedziecie na Śródmieście? – usłyszałem cichy głos.

Rozpoznałem kierowcę czarnej furgonetki zaparkowanej obok. Kiwnąłem głową i oddałem mu butelkę.

– Zajebisty kolor! – Sąsiad wskazał nasze auto, oświetlone pierwszymi promieniami wstającego słońca. – Sam kiedyś chciałem przemalować, ale uznałem, że czarny jest dobry.

– Czarny… – wychrypiałem. – Czarny wygląda jak karawan.

– Czarny jest dobry…

Wiele godzin później ten sam czarny furgon jadący obok trafił na minę. W obłokach dymu i kurzu pojazd wierzgnął, przekoziołkował i zatrzymał się, kołami celując w niebo. Może tamci przeżyli, a może nie. Kolejny raz mój anioł stróż pokazał, że potrafi latać szybciej od pocisków haubic i dział.

Śródmieście się broniło.

Pierwszy szturm przypuściliśmy o świcie. Pierwsze nieskoordynowane grupki narwańców uderzyły na prowizoryczne barykady, kiedy tylko niebo zaczęło szarzeć. Chcieli jako pierwsi wedrzeć się do enklawy w centrum miasta. Obrońcy rozbili ich w pył. Razem ze wschodzącym słońcem nadeszliśmy my. Lawirowaliśmy między płonącymi wrakami, a pociski grzechotały o wzmocnione karoserie naszych aut. Pierwszego wyłomu w fortyfikacjach Śródmieścia dokonał samochód pułapka, wyładowany materiałami wybuchowymi. Jego kierowca – ochotnik rozpędził pojazd i wbił się nim w konstrukcję barykady. Kiedy potężna eksplozja wstrząsnęła ruinami rozciągającymi się dokoła, ruszyliśmy. Świece dymne poszybowały w kierunku obrońców, zaterkotały kaemy, zagrzmiały rakietnice.

Na swój sposób czułem respekt dla mieszkańców Śródmieścia. Kiedy pociski gwiżdżą ci koło głowy, kiedy dusi cię smród płonącego paliwa i smażących się ciał, uczysz się pokory i szacunku dla wroga. Tylko, po co nam to wszystko? Siwy chyba miał rację, już czas osiąść w jakiejś dziurze i zacząć hodować dzieci i kury. Może kiedyś zaproponuję to Lenie? Nazwałbym tę farmę... Właściwie żadne nazwy nie były potrzebne. Ważne, że takie miejsce będzie. Tak właśnie myślałem, pędząc autem w kierunku barykady. Autem niebezpiecznie zarzuciło. Zamyśliłem się, zjechałem z drogi.

– Kamyk – zaśmiał się Irokez. – Patrz przed siebie. Wojenka jeszcze się nie skończyła.

Lena również się uśmiechnęła i pogładziła moje zakurzone włosy. Nie dała mi zapomnieć, że ta pieprzona wojna nadal trwa.

A Śródmieście nadal się broniło.

W południe wycofaliśmy się na – jak to powiedział Maksymilian – z góry upatrzone pozycje. Tak naprawdę daliśmy dyla z pola walki i klnąc na czym świat stoi, wróciliśmy na Lotnisko Krywlany.

– Kurza twarz – Siwy obmacywał głowę, chociaż nawet nie został ranny. – Dostaliśmy

w dupę.

– Zawsze ktoś dostaje w dupę – zauważyłem. – Czasami może być dwóch przegranych, ale nigdy dwóch wygranych.

– Znasz jeszcze jakieś mądrości. Jeśli nie, to podaj mi butelkę z gorzałą. Czas się napić.

– Może i masz rację – zgodziłem się.

– Później się napijesz – nad mojimi plecami zagrzmiał znajomy bas.

– Przepiór, coś taki abstynent? – odwróciłem się do przyjaciela. – Umarł ktoś czy jak?

– Maksymilian chce z nami porozmawiać – poważnie odpowiedział olbrzym. – Natychmiast.

Westchnąłem i ruszyłem za nim w kierunku piętrowego autobusu, zaparkowanego w centralnym punkcie płyty lotniska. Pozbawione szyb okna boczne zostały zaspawane, na dachu cały czas czuwała uzbrojona obstawa, wokół pojazdu nieustannie kręcili się zaufani bojownicy. Przepuszczono nas bez słowa, potężnie zbudowany kafar o twarzy pobrużdżonej bliznami chrząknął coś i odsunął się sprzed podwójnych drzwi wejściowych. Wewnątrz auta szumiały wentylatory, dające przyjemny chłód.

– O! Już jesteście! – przywitał nas Maksymilian. – Siadajcie.

– Kiedy planujesz kolejny atak? – zapytałem, lokując siedzenie na wygodnym fotelu przykręconym do podłogi.

– Nie tak szybko, Kamyk. Zwycięstwo jest nasze, ale rozmawiamy.

– Co znaczy „rozmawiamy”? – zdziwiłem się. – Z kim?

– Ze Śródmieściem – spokojnie odpowiedział Maks. – Chcą się poddać.

Na chwilę zapadła cisza, przerywana jedynie brzęczeniem wentylatorów.

– Może nas oświecisz – odezwałem się głucho – i powiesz, od kiedy z nimi pertraktujesz?

– Powiedzmy, że od jakiegoś czasu – uśmiechnął się nasz przywódca.

– To miłe z twojej strony, że w ogóle nas o tym poinformowałeś – zauważył Przepiór i wstał. – Po obu stronach ginęli ludzie, kiedy ty załatwiałeś interesy. Swoje interesy.

– To nie tak – zaprotestował Maksymilian. – Zrobiłem to dla wszystkich, wiecie przecież…

– Nie! – przerwałem mu. – Dogadałeś się z ludźmi, którzy od samego początku żyli w enklawie w centrum miasta. Ich sąsiedzi zabijali się o każdy blok, o każdy kawałek nadającego się do zjedzenia ścierwa i nigdy nie otrzymali pomocy od tych ze Śródmieścia, nawet kiedy umierali pod bramą do ich prywatnego miasteczka. Ludzie poszli za tobą dlatego, że wezwałeś ich do zabicia wszystkich w Śródmieściu. Absolutnie wszystkich, począwszy od dziecka, skończywszy na starcu. I powiem ci coś jeszcze, za godzinę przypuszczamy kolejny szturm. Z twoim błogosławieństwem lub bez niego.

Błogosławieństwa nie dostaliśmy. Ruszyliśmy w kilka aut, większość ludzi została na terenie lotniska, słuchając Maksymiliana i jego popleczników. Z Leną tradycyjnie pokłóciłem się w momencie wyjazdu. Trzasnęła drzwiami i pomaszerowała w kierunku piętrowego autobusu. Gdybym mógł przewidzieć, że chwilę później pojedzie razem ze swoim ojcem na spotkanie z przywódcami Śródmieścia… Gdybym tylko potrafił cofnąć czas… Wiele godzin później niosłem ją na rękach, pobitą i zgwałconą przez zwyrodnialców, z którymi Maksymilian zawarł ugodę, i wiedziałem, że nigdy sobie nie wybaczę własnej głupoty, uporu i hardości. A obraz jej nieruchomych, pozbawionych blasku oczy i zakrwawiona twarz będą mnie prześladować do końca życia.

* * *

Zerwałem się przerażony, zasklepione rany pękły na nowo, po twarzy pociekła mi krew. Udało mi się unieść jedną powiekę i dostrzegłem kamienną ścianę, na której tańczyły cienie rzucane przez brudną żarówkę. Spróbowałem poruszyć nogą, od której oderwał się ucztujący szczur i z gniewnym piskiem zniknął w mroku. Pieprzyć go i pieprzyć wszystko. Z trudem podczołgałem się do żelaznych drzwi i walnąłem w nie pięścią. Zbyt słabo, by ktoś mnie usłyszał, zbyt niepewnie, by obudzić echo. A jednak ktoś po mnie przyszedł. Minęły godziny lub minuty, odkąd pierwszy raz zacząłem wybijać moją melodię, odkąd zacząłem przeklinać i wołać imienia Pana lub diabła. Zasuwa zgrzytnęła, ciężki but kopnął mnie w żebra.

– Czego? – warknął Pan Chrypka.

– Dość pierdolenia. Idź i powiedź Maksymilianowi, że Kamyk wrócił.

– Co?

– Jajco. Jesteś przygłuchy czy jak?

– Ja ci zaraz…

– Nie sądzę, by ponowne katowanie mnie miało jakikolwiek sens. Maksymilian się wkurwi – to pewne, a twoja przyszłość zawiśnie na włosku.

Pan Chrypka myślał i kalkulował. W końcu podjął decyzję. Grzmotnął drzwiami i gdzieś odszedł. Kiedy wracał, na odgłos jego kroków nałożył się inny, słyszałem zwielokrotniony dźwięk obcasów uderzających o posadzkę. Moja skromna cela nagle zapełniła się ubranymi w czarne uniformy, twardymi mężczyznami o twarzach zawodowych wojskowych. W drzwiach zauważyłem postać, która nie pasowała do reszty. To był on, mężczyzna, którego kiedyś słuchałem i ubóstwiałem, którego w końcu znienawidziłem. Mimo woli uśmiechnąłem się, wyczuwając jego zdziwienie.

– Niespodzianka, matkojebco – wykrztusiłem, zanim szybki kopniak odesłał mnie

w ciemność.

Rozdział 6

Syn marnotrawny

Muszę przyznać, że wino, jakim ugościł mnie Maksymilian, było równie kwaśne jak jego mina. Pocieszałem się jedynie myślą, że zawsze mogło być gorzej. Wpatrujące się we mnie bladoniebieskie oczy Wielkiego Skurwiela przypominały mi wyblaknięte ślepia zdychającej ryby wyrzuconej na brzeg. Nie, żebym kiedykolwiek osobiście widział duszącą się rybę. Po prostu, skojarzyłem fotografię z jakiejś dawno zapomnianej książki. Błyszcząca, łysa czaszka Maksymiliana, jego siwe wąsy i pozłacana, tandetna zapalniczka w drżących, przypominających pajęcze odnóża palcach wzbudzały we mnie obrzydzenie. Wąskie, wyglądające jak kreska usta otworzyły się i wylądowała w nich cienka cygaretka. Zabłysł ogień i niemal idealne kółko z dymu zafalowało między nami. Od Maksia dzielił mnie może metr, więc natychmiast poczułem aromat tytoniu. Aromat komponował się z wielkim stołem konferencyjnym, przy którym miałem wątpliwy zaszczyt siedzieć, z wielkim skórzanym kompletem wypoczynkowym o barwie czekolady i równie dużym biurkiem, za którym siedziała karykatura byłego przywódcy barykad. Dawno temu władca tego miasta obywał się bez tych wszystkich wygód, bez goryla stojącego za moimi plecami, bez butelki wina, którym mnie uraczył, bez zapalniczki, która jednak chyba była złota. Dawno temu Maksymilian Wielki godzinami przesiadywał przed wielkimi oknami swego gabinetu, wypatrując czegoś w ruinach miasta. Teraz miejsce okien zajęła wielka fototapeta przedstawiająca las. Prawdziwy las.

– Nie do wiary – powiedział w końcu Maksymilian. Barwa jego głosu była równie obrzydliwa co fizjonomia.

– Jeszcze potrafisz się dziwić? – rzuciłem.

– Pyskujesz jak dawniej.

– Dawniej… było inaczej. Wszystko popsułeś.

– To twoje zdanie. – Maksymilian wetknął do ust cygaretkę i ponownie wypuścił kłąb dymu. Tym razem kółko mu nie wyszło. – Zapewniam cię, że nikogo tutaj nie interesują prywatne odczucia włóczęgów. Bo w moich oczach tym właśnie jesteś – włóczęgą. Wiesz, co robimy z takimi łazikami jak ty?

– Wiem. Wyrzucacie za granicę Białego Miasta. Aż tak bardzo nie przejąłem się tą wizją.

– Ha! – Usta Maksymiliana wygięły się w coś, co od biedy można by nazwać uśmiechem. – Więc zdajesz sobie sprawę, co cię czeka tam, za Murem.

– Nic, czego bym już nie widział i czego bym nie przeżył. Strachy na lachy, stary przyjacielu. Oczywiście, jeśli naprawdę okażesz się tak głupi, by mnie tam wysłać.

Bardziej poczułem, niż dostrzegłem poruszenie za moimi plecami. Goryl chyba skrócił dystans. W tej chwili prawdopodobnie wyjmował krótka pałkę lub paralizator. Maksymilian milczał, bawiąc się zapalniczką. Sporo ryzykował, dopuszczając mnie na tak małą odległość. Może ufał swemu ochroniarzowi, może z biegiem lat zrobił się nieostrożny. A może nie miał już nic do stracenia. Musiałem to sprawdzić. Kolejne zuchwałe słowo w moich ustach na pewno wywoła lawinę zdarzeń, które muszą się potoczyć tak jak zechcę. Jeśli spóźnię się choćby o ułamek sekundy, goryl podniesie swoją wielką łapę i zrobi to, co ja już dawno zrobiłbym na jego miejscu.

– Hej, Maksiu – uśmiechnąłem się samymi ustami – jak to na ciebie teraz wołają? Wielki Skurwiel?

Maksymilian milczał. Nieznaczny tik, drgnięcie powieki szefa sprawiło, że goryl ruszył do ataku. Masa jego ciała poruszyła falę powietrza, którą natychmiast poczułem na karku. Na ten moment czekałem. Maksymilian miał staroświeckie poczucie smaku i wyposażył swój stół konferencyjny w klasyczne, drewniane i masywne krzesła. Od dłuższego czasu opierałem stopy na poprzeczce swojego. Teraz tylko przeniosłem ciężar ciała do przodu, wbiłem ręce w blat stołu i krzesło niczym z katapulty wystrzeliło do tyłu. Nie czekałem na jęk goryla, ciesząc się jednocześnie, że Czarni, aresztując mnie w przybytku doczesnych radości, nie znaleźli mojej tajemnej broni. Wyszarpnąłem stalową linkę, zamaskowaną w szwie rękawa kurtki i skoczyłem na Maksymiliana. Prymitywna garota owinęła się wokół jego szyi. Wypuścił z rąk cygaretkę, po chwili również zapalniczka grzmotnęła o blat biurka.

– Dobra – sapnąłem mu prosto w ucho. – Każ mięśniakowi spierdalać. I bez numerów, bo zacisnę ten stalowy krawat nieco mocniej. Wtedy, być może, nie będziesz zbyt rozmowny, ale i ja przestanę zachowywać się uprzejmie. Tego chyba byśmy nie chcieli. Prawda?

Maksymilian machnął ręką na goryla, który trzymając się za podbrzusze, na

czworakach opuścił gabinet. Odetchnąłem z ulgą i nieco zwolniłem chwyt. Nabrał powietrza i wypuścił je z cichym jękiem.

– Zestarzałeś się – rzuciłem z satysfakcją. – I czujność straciłeś. Dziwię się, że jeszcze żyjesz. Pewnie masz sporo wrogów, po tych kilku latach dyktatury. Jak to jest?

– A ty nie zmądrzałeś – sapnął Maksymilian. – Ta brawura źle się skończy. Dla ciebie.

– Może, ale jeszcze nie teraz – odparłem.

– Gówno wiesz. O mnie, o nich... Dla nich jesteś kolejnym robotem do przenoszenia gruzu. Gówno ich obchodzi, czy zdechniesz i kiedy.

– Ciebie też to gówno obchodzi, Maksiu? – Ciekaw byłem, kiedy przejdziesz do sedna.

– A żebyś wiedział – warknął. – Jesteś gnojkiem i podłym zdrajcą.

– Daruj sobie te ckliwe gadki, błagam!

Maksymilian wykręcił głowę, a stalowa linka wbiła się głębiej w skórę na jego szyi. Pociekła krew, ale on zdawał się nie zwracać na to uwagi. Łypnął na mnie nabiegniętym krwią okiem i wykrzywił usta, z których zwisała nitka śliny.

– Gdzie ona jest? – wycharczał.

Zamarłem na moment, zaciskając garotę. Więc jednak wiedział. Nareszcie stało się to dla mnie jasne, że przez te wszystkie lata wiedział.

– Gdzie ona jest? – wycharczał ponownie.

Wypuściłem linkę z rąk i patrzyłem, jak opada wpół zemdlony na gruby dywan i z trudem łapie powietrze, krztusząc się własną śliną. Odsunąłem duży, obrotowy fotel, na którym przed chwilą o mało nie wyzionął ducha, zgniotłem tlącą się wciąż cygaretkę i zacisnąłem palce na szyjce butelki ze znanym mi już, kwaśnym winem. Maksymilian dyszał ciężko, cienkimi palcami rozrywając kołnierzyk koszuli. Nie był przecież wcale stary. Mógł mieć około pięćdziesiątki, a jakby zmarniał, zwiotczał. Przez nią? Przez Czarnych?

Bez słowa udałem się w kierunku jednego ze skórzanych foteli i ciężko usiadłem na czekoladowym siedzisku.

– Jednak jesteś skurwielem – powiedziałem cicho. – Przez tyle lat nawet jej nie szukałeś.

– Nie – wychrypiał zza stołu. – Nieprawda.

– Ha! – parsknąłem. – Racja. Ukryłem ją w takim miejscu, że nawet sam diabeł by jej nie znalazł. Co dopiero twoje psy tropiące. A ten goryl, co nadział się na krzesło… Jak to mówią: choć lwiej postury, to rozum jak u kury, psia jego mać. Nie sądziłem, że jest z tobą aż tak źle. Czy ty jeszcze to wszystko ogarniasz?

Odpowiedziało mi milczenie. Wzruszyłem ramionami i pociągnąłem spory łyk z butelki.

– Cóż to, nie masz nastroju na rozmowy? – kontynuowałem. – Może pijesz za dużo

tego… Co to za sikacz? Nic dziwnego, że gardło zaciska się na samą myśl o konsumpcji.

– To wino ma więcej lat niż ty. – Maksymilian z trudem wdrapał się na swój fotel i ostrożnie dotknął poranionej szyi. – Mogłeś mnie zabić.

– Gdybym tego chciał, już być wąchał kwiatki od spodu. Zresztą… powinienem odstrzelić ci łeb dawno temu.

– Żałujesz, co?

– Tak, to jedyne czego żałuję.

– I chciałbyś wyjść stąd żywy?

– To nie jest kwestia chęci.

– Tylko czego?

– Wyboru.

Maksymilian tarł szyję i wpatrywał się w fototapetę. Drzewa najwyraźniej nie dostarczyły odpowiedzi na jego pytania, bo w końcu odwrócił głowę i wbił swoje rybie oczy we mnie. Zignorowałem go, pociągnąłem solidny łyk wina i odrzuciłem pustą butelkę.

– Masz jeszcze jakiś trunek? Sikacz się skończył.

– Po co wróciłeś?

– Po nic – odpowiedziałem i zmieniłem pozycję na wygodniejszą. – To twoje psy w czarnych szatach mnie zgarnęły. Przez przypadek, jak mniemam.

– Przypadki nie istnieją. Powinieneś to wiedzieć.

– Maksiu, gdzie trzymasz gorzałę? Przewrócę twój gabinet do góry nogami, a i tak ją znajdę. Swoją drogą, zrobił się z ciebie biznesmen całą gębą. Pozazdrościć.

– Nie opuścisz Białego Miasta żywy.

– Może nie chcę go opuszczać – uśmiechnąłem się. – A ty dopilnujesz, by nie spadł mi włos z głowy. Wiesz dlaczego.

Maksymilian nie odpowiedział, ale jego wściekły wzrok mówił wszystko.

– Tak, tak. Dopóki ona jest w moich rękach, nie tkniesz mnie nawet palcem. Twoi siepacze trochę mnie pokancerowali. Mieli dużą przewagę, a ja… miałem wtedy kosmicznego kaca.

– Czego chcesz? – wycedził.

– O! Teraz lepiej. Przechodzimy do sedna. Na początek poproszę pół litra i obiad. Prawdziwy obiad, a nie jakieś resztki. No, szybciej. Wezwij posługaczy.

Maksymilian wstał i podszedł do wielkich dwuskrzydłowych drzwi. Otworzył je i wrócił na fotel. Do gabinetu powrócił goryl, który już widać doszedł do siebie.– Butelka wódki i obiad. Nie… dwa obiady i dwie butelki wódki – zakomenderował Maksymilian.

– Ale… – goryl próbował oponować.

– Na jednej nodze i bez zbędnych pytań – warknął.

Scenie tej przypatrywał się w drzwiach inny mężczyzna w czarnym uniformie. Przepuścił wychodzącego goryla i zwrócił się do Maksymiliana:

– Wiesz, co robisz?

Na dźwięk znajomego, aksamitnego głosu rozpromieniłem się w uśmiechu. Jego właściciel rzucił mi tylko piorunujące spojrzenie, wrócił wzrokiem do Maksymiliana i zaczekał na odpowiedź.

– Tak – rzucił mój gospodarz, choć już nie tak władczo, jak jeszcze przed chwilą.

Górna warga Pana Aksamitnego zadrżała, jakby coś wyprowadziło go z równowagi. Pół biedy, jeżeli przyczyną były moje wybryki. Gorzej, jeśli nie spodobało mu się, jak Maksymilian zwraca się do goryla. Oznaczałoby to, że moje kłopoty dopiero się zaczną. Pan Aksamitny powoli i bezszelestnie zamknął za sobą drzwi.

– Co to za jeden? – spytałem, uważnie przyglądając się Maksowi.

– To jest pułkownik Cierń.

– Cierń? To imię czy co?

– Pan Cierń – pochylił się nad stołem Maksymilian – to zawodowy wojskowy. Jeszcze z dawnych czasów. Tacy jak on, w przeciwieństwie do tobie podobnych bandytów, posiadają imiona i nazwiska.

– Bandyci to ci w czarnych mundurach.

– Czy ty nadal nie zauważasz, że wszystko się zmieniło? Nie ma już starego świata.

– Wiem o tym od dwudziestu lat – zauważyłem z przekąsem.

– Posłuchaj, to, czego razem dokonaliśmy…

– Chwileczkę, jacy my? – zerwałem się z fotela. – Przypomnij sobie, gdzie byłeś, kiedy ja stałem ramię w ramię z towarzyszami walki. Gdy zdobywaliśmy kolejne bloki i kamienice, a wokół mnie robiło się pusto. Moi przyjaciele padali jak muchy. Gęstniała rzeka krwi płynąca ulicami, a ty nadal siedziałeś w swoim opancerzonym autobusie. W swoim schronieniu, obstawionym przez najlepszych zabijaków, których potrzebowałem tam, w ogniu walki. Wiesz, kiedy zrozumiałem, że coś jest nie tak? W momencie, gdy postanowiłeś nagrodzić swoich popleczników, którzy nie oddali nawet jednego strzału. Nawet nie powąchali prochu, a ty uhonorowałeś ich jak bohaterów. Oddałeś im cząstkę siebie, krew z krwi. I po co? By mogli ci zaufać. Nas, specjalistów od brudnej roboty, już nie potrzebowałeś. Pamiętasz ostatnią odprawę? Pamiętasz, co wtedy mówiłeś? Ja pamiętam.

– Wtedy były inne cele do osiągnięcia… – burknął Maksymilian, ale nie słuchałem go.

– Powiedziałeś wtedy, że zwycięstwo jest nasze. Cholera, zawsze byłeś świetnym mówcą. Potrafiłeś porwać za sobą ludzi, ale tego dnia przeszedłeś samego siebie. Wiesz dlaczego? Długo się nad tym zastanawiałem i doszedłem do wniosku, że ty z góry znałeś wynik walki. Ty wiedziałeś, że prędzej czy później zgnieciemy obrońców, bo dogadałeś

się ze wszystkimi przywódcami barykad. My nie wyżynaliśmy ulicznych wojowników tylko niewinnych ludzi. Ochrona squatów i komun została w ostatniej chwili wycofana.

– I co z tego? Przecież wygraliśmy. A wygranych nikt nie rozlicza…

– Myślę, że ktoś powinien.

– I tym kimś chciałbyś być ty?

Nie odpowiedziałem. Przeszkodziło mi dyskretne pukanie do drzwi, w następstwie którego w gabinecie pojawił się dystyngowany starszy pan w wytartym smokingu, ciągnący wózek zastawiony naczyniami. Wehikuł był trochę przekrzywiony i niemiłosiernie piszczały w nim kółka. Podejrzewałem, że powstał w wyniku przeróbki starego wózka sklepowego. Kelner sprawnie rozstawił talerze przed Maksymilianem i spojrzał wymownie na mnie.

– Tutaj siądę – wskazałem szczyt stołu – naprzeciwko mojego gospodarza. Wódkę masz?

Kelner bez słowa wydobył dwie półlitrówki i kieliszki. Maksymilian niemal niedostrzegalnie kiwnął głową i mężczyzna w smokingu zniknął tak niespodziewanie, jak się pojawił. Nim zamknął drzwi, stanął w nich pułkownik Cierń.

– On też zostaje na obiedzie? – spytałem zdziwiony.

Nie mniej zdziwiony był pułkownik, najwyraźniej ciągle nierozumiejący, w jaki sposób uchodzi mi płazem to chamskie zachowanie. Widocznie nie było mu dane przywyknąć do obecności plebsu na salonach.

– Zostaje – odpowiedział Maksymilian i zabrał się do jedzenia.

– Brakuje ściereczki – zauważyłem, kiedy Cierń podszedł do stołu, z zamiarem zajęcia przy nim miejsca.

– Jakiej…?

– Kelner zawsze ma ściereczkę przewieszoną przez rękę.

Maksymilian chrząknął z zakłopotaniem, a pułkownik wbił we mnie wzrok. Jego twarz przybrała barwę średniowiecznej, ręcznie wytwarzanej cegły. Bez słowa usiadł i zaplótł ręce na piersi, a ja rozpocząłem pochłanianie zawartości talerza. Kiedy wgryzłem się w ociekające tłuszczem udko kurczaka, przypomniałem sobie o wódce.

– Panie pułkownik, polej pan – powiedziałem, nie przerywając jedzenia. – Bo uschniemy z tęsknoty.

Cierń nie poruszył się, więc sam sięgnąłem po butelkę. Nalałem solidnego stakana i podniosłem do ust. Maksymilian napełnił mały kieliszek i spojrzał na mnie.

– Za co wypijemy?

– Bo ja wiem? – wzruszyłem ramionami. – Jest sens wznosić toasty?

– Jak chcesz. Ja wypiję… na pohybel moim wrogom.

– Trzeba by morza wódki, żeby opić każdego z nich – uśmiechnąłem się smutno. – Nu!

Muszę przyznać, że trunek był przedni. Nie palił w gardło, ale rozgrzewał. Przyjemne ciepło rozlewało się po żołądku, dawało złudne poczucie zadowolenia. Zagłuszyłem je kolejnymi kęsami kurczaka.

– A pan pułkownik nie je, nie pije? – wskazałem napoczętą butelkę. – Śmiało. W końcu to przyjęcie na moją cześć. Tam u was, w lochach, nie karmią najlepiej.

– Pan Cierń nigdy nie pije na służbie – wyjaśnił Maksymilian. – To oficer starej daty. Jeśli można tak powiedzieć.

– Oficer… Taaak – zastanowiłem się chwilę, trąc zatłuszczonym palcem podbródek. – W jakiej armii pan służył?

– W polskiej – warknął pułkownik.

– Ach… – szeroko otworzyłem oczy, udając zdziwienie. – Ta formacja chyba od dawna nie istnieje. Gdzie pan się uchował? W jakim bunkrze pan czekał, aż cały ten syf się ustabilizuje?

– Pan Cierń bardzo się przysłużył Białemu Miastu – wtrącił Maksymilian. – Służy nam doświadczeniem i wiedzą zdobytą w resorcie.

– W resorcie! – skinąłem głową – ładnie powiedziane. Gdzie dokładnie pan służył?

– Obawiam się – wykrzywił usta Cierń – że są to poufne informacje. Nie mogę ich zdradzać byle komu.

– Siły zbrojne w tym kraju nie istnieją od jakichś dwudziestu lat. Oczywiście, o ile można mówić o jakimś „kraju". Co za tym idzie, wszystkie te dyrdymały o tajemnicy wojskowej może pan sobie wsadzić w buty, panie Cierń.

– Muszę przyznać – pułkownik zignorował mnie i zwrócił się do Maksymiliana – że cała ta sytuacja jest dla mnie niezrozumiała.

– A to ci nowina – prychnąłem i nalałem sobie wódki.

– Dlatego też wolałbym, żeby więzień wrócił do celi. Przynajmniej do czasu, aż zakończy się śledztwo…

– Jakie, kurwa, śledztwo? – czknąłem i wychyliłem szklankę.

– Nie jest to potrzebne – Maksymilian przymknął oczy. – Ten pan jest moim gościem. Przynajmniej chwilowo.

– Dobrze prawi, wódki mu dać – zgodziłem się. – Podadzą w końcu deser?

Pułkownik Cierń zacisnął pieści i wbił we mnie wzrok.

– Myślę, że jeszcze wrócimy do naszych rozmów, tam w celi. Brakuje mi ich.

– Goń się.

Mężczyzna spojrzał wymownie na Maksymiliana i wstał. Ten machnął ręką i wetknął do ust cygaretkę. Błysnął ogień i zasłonił go obłok dymu.

– Co to, przyjęcie skończone? – spytałem, kiedy Cierń zamknął drzwi. – Może to i lepiej, że już poszedł. Nie pasował do naszej paczki.

– Masz wyjątkowy dar – głos Maksymiliana przedarł się przez kłęby dymu. – Potrafisz sprawić, że ludzie nagle zaczynają pałać do ciebie nienawiścią.

– Może po prostu nie zależy mi na ich przyjaźni.

– Może po prostu jesteś głupcem. Albo głupim sukinsynem. Albo nie masz nic do stracenia... – zawiesił głos i bacznie mi się przyjrzał.

No tak, on przecież nie wie, czy Lena w ogóle żyje. Wzruszyłem ramionami w odpowiedzi. Maksymilian jakby poszarzał, zmienił się na twarzy i po chwili cicho powiedział:

– Chcę ją zobaczyć.

– Kogo?

– Lenę.

Gdybym palił, w tym momencie pewnie wyciągnąłbym papierosa. Zamiast tego nalałem sobie wódki i wypiłem zawartość szklanki jednym haustem. Pomogło.

– Więc jak? Spełnisz moje jedyne życzenie?

– Niby czemu? – odparłem ze złością. Opanowałem się i dodałem po chwili: – Zróbmy inaczej. Wymień jeden powód, dla którego ona – twoim zdaniem – powinna zgodzić się na spotkanie z tobą.

– Bo jestem jej ojcem, a ona jest moją córką.

– I właśnie dlatego… – Odchyliłem się na krześle i położyłem nogi na stole. – I właśnie dlatego nie zobaczysz jej nigdy więcej.

* * *

Kac kiedyś mija. Z minuty na minutę głowa boli coraz mniej, świat wiruje coraz wolniej, głośne dźwięki przestają rozsadzać czaszkę. Człowiek zaczyna doceniać każdą mijającą chwilę, przysięgając sobie, że już nigdy więcej nie dotknie gorzały i czeka, kiedy przejdzie odruch wymiotny na sam widok butelki zawierającej ten szlachetny płyn. Przygoda z wodą ognistą zawsze zaczyna się niewinnie, trwa chwilę i kończy paskudnie. Oczywiście, wszystko zależy od doświadczenia zawodnika, przystępującego do treningu nadgarstka i od zawartości alkoholu w alkoholu. Ale nawet najbardziej wprawiony w pijackich bojach człowiek wymięka, kiedy o świcie trzeszcząca toczka zaczyna brzęczeć i buczeć, by w końcu wyrzucić z siebie melodię dawno przebrzmiałego przeboju. Głośnik zamontowano tuż nad drzwiami pokoiku i nie można go było w żaden sposób wyłączyć. Wyrwałem więc to ustrojstwo razem z kablami i wróciłem do łóżka. Mimo to słyszałem stłumiony dźwięk, jaki wydawała toczka w pokoju obok. Im dłużej wsłuchiwałem się w bzdurne piosenki serwowane przez radiowęzeł, tym bardziej

zaczynałem rozumieć sens istnienia podobnego rozwiązania. Muzyka miała zagłuszać głos sumienia, który wprowadziłby zamieszanie w tej idylli. Po godzinie w zamku drzwi zagrzechotał klucz, zawiasy jęknęły i ujrzałem rybie oczy Maksymiliana.

– I jak? Wyspałeś się? – zapytał.

– Aha. Nie masz nic do picia?

– Chodzi ci o wodę, czy o klina.

– O jedno i o drugie. Słuchaj… O co chodzi z tym waszym radiem?

– Ach, to… – Maks dostrzegł w końcu rozbity głośnik i wzruszył ramionami. – Dostarczam ludziom rozrywki. Ot co!

– Do dupy z taką rozrywką – skwitowałem. – Podobny kabaret możesz urządzać dla swoich tępych obywateli. Ja tego nie kupuję.

– Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej – powiedział szczerze Maksymilian.

– Och. Nie przeceniaj mnie. – Rozmowa robiła się dziwnie uprzejma.

– Wiesz… – zaczął mój gospodarz i zawahał się. – Zrobiłem błąd, że dałem ci wtedy odejść.

– Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek pytał cię o pozwolenie.

– Mniejsza o to. Chodź ze mną. Dostaniesz butelkę wody i spotkasz się ze swoim nowym znajomym.

– Bez jaj – roześmiałem się. – Znów zamykacie mnie w kozie?

– Nie – pokręcił głową – podjąłem już decyzję, co do twojej przyszłości. Pojedziesz na wycieczkę.

Z ulgą opuściłem ciemny pokoik i ruszyłem za Maksymilianem. Niemal mogłem sobie wyobrazić jego zgarbioną sylwetkę, snującą się nocą przez zapomniane, pełne duchów korytarze.

– Powinieneś kazać wyburzyć te ścianki. W ten sposób przywróciłbyś pierwotne założenie architektoniczne tego miejsca.

– Skąd możesz wiedzieć, gdzie się znajdujemy?

– Wydaje mi się, że to stary pałac Beckera. Nie mylę się?

– Jak na to wpadłeś? – Maksymilian spojrzał na mnie zdziwiony.

– Dedukcja. W Białym Mieście nie zostało wiele zabytkowych budynków, a ty przywiązujesz się do miejsc. Biorąc po uwagę, że tuż obok znajduje się dawne centrum handlowe…

– Nie widzę powodu, by cokolwiek przebudowywać – mruknął. – Tak jest dobrze. Po cóż mi przestronne sale? Wolę ciasne klitki.

– Jak dla mnie, jest tutaj zbyt klaustrofobicznie. Te zabite okna i sypiące się tynki…

– I mówi to dziecko epoki schronów przeciwatomowych.

– Takie jest moje zdanie. To wszystko.

– Wiem, wiem – Maksymilian pchnął drzwi i poranne słońce zalało korytarz. – Zapraszam.

Przed budynkiem czekała stara policyjna suka, przemalowana na czarno. Za zakratowanym okienkiem kierowcy dostrzegłem pułkownika Ciernia. Na mój widok zacisnął usta, a jego oczy zmieniły się w dwie szparki.

– W końcu – warknął, kiedy wsiadłem na tylne siedzenie auta. – Czekam tutaj całą wieczność.

– Nasz gość musiał się wyspać – spokojnie odpowiedział Maksymilian, zajmując miejsce obok kierowcy. – I wytrzeźwieć.

Pułkownik wzruszył ramionami i wrzucił bieg. Coś zgrzytnęło i suka ruszyła dawną ulicą Świętojańską. Udzieliło mi się milczenie panujące w pojeździe. Oglądałem krajobraz przepływający za oknami: gruzowisko, z którego gdzieniegdzie sterczały mniej lub bardziej zrujnowane budynki, poprzecinane arteriami oczyszczonych ulic. Droga była i została świętością. Poczułem wzruszenie, jakąś tęsknotę za czasem Wojenki, przyjaźni, Leny.

* * *

Miasto na Białą nie było ani szczególnie duże, ani szczególnie rozwinięte, ani szczególnie ważne przed Rozbłyskiem. Nawet nie wiem, czy było ładne. Nie pamiętam go sprzed katastrofy. Dopiero te gruzy stały się moim domem i to na kilka lat przyspieszonego dorastania. Poznałem tutaj wszystkie okropności bratobójczej walki, poznałem każdy kawałek tego pola bitwy. Spotkałem przyjaciół i wspaniałą, silną kobietę – Lenę, za którą oddałbym życie. Wiedziałem, że osłoniłaby mnie własną piersią, gdyby zaszła taka konieczność. Często się kłóciliśmy, jeszcze częściej kochaliśmy jak szaleni. A wszystko to w cieniu poszarpanych trotylem ruin. Tutaj spadły pierwsze bomby, gdy wyrywni Rosjanie nacisnęli swoje czerwone przyciski w odpowiedzi na dziwny błysk na nieboskłonie. Zresztą był to czas, kiedy czekali z rozpoczęciem wojny na najmniejszy pretekst. Zanim się zorientowali, sami mieli kłopot, jak cała Ziemia. To natura spłata psikusa nam wszystkim.

Na miasto nad Białą i jemu podobne prowincjonalne dziury spadły ładunki konwencjonalne, ale na ważniejsze punkty na wojskowych mapach Polski wycelowane były pociski nuklearne. Może dzięki temu przetrwało tutaj tylu ludzi. Wielkie miasta w środkowej i zachodniej części kraju, zostały praktycznie zmiecione z ziemi. Uprzywilejowani, czyli rządzący krajem, zeszli do dobrze wyposażonych schronów i odcięli się od reszty. Na powierzchni ocalałych ogarnął niewyobrażalny chaos i fala

bratobójczej rzezi. Hierarchia społeczna zbudowana na pieniądzu runęła wraz z budynkami. Na nową „elitę" wyrastali ci, których bezwzględność i instynkt przetrwania były najsilniejsze. Uliczna chuliganerka i bandyci szybko stali się królami życia. Uzbrojeni i śmiercionośni podporządkowali sobie słabszych, wrażliwszych i nieodpornych psychicznie. Takie było życie.

Mieszkanie w wielkich aglomeracjach może i miało jakieś zalety przed Rozbłyskiem, jednak w momencie katastrofy przewaga cywilizacyjna, z nieodłączną anonimowością, obróciła się przeciwko obywatelom. W prowincjonalnym i w gruncie rzeczy małomiasteczkowym grodzie nad Białą każdy znał każdego. Ludzie skupili się we wspólnotach składających się z kilku bloków, czasami całego kwartału, zabijali okna deskami i organizowali sobie świat na nowo. Wzięli przykład z anarchistycznych squatów, wcześniej pozostających na marginesie społecznym. Ludzie ze squatów byli najlepiej przygotowani na wszelkie ewentualności, bo ich domy były wielokrotnie szturmowane i w czasach pokoju. Widmo wojny, które wisiało na Polską, nie było zagrożeniem aż tak realnym, jak bojówki dziarskiej młodzieży usposobionej wrogo do squattersów-obszarpańców.

Ironia, a może złośliwość nieznanego boga, sprawiła, że koniec świata nastąpił, zanim sami zdołaliśmy go zniszczyć. Promieniowanie gamma dotarło do powierzchni ziemi wkrótce po tym, jak stalowe anioły śmierci uderzyły w nasze miasta. Jak mawiał Dziaduszka: siły we wszechświecie muszą się równoważyć. Nie wiem, jak jest z Wszechświatem, ale emocje młodego chłopaka musiały znaleźć równowagę. Po latach spędzonych w ciszy naszego prywatnego schronu, urwałem się moim opiekunom i wyruszyłem po swoją przygodę.

Skutki rozbłysku gamma były porażające, ale człowiek po raz kolejny udowodnił, że jest upartym zwierzęciem. W końcu jednak, nawet w grodzie nad Białą, komuś skończyły się zapasy, ktoś inny nie chciał pracować dla dobra ogółu i polała się pierwsza krew. W ten sposób wybuchła nasza prywatna wojenka o przestrzeń życiową. Początkowo urządzaliśmy tylko mniej lub bardziej udane wycieczki na terytorium sąsiadujących squatów. Czasem my obrywaliśmy, czasem oni, ale bilans i tak wychodził na zero. Do czasu, gdy pojawił się Maksymilian. Wtedy wojenka stała się Wojenką, a zwycięzca miał wziąć wszystko. I wziął. My wierzyliśmy, że to krok w stronę normalności, odrodzenia ludzkości i tym podobne dyrdymały. Maksymilian, jak się okazało, miał nieco inny plan. Niemniej jednak, w obrębie Białego Miasta jakieś normy zaczęły obowiązywać. Czułem, że sam dołożyłem do tego swoją cegiełkę. Może zbyt krwawą. Cóż. Dziaduszka mawiał, że tak krawiec kraje, jak mu materii staje. Chyba o to właśnie mu chodziło.

Białe Miasto wcale nie było białe. Budynki położone w dawnym Śródmieściu

naprawiono, a ich elewacje pomalowano wszelkimi dostępnymi farbami. W ten sposób powstała istna mozaika bezguścia, bohomazów i przypadkowo dobranych kolorów, dla mieszkańców będąca zapewne kwintesencją luksusu, dla mnie szczytem prowizorki. Z daleka jakoś to wyglądało, ale z bliska porażały tandeta i bylejakość. I te pieprzone toczki zamontowane na każdym rogu. Wszystko to wyglądało jak żart szalonego scenarzysty, będąc w rzeczywistości piekłem na ziemi. Po stokroć wolałbym spędzić resztę życia w rozpadającej się chałupie na końcu świata, pozbawiony elektryczności i niezmuszany do słuchania hitów ze zdartej płyty.

– Krzywisz się? – Maksymilian dostrzegł moją skwaszoną minę. – Przecież o to walczyłeś. O swoje miasto.

– Walczyłem o przyszłość, nie o miasto. Po co mi to wszystko pokazujesz? – wbiłem wzrok w bryłę mijanego właśnie pałacu Branickich. – O, tutaj powinieneś urządzić sobie rezydencję.

– W tym budynku mieści się centrum dowodzenia, zarządzane przez pułkownika Ciernia – łaskawie wyjaśnił mi Maksio. – Nie tak dawno zwiedzałeś jego lochy.

– Ach! – wykrzywiłem twarz w udawanym uśmiechu. – Więc mamy na Podlasiu nowego hetmana. Gratulacje!

– Stul pysk – warknął Cierń, zaciskając dłonie na kierownicy.

– Oho, ktoś tutaj cierpi na manię wielkości.

– Uspokójcie się już – Maksymilian podniósł rękę. – *Pax* panowie.

– Nigdy nie uważałem się za pana, ale niech ci będzie. Po co to wszystko?

– O czym mówisz?

– O całym tym przedstawieniu z budową Muru, czyszczeniem przedpola, wyburzaniem ruin. Przez kilka lat dawaliście sobie radę bez pomocy obcych sojuszników i ich dobrych pomysłów. Czasem ktoś dostał po mordzie w ciemnym zaułku, oporną dziwkę zgwałcili w krzakach – o ile można mówić o gwałcie na kurwie. Nie rozumiem tego całego reżimu, strachu przed Czarnym Komandem i Trybunałem… Właśnie, zastanawia mnie, kto zasiada w tym ciele sądowniczym.

– Ja i pan pułkownik – z rozbrajającą szczerością odpowiedział Maksymilian. – Sądzisz, że tak ważne zadanie powierzyłbym komuś przypadkowemu?

– Ale taki sposób sprawowania władzy stwarza olbrzymie pole do nadużyć – zauważyłem.

– Wszelkie nadużycia, jak to ładnie określiłeś, są usprawiedliwione, jeśli służą dobru ogółu. A w tym wypadku służą.

– Nie takiego społeczeństwa chcieliśmy. Pal licho, że stworzyłeś prywatne miasto-państwo. To nie jest moje miejsce na ziemi, więc jest mi wszystko jedno. Przekształcenie wolnego kiedyś terytorium w państwo policyjne już mi się nie podoba.

Wiesz dlaczego?

– No? Zamieniam się w słuch.

– Bo takie junty w końcu się rozpadają. Ktoś w końcu pociągnie za spust broni wycelowanej w obecnego partnera władzy. Kiedy wybuchnie wojna domowa, ucierpią głównie cywile, ludzie Bogu ducha winni. O tym nie pomyślałeś, prawda?

– O naszych obywatelach myślę cały czas – mruknął Maksymilian.

– Dlatego grupy interwencyjne Czarnych grasują po ulicach?

– Niewinni nie mają powodu do zmartwień – wtrącił Cierń. – Włos im z głowy nie spadnie.

– Tak jak mnie? – parsknąłem śmiechem.

– Ty jesteś obcy – odparł beznamiętnie pułkownik.

– To zbrodnia? – zapytałem z ostentacyjnym zdziwieniem.

– Tutaj tak – potwierdził rzeczowo. – Podobnie jak puszczanie w obieg fałszywych rubli.

Skąd je miałeś?

– Tu cię mam! – pokiwałem głową. – Zapewne burdelmama nas podkablowała. No tak, jeśli chce prowadzić interes, musi żyć w zgodzie z władzą. Nawet ją rozumiem. A ruble są oryginalne. To nowy wzór. Niedługo wejdzie do użytku.

– Doprawdy? – Pułkownik nie sprawiał wrażenia zdziwionego.

– A tak. Kto jak kto, ale wy powinniście o tym wiedzieć. W końcu robicie interesy z naszymi sąsiadami spod znaku Pahonii... – Zawahałem się przez chwilę, bo coś przyszło mi do głowy. Zaryzykowałem: – Ten numer z paliwem to majstersztyk, szkoda że wam nie wyszedł. Oni stracili pociąg i zysk, a wy straciliście sojusznika. Trochę to przykre…

Cierń wdepnął hamulec i spojrzał na Maksymiliana, po czym obaj jak na komendę odwrócili się w moją stronę.

– Ktoś im buchnął pociąg z paliwem? – zaśmiał się Maks. – Pewnie są nieźle wkurwieni. Teraz najadą wszystkie te wasze nadgraniczne sioła i zrównają z ziemią. Przymykali oko na wasz przemyt…

Przestałem go słuchać. Więc to nie Białe Miasto zostało wybrane przez Aleksieja Fiodorowicza Mroczkę i reprezentowaną przez niego grupę interesów na strategicznego partnera, chowanego niczym as w rękawie partnera, który miał swoją siedzibę zaledwie pięćdziesiąt kilometrów od Bufora, dysponował pewną liczba sprzętu i ludzi. No i zrobiłby wszystko dla zdobycia władzy nad szerszym terytorium, może nawet nad całym krajem. Reakcja Maksymiliana zaskoczyła mnie na tyle, że dobrą chwilę milczałem, zastanawiając się, gdzie w moim rozumowaniu popełniłem błąd. Wszystko stało się jasne, gdy napotkałem wzrok Ciernia. Ujrzałem w jego oczach błysk

wściekłości, jednak szybko się opanował i wrócił do swojej beznamiętnej maski.

– Nasz wschodni sąsiad to bardzo ważny gracz – powiedział powoli, jakby zastanawiając się nad każdym słowem. – Zawsze takim był. Szkoda, że nie dostrzegaliśmy tego wcześniej.

– Jakie to ma znaczenie? – wzruszyłem ramionami. – Zwłaszcza teraz.

– Masz przyjaciół po tamtej stronie Bufora, prawda?

– Przyjaciół? – parsknąłem. – Raczej partnerów w interesach.

– Ciekawa sprawa z tym pociągiem – zacisnął usta Cierń. – Trudno ukryć coś tak dużego, nieprawdaż?

– Bo ja wiem? – ziewnąłem ostentacyjnie. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Swoją drogą, ktoś się nieźle obłowił. Ile tam było cystern? Piętnaście? Dwadzieścia? – drążył Cierń, zdwajając moją czujność.

– Skąd mam niby, kurwa, wiedzieć?

– Wydawało mi się, że jesteś dobrze poinformowanym człowiekiem.

– Powtarzam jedynie to, co słyszałem w jednym barze na pograniczu – łgałem jak z nut. – Według mnie złodzieje wykazali się wyjątkową głupotą. Takiego łupu szybko nie puszczą na rynek, a gdzieś go muszą ukrywać. Siepacze z tamtej strony Bufora wpadną na ich trop, zanim ci zdążą sprzedać choćby kanister paliwa.

– Może już dość tych rozważań? – wtrącił się Maksymilian i rzucił do Ciernia: – Jedź pod Blok Gamma. Tam wysadzimy naszego przyjaciela.

Cierń uśmiechnął się, wdepnął pedał gazu i suka ruszyła w kierunku muru i jednej z bram. Strażnicy z daleka rozpoznali pojazd i nawet nie fatygowali się, by nas zatrzymać. Ich zadaniem była kontrola osób próbujących dostać się do miasta, a nie z niego wyjechać. Dobrowolnie opuszczających *city* pewnie było niewielu. Bo kto chciałby ryzykować utratę bezpiecznego kąta i miski podłego żarcia na rzecz nieokreślonej przyszłości gdzieś wśród rumowisk czy – nie daj Boże – na odległych pustkowiach. Doskonale rozumiałem mentalność tych ludzi, będąc na ich miejscu pewnie myślałbym podobnie. Ja jednak od dawna nie znajdowałem się na ich miejscu.

Dotarliśmy na dwupasmową dawną ulicę Zwierzyniecką, za którą, jak okiem sięgnąć, rozciągało się puste przedpole, skalane jedynie czterema wieżowcami celującymi w niebo niczym palce dłoni. Dłoni pozbawionej kciuka.

– Spójrz! – Maksymilian wskazał na zdezelowaną ciężarówkę mknącą ulicą. – Jest załadowana gruzem, który pozyskujemy z rozbiórki zawalających się domów i uprzątamy z rumowisk. Wszystkie materiały są wykorzystywane ponownie. Nic się nie może zmarnować.

– Sam na to wpadłeś? – spytałem, mrużąc oczy.

– Specjalne ekipy ludzi, którzy podpadli najbardziej, pracują na pierwszej linii.

Przeszukują gruzowiska, eksmitują lokatorów pustostanów, polują na Strzygi – jednym słowem przygotowują miejsce dla robotników drugiej linii. Ci wysadzają lepiej zachowane fragmenty budynków, po nich wchodzą młotkowi. Rozbijają gruzy na coraz mniejsze kawałki, dające się załadować na ciężarówki. Na trzeciej linii taczkowi wywożą je na składowiska, a miotlarze zbierają pył i najmniejsze odłamki. Z pozyskanego przez nich materiału robimy zaprawę. I z tego wszystkiego powstaje Mur Zaporowy.

– Słyszałem już o tym cudzie techniki.

– Widzisz, w tym miejscu dobrze zachowały się ekrany dźwiękoszczelne, więc wznoszenie kolejnej zapory mija się z celem. Ale w punktach całkowicie odsłoniętych i narażonych na infiltrację osób z zewnątrz musieliśmy podjąć pewne kroki prewencyjne.

– Mówiąc po ludzku: odciąć miasto od świata zewnętrznego.

– Zgadza się – uśmiechnął się Maksymilian.

– Jak widzę, jesteś dumny ze swojego dzieła.

– Wzmacnianie i naprawy pewnie potrwają jeszcze kilka lat, ale główny zrąb konstrukcji już powstał.

– Wszystko to rozumiem. Kiedyś jednak wystarczały nam zasieki z kolczastego drutu i naprędce sklecone barykady. Pojawił się nowy wróg czy jak?

Odpowiedzią był nerwowy tik na twarzy Maksymiliana.

– Mur Zaporowy obiega Białe Miasto wzdłuż ulic: Zwierzynieckiej, Kaczorowskiego, Legionowej, Branickiego, Miłosza i Ojca Pio. To naturalna granica, którą po wielu konsultacjach postanowiliśmy wytyczyć. To była konieczność.

– Jak to? – zdziwiłem się naprawdę. – Zostawisz za murem swój park rozrywki?

– Bystry jesteś – rzucił Maks. – Trzeba myśleć o przyszłości. To niezły interes, wkrótce otworzymy go dla obcych. Rozumiesz.

– Rozumiem – odparłem i pokiwałem głową. – Doić to i owszem, bronić – nie. Co z wolnymi squatami? Tam też mieszkają ludzie.

– Wolni, jak sama nazwa wskazuje, pozostają poza jurysdykcją miasta. Oczywiście zawsze mogą opuścić swoje rudery i na pewno zostaną przyjęci w poczet obywateli. Niektórzy już poszli po rozum do głowy. Zostali osiedleni w tych tam wieżowcach – Maksymilian wskazał cztery dziesięciopiętrowce, zauważone przeze mnie wcześniej. – Spełniają swoją rolę. Kiedyś były tutaj akademiki. Za nimi rozciągał się kompleks politechniki białostockiej.

– Przecież te bloki znajdują się jeszcze przed Murem – zauważyłem.

– Zgadza się – potwierdził Maks.

– Więc ich mieszkańcy nie są tak do końca obywatelami miasta – stwierdziłem.

– Nie są – przyznał.

– Dlaczego?

– Bo nie mogą z powrotem przekroczyć jego granicy.

– A więc to jest więzienie, do którego wysyłacie wydalonych z miasta i tych z wolnych squatów? – dopytywałem dla podtrzymania konwersacji. Wszystko było jasne.

– Jakie tam więzienie – skrzywił się Maksymilian. – Nikt ich nie zamyka, dostają pożywienie, pracują…

– Jasne – pokiwałem głową – miska brei, robota jak w kamieniołomach i zerowe perspektywy na przyszłość. To ma być wolność? A co w przypadku ataku bandytów lub łazików? Bronią się też sami?

– Nie przesadzaj. Do bramy mają może ze sto metrów. A Czarni zawsze chętnie ich obronią…

– Już to widzę!

– Tam naprawdę nie jest tak źle, jak myślisz – powiedział Maks i dodał wesoło: – Będziesz miał okazję przekonać się o tym sam.

Cierń właśnie dojechał do dawnego ronda im. Seweryna Nowakowskiego, zawrócił i ruszył ku akademikom. Przed pierwszym, oznaczonym jako „Alfa", skręcił na wewnętrzną drogę, minął kolejne wieżowce i zatrzymał się przy przedostatnim, z wyblakłym napisem „Gamma" na ścianie. Przed wejściem siedział wygolony na zero, barczysty drab w kamizelce odblaskowej.

– To jest nadzorca budynku Gamma, pan Łysy – oznajmił Maksymilian, wysiadając z suki. – Od teraz będziesz mu podlegał, słuchał go i wykonywał jego najbardziej nawet idiotyczne polecenia. Możesz już opuścić auto.

– Znaczy się, zostałem właśnie wygnany z Białego Miasta? – zapytałem, gramoląc się przez wąskie drzwiczki.

– Powiedzmy, że… – Maks szukał właściwego słowa – od tej pory będziesz pracował na swój wikt i opierunek, no i oczywiście na chwałę Białego Miasta. Sam rozumiesz, dla darmozjadów nie ma u nas miejsca. Panie Łysy, przekazuję go najbardziej odpowiedzialnemu i cenionemu przeze mnie nadzorcy, czyli panu.

Bydlak podszedł do mnie i wbił mi w pierś gruby paluch. Jego wąskie usta wyglądały jak kreska wyrzeźbiona w skalnym głazie.

– Od tej pory należysz do mnie – warknął. – Jazda do środka.

Posłuszne wdrapałem się po zniszczonych schodach i w drzwiach zostałem zatrzymany przez kolejnego draba. Ten wręczył mi mały metalowy nieśmiertelnik z wybitym numerem i wyciągnął pomięty zeszyt, coś w nim bazgroląc.

– To jest „blacha". Bez niej nie wejdziesz do budynku – wyjaśnił. – Radzę ci jej nie zgubić. Musisz ją okazywać na każde wezwanie. Jest tutaj jedna zasada: brak blachy

równa się kulce w łeb. Rozumiesz?

– Jasne – bąknąłem.

– Jak widzisz, są tutaj cztery wieżowce. W Alfie mieszkają ochotnicy, Beta i Gamma to wygnańcy, Deltę zajmują pracujący na pierwszej linii. Nie jest ich zbyt wielu. Ty idziesz na trzecią linię, zaraz przydzielimy ci taczkę. Chodź ze mną.

Posłusznie odwróciłem się na pięcie i dostrzegłem Ciernia spoglądającego na mnie spod przymkniętych powiek.

– Zapamiętaj – syknął – że cały czas cię obserwuję. Wszystko widzę i wszystko słyszę.

– Kolejny jasnowidz! – zaśmiałem się.

– Dostaliście na stan niezłego komedianta – wyszczerzył się Maksymilian. – Dobrze go pilnujcie. Zresztą… Dokąd miałby uciec?

Śmiech Wielkiego Skurwiela odprowadził mnie aż do narzędziowni urządzonej w jednym z ocalałych budynków uczelnianej infrastruktury. Śmiech, który – miałem nadzieję – ktoś kiedyś wykopie z twarzy Maksia.

Rozdział 7

Gamma

Taczka była nieporęczna i cholernie wywrotna. Wiedziałem o tym już w momencie, kiedy ujrzałem ten cud techniki. Przypadkowo dobrane, wąskie kółko gwarantowało ugrzęźnięcie w sypkim piasku, powyginane rączki wymuszały nienaturalną postawę robotnika, a ładowność tego wózka mogła zawstydzić niejednego kulturystę. Mimo to załadowałem gruz, wytężyłem mięśnie i ruszyłem w kierunku składowiska. Aby dotrzeć do hałdy musiałem przebyć dwieście metrów po nierównym terenie. Uznałem, że jakikolwiek pośpiech będzie niewskazany. Wlokłem się noga za nogą, rozmyślając o wszystkim, co zdarzyło się w ciągu kilku ostatnich dni. Ciągle nie dawała mi spokoju kwestia ukrytego przeze mnie ładunku paliwa, a właściwie tajemnicza osoba jego odbiorcy. Maksymiliana mogłem już wykluczyć – ktoś inny rozdawał karty w mieście. Nie mieściło mi się w głowie, że ten sukinkot stał się tak podatny na sterowanie przez bandę przybyszy. Uzbrojonych i doskonale zorganizowanych, ale jednak przybyszy. Chyba że sam zgodził się zostać marionetką. W takim wypadku pytanie brzmiało: za jaką cenę to uczynił? Nie mógł znać wszystkich planów Ciernia, pułkownik nie byłby tak głupi, żeby zdradzać je osobnikowi, którego ma zamiar wykorzystać i… No właśnie. Gra wojskowego pozostawała dla mnie tajemnicą. Wiedział o transporcie paliwa, wkurzył się, kiedy usłyszał, że wszystko poszło nie tak i pociąg zniknął. Oznaczało to jedno: w tej chwili ja miałem wszystkie asy w rękawie i nikt o tym nie wiedział. A sam Cierń albo był właściwym odbiorcą płynnego towaru, albo miał go przejąć siłą, likwidując prawdziwych kontrahentów Aleksieja Fiodorowicza. W obu przypadkach karta w rękach pułkownika okazywała się być kartą bitą. Tak czy inaczej, wdepnąłem w niezłe gówno i najlepszym rozwiązaniem było wzięcie nóg za pas. Podjąłem taką decyzję, gdy taczka zapadła się po oś w piachu. Gruz wylądował obok, a ja wyzwałem narzędzie

mojej pracy od kurew i dziwek.

Postanowiłem przeczekać kilka dni, aż opuchlizna zejdzie z mojego oka i spróbować dać drapaka. W drodze powrotnej wybrałem inną ścieżkę, nieco bardziej utwardzoną. Ponownie załadowałem taczkę i pomaszerowałem ku składowisku. Dotarłem na miejsce bez jednej wywrotki i zadowolony z siebie usiadłem w cieniu hałdy. Tuż po mnie kolejna taczka dotarła na miejsce, a pchający ją pulchny mężczyzna z dwoma podbródkami wytarł mokre od potu czoło.

– Nie siadaj – sapnął. – Oni nie lubią, jak się siedzi. Możesz odpoczywać w drodze powrotnej, ale nie siadaj.

– Taaa? A co oni mogą mi zrobić? Wsadzić za kratki? – zaśmiałem się, wstając.

– Zabiorą ci przydział wody. Ot co! – wyjaśnił grubasek, wysypał zawartość taczki i pomaszerował w kierunku rumowisk.

– Coś w tym jest – mruknąłem i podążyłem jego śladem.

Zbliżało się południe i większość pracujących pościągała z grzbietów koszule, robiąc sobie z nich coś w rodzaju turbanów. Upał nie był tak dotkliwy jak kiedyś, ale i tak oddałbym królestwo za okulary przeciwsłoneczne. Idący przede mną grubasek dotarł już do pierwszej linii ruin i zaczął ładować odłamki. Przerwał jednak, kiedy powietrze rozdarły dwa krótkie dźwięki gwizdka. Taczki zamarły, wzniesione młoty przestały wybijać swój rytm, ludzie porzucili pracę i zaczęli chować się w cieniu. Wzruszyłem ramionami i przykucnąłem pod samotną pionową ścianą. Po chwili dołączył do mnie dobrze zbudowany mężczyzna w odblaskowej kamizelce i kasku na głowie. Nie prosiłem o towarzystwo, ale cóż.

– No i jak? – klepnął mnie w ramię.

– Nijak – odpowiedziałem głupio.

– Twoja sprawa. Ale tutaj lepiej trzymać się razem. Sam niewiele zwojujesz.

– Mam zamiar przeżyć, nie walczyć.

– Na jedno wychodzi – skrzywił się mężczyzna. – Za wysoko ładujesz.

– Co?

– W taczce jest za dużo gruzu, środek ciężkości zmienia się i byle powiew wiatru sprawia, że nie możesz utrzymać pionu i taczka się przewraca. Za wysoko ładujesz.

– Nadzorca kazał…

– Pierdol nadzorcę. Tutaj kierujemy robotą my – dotknął palcem własnej piersi. – Kierownicy linii. Praca ma się toczyć powolnym kołem, bez przestojów. Efekty nie są ważne. Liczy się ciągłość, nieprzerwany potok ludzkich ciał. Jeśli wydaje ci się, że nikt nie zauważy wywrotki, to się mylisz. Ja, na przykład, obserwuję cię od początku. Nieważne jak szybko pozbierasz zawartość taczki. I tak zostaniesz odfajkowany na liście. A odfajkowani dostają mniej żarcia, mniej wody. Pięć wywrotek i masz

jednodniową głodówkę gratis. Cieszysz się?

– Nie bardzo – mruknąłem.

– Tak przy okazji – mężczyzna wyciągnął pokrytą pyłem dłoń – Mały jestem.

– Kamyk.

– Pamiętam cię jeszcze z Wojenki. Walczyliśmy na tych samych barykadach.

– Miło spotkać starego towarzysza broni. Pamiętasz Przepióreczkę? Taki brodaty, twojej postury.

– Mechanika bym nie zapomniał. Co z nim?

– Zwinęli go razem ze mną. Chyba nadal siedzi w ciupie.

Naszą rozmowę przerwało kolejne podwójne gwizdnięcie, oznaczające zapewne koniec przerwy. Skazańcy niechętnie wracali do pracy, zaterkotały koła taczek, zabrzęczały kilofy i młoty. Tu i ówdzie ostry głos kierownika przywołał kogoś do porządku, a biała mgiełka ponownie uniosła się nad rumowiskami. Mały ponownie klepnął mnie w ramię, na głowę wetknął kask i wstał.

– Jedziemy z tym koksem. Dzisiaj musisz się przemęczyć. Wieczorem pogadam z kim trzeba, może przydzielą cię do mnie. Nie ze wszystkich jestem zadowolony. – Mały spojrzał na głośno sapiącego grubaska zlanego potem. – Jeśli ten wytrzyma do końca szychty, to uznam, że cuda się zdarzają. Jeśli fiknie przed czasem, to sam będę musiał targać tę przeklętą taczkę. Dlatego wolałbym mieć w swoim zespole pewnego człowieka.

– Nie znasz mnie – zauważyłem.

– Nie muszę. Dobrze ci z oczu patrzy. Znaczy... z oka – zaśmiał się. – No, wracaj do pracy.

Chwyciłem pogięte rączki i popchnąłem taczkę w kierunku muru. Wysypałem zawartość na składowisku i ruszyłem w powrotną drogę. Dotarłem do pierwszej linii gruzowisk, zgodnie ze wskazówkami Małego wrzuciłem kilka mniejszych kawałków betonu i zawróciłem w kierunku muru. I tak w kółko, do pieprzonego wieczora.

Kiedy cztery wieżowce oświetliło czerwone, zachodzące słońce, zabrzmiał gong. Praca zamarła w jednej chwili. Młotkowi zbierali swoje narzędzia, miotlarze otrzepywali ubrania z pyłu, taczkowi biegli z ostatnim kursem, a murarze kładli ostatnią warstwę zaprawy. Nadchodził czas odpoczynku. Ruszyłem za innymi taczkowymi i odstawiłem swój rydwan do narzędziowni. Dołączyłem do strumienia ludzi zdążających do wieżowca Gamma i w końcu mogłem ocenić liczbę mieszkających w nim wygnańców. W wejściu do akademika niemal wpadłem na jednego z nadzorców.

– Nie znam cię – warknął. – Pokaż blachę.

Posłusznie wykonałem polecenie i uważnie spojrzałem w jego twarz. Beznamiętnie sprawdził wybity na blaszce numer i wskazał palcem na klatkę schodową.

– Dziesiąte piętro – rzucił beznamiętnie.

– Nie było czegoś niżej? – zapytałem, ale brygadzista mnie zignorował.

Rad nie rad rozpocząłem wspinaczkę i zastanawiałem się, w jaki sposób po całym dniu wyczerpującej pracy ktokolwiek jest w stanie wykrzesać siły na dotarcie na najwyższe piętro. Pięć pięter wyżej natknąłem się na odpoczywającego mężczyznę.

– Idziesz na dziesiąte? – spytałem.

– Mieszkam na ósmym – odpowiedział. – Na dziesiątym będziesz sam. Tam zawsze lokują nowych. Jeśli wytrzymasz tydzień, to przeniosą cię na dziewiąte, później na ósme, siódme i tak dalej. Ci którzy pracują tutaj najdłużej mieszkają na pierwszym. Wyobrażasz to sobie? Wstają później niż inni, bo nie muszą schodzić przez świtem po tych wszystkich stopniach, kładą się najwcześniej, bo nie muszą drałować w górę na fajrant. Pełen luksus i wygody. No dobra, ja już odpocząłem, chociaż nogi nadal mam jak z waty. Idziemy dalej?

– Chodźmy – wstałem, przytrzymując się barierki, i ruszyłem za nowo poznanym kompanem.

Kiedy dotarłem na swoje piętro, przekonałem się, co znaczą trzęsące się uda i drżące łydki. Kilka ton przerzuconego gruzu zrobiło swoje.

– Jest tu ktoś? – zapytałem głośno i nie doczekawszy się odpowiedzi, rozpocząłem rekonesans w pokojach. Ciasne, dwuosobowe klitki dawno temu wyczyszczono z jakichkolwiek mebli, prawdopodobnie przenosząc je na niższe piętra. Zdziwiłem się na widok śmierdzącego szczynami materaca, na jaki natknąłem się w pomieszczeniu wyglądającym na byłą kuchnię. Co za marnotrawstwo. A drugiej strony będę miał na czym spać. No i w tej części budynku w oknach jakimś cudem pozostały szyby. Właśnie wyciągałem strudzone kości na sienniku, kiedy usłyszałem przerywany oddech dobiegający ze szczytu schodów. Wysadziłem głowę na korytarz i ujrzałem słaniającego się na nogach oberwańca.

– Hej! – Machnąłem ręką. – Tutaj.

Mężczyzna wziął kilka głębszych oddechów i ruszył w moją stronę. Miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat i z wyglądu podobny był zupełnie do nikogo.

– O kurwa! – sapnął i zwalił się na podłogę w kącie kuchni.

To jedno proste „o kurwa” wystarczyło, żebym przypomniał sobie, gdzie i kiedy spotkałem mojego gościa. Ostatnio również dzieliłem z nim sypialnię, tyle że ulokowaną kilka metrów pod ziemią.

– To ty? – zapytałem dość głupio.

– Ja? Czyli kto? – Gość zdecydowanie nabrał pewności siebie od ostatniego razu.

– Siedzieliśmy w jednej celi, kilka dni temu… Pamiętasz?

– Ach! – Oberwaniec zmarszczył czoło, jakby myślenie sprawiało mu jakiś problem. –

Może rzeczywiście…

– Jednak dostałeś paragraf – stwierdziłem.

– No… – westchnął.

– Przydzielili cię do taczki?

– Skąd wiesz? – Tym razem to on nie był zbyt rozmowny.

– Zdaje się, że wszyscy nowi dostępują tego zaszczytu – wyjaśniłem. W której części miasta pracujesz?

– W okolicach Branickiego.

– Jak było?

– Ciężko – wyznał mój współlokator. – Tam było dużo kamienic, zwłaszcza bliżej ulicy Warszawskiej. Mamy co wozić.

– Jak się będziesz starał, to może cię awansują – rzuciłem pocieszająco. – Na przykład na młotkowego.

– Dzięki, nie skorzystam. Pryskam, jak tylko nadarzy się okazja.

– Pryskasz? – zdziwiłem się bardzo. – Tak się składa, że doskonale pamiętam, jakie zdanie miałeś o ucieczce. Kiedy widzieliśmy się… Znaczy kiedy ostatni raz ze sobą rozmawialiśmy, paraliżowała cię myśl o daniu drapaka. Widzę, że nabrałeś odwagi, targając taczkę z gruzem.

– Ja tylko chcę przeżyć – powiedział i przyjrzał mi się nieufnie.

– Ja też – zignorowałem to spojrzenie – dlatego teraz idę spać. Jutro porozmawiam z jednym z kierowników. To dobry człowiek, obiecał mi pomóc. Może i ciebie uda się przenieść do jego ekipy. Oczywiście, jeśli chcesz.

Oberwaniec mruknął coś niezrozumiałego i zwinął się w kłębek w swoim kącie. Poszedłem w jego ślady i położyłem głowę na śmierdzącym materacu. Miałem przeczucie, że tej nocy będą mi się śniły wyłącznie latryny.

* * *

Dźwięk dzwonka brutalnie wyrwał mnie ze snu. Pierwsze promienie wschodzącego słońca usiłowały przebić się przez brudną szybę, leniwie rozpraszając mrok panujący w pomieszczeniu. Przez moment wydawało mi się, że jestem w leśnym schronieniu Dziaduszki. Pochrapywanie oberwańca przywróciło mi w końcu jasność postrzegania. Teraz moim schronieniem było pieprzone dziesiąte piętro. Przynajmniej na jakiś czas. Wstałem, przeciągnąłem się, aż trzasnęły kości, i zrobiłem małą rozgrzewkę. Stawy skokowe, kolana, łokcie, nadgarstki i barki musiały być w pełni sprawne. Zwolnień lekarskich raczej tutaj nie było. Kopnąłem wciąż śpiącego oberwańca i rozpocząłem

wędrówkę w dół. Ku mojemu przeznaczeniu.

Zesłańcy wynurzali się ze swoich mrocznych betonowych nor i niczym zjawy sunęli po schodach, nie wdając się w dyskusje, nie odzywając się do współtowarzyszy. Wyglądali na lunatyków, ja jednak domyślałem się, co działo się w ich umysłach. Oni każdego dnia cierpieli, budząc się wśród tych samych obskurnych ścian, bombardowani tymi samymi pełnymi beznadziei myślami. W pewnym sensie ich stan przypominał syndrom skazanego na śmierć bez jasno określonego terminu wykonania wyroku. Oni także każdego dnia czuli, że ich koniec może nastąpić w dowolnej chwili. Na drugim piętrze wpadłem na wychudzonego dziadka, siedzącego na schodach. Jego twarz przecinała szeroka blizna. Bąknąłem coś w rodzaju „Sorry, kurwa!" i spróbowałem go wyminąć. Staruszek przesunął się i spojrzał na mnie spode łba.

– Znam cię – powiedział bezzębnymi ustami.

– Cieszę się – odburknąłem. – Pochwalony i tak dalej.

– Rozpoznałem cię już wczoraj. Będę czekał na ciebie po fajrancie. Musimy pogadać.

– Czekaj sobie! – Wzruszyłem ramionami i kontynuowałem moją wędrówkę w dół, ku nowej przyszłości.

Stłoczona i zaspana tłuszcza wylewała się z wieżowca, pełznąc w kierunku narzędziowni. To ludzkie mrowisko wchłonęło mnie i pociągnęło za sobą. Chwyciłem rączki przydzielonej mi taczki i podążyłem za innymi robotnikami. Właśnie zaczął się kolejny dzień wygnańca. Przez następne czternaście godzin będę targał gruz i czekał na gwizdek zwiastujący przerwę. Kiedy wreszcie przyjdzie chwila wytchnienia, postaram się wykorzystać ją najlepiej, jak będę umiał. W praktyce oznaczało to, że po prostu posadzę swoje cztery litery i będę się rozkoszował odrobiną wody, jaką przyniesie mi kierownik linii. Później przyjdzie czas na przerwę obiadową i po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin napełnię żołądek. Chociaż słowo „napełnię" brzmi zbyt optymistyczne. Na małą chwilę oszukam głód, by doczekać pory kolacji, której część będę musiał przeznaczyć na śniadanie następnego dnia. Nazywało się to logistyką przetrwania.

– Nie śpij – przestraszył mnie głos Małego.

– Nie skradaj się – odpowiedziałem z uśmiechem.

– Wczoraj nieźle sobie radziłeś. Jesteś twardy.

– Zgadza się.

– Widzę, że skromnością nie grzeszysz. Ale to minie, zapewniam cię. Słuchaj – mężczyzna wyjął zawiniątko z tytoniem i bibułką – zapalisz?

– Dziękuję.

– Śmiało, jak każę, to trzeba brać i podziękować.

– Próbuję rzucić.

– To się chyba jeszcze nikomu nie udało. – Mały sprawnie skręcił papierosa i wetknął do ust. – Słuchaj… Gadałem wczoraj z innymi nadzorcami. Okazuje się, że jest pewien problem.

– Grubas dociągnął do wieczora?

– Co? Nie, to nie to. Wygląda na to, że ci z Białego Miasta chcą, żebyś został taczkowym na stałe. O przeniesieniu nie ma mowy. Przynajmniej na razie.

– Bez jaj. Poważnie?

– Obawiam się, że tak. Nadepnąłeś komuś na odcisk czy jak?

– Coś w tym stylu – odparłem z uśmiechem i dodałem: – Razem ze mną zesłali tutaj jednego chłopaka. Mieszka ze mną na dziesiątym. Może jemu mógłbyś pomóc?

– Zobaczę, co da się zrobić. Mówisz, że wczoraj go wrzucili?

– Dokładnie.

– W porządku. Teraz bierz się do roboty. Niedługo zrobi się całkiem jasno. I masz to – podał mi butelkę wody. – Tylko schowaj dobrze i nie wypij wszystkiego od razu.

– Rozumie się. Dzięki!

– Starzy towarzysze muszą się trzymać razem. Niewielu nas pozostało. Przepióreczkę podobno wypuścili, naprawia co nieco dla ludzi Maksymiliana to i traktują go łagodniej. Jest przydatny, ot co. A mamusia mówiła, żeby się nauczyć jakiegoś fachu. Ech!…

Kiedy słońce osiągnęło zenit, a gwizdki oznajmiły dłuższą przerwę obiadową, Mały zajrzał do mnie ponownie. Zapalił i spojrzał na mnie badawczo.

– Pytałem się o tego twojego ziomka.

– No i?

– Posłuchaj… Jeśli po fajrancie znów się zjawi na twoim piętrze, to spisz numer z jego blachy.

– Co to znaczy: jeśli się zjawi?

– Wczoraj wrzucili tylko ciebie. Nie doszedł żaden inny wygnaniec. Może coś ci się pomyliło?

– Raczej nie. Siedzieliśmy razem w kozie, jeszcze w Białym Mieście.

– W każdym razie podasz mi jutro jego numer. Sprawdzę to dokładnie. Nikt nie może się ot tak pojawić w naszym zakładzie. Takie rzeczy się nie zdarzają.

– Ale niewyjaśnione zniknięcia to już inna sprawa?

– Eeee, nasza robota jest raczej spokojna. Co innego na pierwszej linii. Gdybym ja na przykład chciał kogoś wykończyć, to odesłałbym go właśnie tam. Widocznie Maksymilian nie chce twojej śmierci – stwierdził Mały.

– Czego zatem chce?

– Twojego upokorzenia. A to gorsze od zdychania na pełnym słońcu.

Stwierdziłem, że nie warto ciągnąć tego tematu. Postanowiłem dowiedzieć się więcej

o kamieniołomach.

– Co takiego ciekawego jest na tej pierwszej linii? – zapytałem Małego.

– Nieustanne zagrożenie – odparł. – Zadaniem ludzi tam pracujących jest eksploracja terenu i obrona drugiej i trzeciej linii.

– Obrona? – zdziwiłem się. – Przecież Strzygi i Wąpierze atakują tylko w nocy. Zdziczałe psy nie są aż tak niebezpieczne i boją się huku i innych głośnych dźwięków.

– Nie chodzi o mutanty... – Mały pokręcił głową.

– Innych zagrożeń nie znam, a przynajmniej nie pamiętam.

– Widać minęło trochę czasu, odkąd ostatni raz zwiedzałeś to miasto. Pojawił się nowy drapieżnik, atakujący w dzień.

– W którym miejscu piramidy pokarmowej stoi to coś?

– Obok. Oni stoją obok.

– Oni? – zachęciłem Małego, bo jakoś się zamyślił.

– Ich są dwa rodzaje. Chodzą wystrojeni w takie stare ubrania ochronne OP-1 z maskami p-gaz typu słoń.

– Z długą rura i puszką na końcu? To starocie, wycofane jeszcze przed Rozbłyskiem. Co dalej?

– Na pierwszy rodzaj mówimy Hycle. Są uzbrojeni w taki jakby bosak czy harpun z pętlą na końcu. Łapią za ich pomocą ludzi, stąd nazwa.

– Niezłe przyjemniaczki – stwierdziłem.

– Ci drudzy noszą płaszcze z kapturem. Mówimy na nich Łapiduchy, bo dyrygują tymi pierwszymi. Zazwyczaj na kilku Hycli przypada jeden Łapiduch – dowódca, wyposażony w coś w rodzaju tasera. To takie gówno z wystrzeliwanymi elektrodami – wyjaśnił Mały.

– Wiem, co to jest taser. Robi się coraz ciekawiej. I do czego oni używają tych paralizatorów?

– Do łapania ludzi – odpowiedział Mały i wgniótł niedopałek szluga w piasek. – Tych bardziej opornych zabijają Hycle. Pozostałych zabierają. Nie wiemy dokąd.

– Ilu waszych… to znaczy naszych zabrali?

– Dotychczas trzech. Łapiduchy na ogół nie zbliżają się do pierwszej linii, ale z upodobaniem nachodzą Wolne Squaty. Ich mieszkańcy muszą cały czas siedzieć zabarykadowani. Nie muszę wspominać, że normalne funkcjonowanie w takich warunkach jest nieco utrudnione.

– Nie słyszałem, żeby ktoś normalnie funkcjonował od co najmniej dwudziestu lat – zauważyłem.

– Ech! – machnął ręką Mały. – Szkoda, że wróciłeś właśnie teraz, kiedy wszystko się spieprzyło.

– Zawsze takie było.

– Idę – twarda ręka klepnęła mnie w ramię. – Miłej pracy. I nie daj się tutaj zarżnąć.

– Postaram się – wyszczerzyłem zęby. – Jeszcze się taki nie urodził…

Mały włożył do ust gwizdek i dmuchnął. Przerwa się skończyła. Harowałem bez wytchnienia do samego wieczora i jako jeden z ostatnich zwlokłem się z linii. Zdałem taczkę, zgarnąłem kawałek chleba, który miał mi wystarczyć na kolację i śniadanie, po czym odetchnąłem głęboko i rozpocząłem wspinaczkę na dziesiąte piętro. Na drugiej kondygnacji czekał już na mnie poznany rano dziadek.

– No – potrząsnął głową z dezaprobatą – co tak późno?

– Na dzisiejszy wieczór nie mam żadnych planów, więc nigdzie się nie śpieszę.

– Dobrze już, dobrze – bąknął starzec i gestem nakazał usiąść obok, wprost na stopniach.

– Nie zaprosisz mnie na pokoje? – zadrwiłem.

– Aż tak się zmieniłem? – Dziadunio wlepił we mnie oczy. – Naprawdę mnie nie pamiętasz?

– Przypomnij mi…

– Furgonetka. Czarna furgonetka, którą kazałeś przemalować na …

– Wielu ludzi ją kojarzyło, zwłaszcza wtedy, podczas Wojenki.

– Ale niewielu miało okazje nią jeździć.

– Ci, którzy… Irokez i Siwy zginęli podczas ostatniego szturmu na Śródmieście…

– Irokez rzeczywiście wtedy zginął, trafiony w głowę szrapnelem. Mnie przygniotła twoja bryczka.

– Siwy? – z niedowierzaniem patrzyłem w zniszczoną twarz. – Nie wierzę.

– Niewierny Tomaszu – z kwaśną miną zauważył starzec. – Nawet teraz, po tylu latach, nadal jesteś cynicznym skurczybykiem.

– Takie już odebrałem wychowanie. A niech mnie. Jesteś kolejnym starym druhem, jakiego tutaj spotkałem. Pamiętasz niejakiego Małego? Jest nadzorcą linii.

– A, ten – kiwnął głową Siwy. – Porządny człowiek, niewielu już takich zostało. Pomógł mi, kiedy tutaj trafiłem, załatwił przeniesienie do lżejszej roboty. Wiesz, wszyscy tu trafiliśmy, wszyscy towarzysze broni. Taka była zapłata za służbę. Żyję jeszcze, ale nie pociągnę długo. Stare kości nie nadają się do gnicia w takich warunkach. Nie mam ciężkiej roboty, bo jeżdżę na miotle, ale ten pył mnie zabija. Ten cholerny pył.

– Mały wspominał mi o Łapiduchach. Wiesz o nich coś więcej?

– Nigdy żadnego nie widziałem – powiedział Siwy – ale chłopaki z pierwszej linii mi o nich opowiadali. Podobno nie da się ich zabić.

– Każdego da się zabić. Kwestia umiejętności i samozaparcia.

– No nie wiem, Kamyk. Krążą o nich przeróżne historie.

– Czy to ich tak się boi Maksymilian? Cały ten mur zaporowy ma zatrzymać pochód

tych łowców?

– Nigdy o tym nie myślałem – przyznał Siwy. – To by jednak oznaczało, że Wielki Skurwiel wie więcej niż pozostali.

– Może to nie on podjął decyzję o odcięciu miasta. Może budowa ruszyła dopiero, kiedy pojawił się ten pułkownik i jego Czarne Komando?

– Siedzę tutaj od jakichś pięciu lat – zastanowił się staruszek. – Tak, wydaje mi się, że oni pojawili się właśnie wtedy. Ale pierwszego Łapiducha zauważono o wiele później.

– Równie dobrze te dwie sprawy nie muszą być powiązane. Kto to wie? Słuchaj, Siwy, czekasz na mnie już jakiś czas, prawda?

– A jakże.

– Widziałeś może takiego nowego wygnańca z mojego piętra?

– Nikt nowy nie doszedł od jakiegoś miesiąca – odpowiedział pewnie Siwy. – Oczywiście oprócz ciebie, stary druhu.

– Jesteś pewien?

– Mowa. Jedyną moją rozrywką jest obserwowanie od lat tych samych gęb. Nową twarz szybko wyławia się z tłumu.

– W każdym razie, gdybyś zwrócił uwagę na coś lub kogoś…

– Ma się rozumieć, że dam ci znać. Kamyk?

– No?

– Planujesz coś, prawda? Mnie możesz powiedzieć.

– Niby co miałbym szykować? – zdziwiłem się.

– Wiesz… Jakąś nową wojenkę? Malutki przewrót? Cokolwiek – zachichotał dziadek. – Choćby małe mordobicie z Czarnymi.

– O tym nie pomyślałem – przyznałem, wstając.

– Co to, już idziesz?

– Muszę odpocząć. Ja nie jestem miotlarzem.

– Ale jutro też pogadamy? – w jego oczach dostrzegłem błaganie.

– Zgoda – odpowiedziałem, stawiając nogę na stopniu. – To mogę ci obiecać.

* * *

To była ciężka noc. Długo przewracałem się na śmierdzącym materacu, by w końcu zapaść w ciężki, męczący sen. Ona nadeszła nad ranem, kiedy mroki nocy miały lada moment ustąpić miejsca pierwszym nieśmiałym dotknięciom wstającego słońca. Moja Jasnowłosa. Tym razem stała tuż obok mnie z zaciśniętymi piąstkami.

– Nie pozwól, żeby on ci przeszkodził – szepnęła.

– Kto?

– Zabij go!

Gwałtownie otworzyłem oczy, przez moment nie wiedząc, gdzie się znajduję. Kiedy rozpoznałem łuszczącą się farbę, pokrywającą kuchnię na dziesiątym piętrze starego akademika, odetchnąłem z ulgą, jednocześnie przypominając sobie Jasnowłosą. Odezwała się do mnie po raz pierwszy, od kiedy o niej śnię. Jej głos wydawał się być tak rzeczywisty, że niemal słyszałem jego ciche echo, unoszące się na piętrze. Nieco zdezorientowany rozejrzałem się półprzytomnie i wtedy go dostrzegłem. Towarzysz mojej niedoli, który znikał i pojawiał się w tajemniczy sposób, i którego osoby nie kojarzył żaden z nadzorców, siedział w kącie kuchni w nienaturalnej pozie. Zawołałem go, ale nie odpowiedział. Nie mógł. Jego tors zdobiła szkarłatna plama krwi, a duży i ostry kawal szklanej drzazgi połyskiwał wbity w jego krtań.

– Kurwa jego mać! – zakląłem i zerwałem się na równe nogi.

Kiedy dopadłem schodów, zabrzęczał dzwonek. Przesadzałem schody po cztery stopnie na raz, ryzykując skręceniem lub złamaniem nogi. Ominąłem pierwszych wygnańców koczujących na parterze i wpadłem wprost na nadzorcę Łysego.

– Gdzie się spieszysz, kurwa twoja mać? – warknął i spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Jest pewien problem – odpowiedziałem, łapiąc oddech.

– Jaki?

– Chodzi o mojego… O tego gostka, co nocuje ze mną na dziesiątym.

– Co z nim?

– Wydaje mi się, że ktoś pomógł mu przenieść się na tamten świat.

– Jak to? – nadzorca znieruchomiał i jakby się przestraszył. – Mów jaśniej.

– No… Obudziłem się i on leżał pod ścianą, tam gdzie ostatnio spał, tyle że ktoś wbił mu odłamek szkła w krtań. Chłop najwyraźniej się wykrwawił…

– Taaak – kiwnął głową Łysy i zmierzył mnie spojrzeniem. – Ludzie wykrwawiając się, wydają jakieś dźwięki. Ty oczywiście niczego nie słyszałeś?

– Nie – bąknąłem. – Byłem zmęczony, spałem mocno. Kiedy tylko się przebudziłem i zobaczyłem ciało, od razu zbiegłem tutaj, żeby zameldować…

– Sprawdziłeś, czy on żyje?

– Nie, nie dotykałem go…

– A to naprawdę interesujące – nadzorca wyjął tonfę zza paska i zważył ją w dłoni. – Skoro go nie dotykałeś, to dlaczego cały jesteś wymazany juchą? Chyba, że zaciąłeś się przy goleniu?

Uniosłem ręce i dopiero teraz dostrzegłem, że pokryte są zakrzepniętą czerwienią krwi. Z głupią miną spojrzałem na Łysego i poczułem jak ziarenko strachu zaczyna kiełkować w moich trzewiach.

– Kurwa mać – szepnąłem.

– Oj tak – zgodził się nadzorca, podnosząc tonfę. – Oj tak.

* * *

Zaczerwieniona od słońca, pokryta pyłem twarz wydawała się pozbawiona jakiejkolwiek mimiki. Łzawiące i opuchnięte oczy wlepiały się we mnie beznamiętnie, czekając na odpowiedź.

– No więc? – odezwał się w końcu mój kompan.

Mówił cicho, na granicy słyszalności, jakby obawiał się, że jego głos dotrze do niepowołanych uszu skrytych gdzieś wśród rumowisk.

– Tamta piwnica – zdecydowałem, wskazując na wpół zawaloną konstrukcję, będącą kiedyś fundamentem jakiegoś budynku.

– Dlaczego akurat to miejsce?

– Bo wygląda na opuszczone – wyjaśniłem. – Do środka można się jedynie wczołgać. A one kopią swoje nory w takich, trudnodostępnych dziurach.

– Jak ją wywabisz?

– Kawałkiem mięsa. Głodna Strzyga wylezie nawet w dzień. A w okolicy ostatnio nie ma za wiele żarcia.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Życie mnie nauczyło.

– Życie… – westchnął jakoś tęsknie mój kompan.

– Dobra, bierzmy się do roboty.

– Do jakiej…? – zdziwił się Wiśnia. – Chyba nie chcesz polować na… Rozmawialiśmy tylko hipo… Jak to się mówi?

– Hipotetycznie – wyjaśniłem. – Przecież ochrona linii to nasze zadanie. A jedno krwiożercze ścierwo mniej to być może jedno uratowane życie ludzkie więcej. No chodź. Strzygi w pełnym słońcu nie są zbyt agresywne.

– Niezbyt agresywne, powiadasz? – stęknął Wiśnia i niechętnie wstał, wyciągając zza paska mały oskard, przypominający bardziej toporek. – Nie lepiej założyć tam wnyk? Jak strzyga będzie wyłazić nocą, to sama wlezie…

Oprócz oskardów na wyposażeniu mieliśmy małe ładunki wybuchowe przerobione ze starych min przeciwpiechotnych. Mówiliśmy na nie „wnyki”, bo każdy stwór, który w nie wdepnął, nie wymagał nawet dobijania. Sam zdychał w słońcu, cierpiąc straszne katusze.

– Słuchaj, Wiśnia – klepnąłem towarzysza w ramię. – Ściemniamy tak już tydzień. Jak

sądzisz, kiedy się zorientują, że tylko udajemy? Że nic nie robimy?

– Nie zorientują się. Niby jak? Zanim trzecia linia dotrze w to miejsce… Jeden z chłopaków bujał nadzorców prawie pół roku.

– I co się z nim stało?

– Pewnego popołudnia kimnął w jakiejś jamie, a że był zmęczony tym ciągłym łażeniem w słońcu, to sen mu się przedłużył. Nie zdążył wrócić na zbiórkę i został tu na noc. Znaleźli go rano, a raczej to, co z niego zostało.

– Nie mógł iść do jakiegoś squatu? Może by go przyjęli na jedną noc – zastanowiłem się.

– Najbliższe zamieszkane osiedle jest z kilometr stąd. A sam wiesz najlepiej, jak się podróżuje w takim terenie, zwłaszcza po zmroku.

– Miał chłop pecha. Chociaż z drugiej strony, sam nie wiem, czy lepiej zostać zeżartym czy rozerwanym przez zapomnianą minę.

– I w pierwszym i w drugim przypadku, ostatecznie i tak cię coś wpierdoli. Naszym przeznaczeniem są żołądki wszelakiego kurestwa, które się tutaj pałęta – zaśmiał się Wiśnia, ale prawie natychmiast umilkł. – Pamiętasz starą ulicę Hetmańską? I to więzienie na rogu, zaraz za tunelem?

– Aha.

– Podobno klawisze przetrwali tam bardzo długo, jedząc… no wiesz.

– Mieli niezłą spiżarnię – zgodziłem się. – Pewnie było tam z trzystu osadzonych.

– Wiesz, że zakład karny funkcjonuje do dziś?

– Bez jaj! – Wydało mi się to zbyt absurdalne, nawet jak na te dziwaczne czasy.

– Powaga. Jeden nadzorca opowiadał, że podsłuchał rozmowę Czarnych. Więzienie jest silnie chronione, jak to ciupa, i Maksymilian ma chrapkę, żeby je zdobyć.

– Przecież tam nie ma nic oprócz paru wynędzniałych skazańców i duchów – wyraziłem swoje wątpliwości.

– Może chcą tam zamknąć nas wszystkich, jak już skończymy robotę.

– Nie sądzę. Roboty jest zbyt dużo, byśmy mieli ją kiedykolwiek skończyć. I nas też jest zbyt dużo. Raczej nas wykończą.

– Myślałem, że chcesz stąd prysnąć – powiedział Wiśnia, spoglądając na mnie uważniej.

– Chcę, ale jeszcze nie teraz. Idziesz? Czas się trochę… hm, rozerwać – wyszczerzyłem zęby.

Ostrożnie podkradliśmy się do niewielkiego tuneliku i przykucnęliśmy tuż obok niego. Mój towarzysz tuż przed wylotem kryjówki delikatnie ułożył niewielką paczuszkę owiniętą taśmą izolacyjną i skręcił dwa kabelki, zamykając w ten sposób obwód. Wystarczył niewielki nacisk, by…

Wyciągnąłem rękę i Wiśnia, wzruszając ramionami, uścisnął moją dłoń. Zacisnąłem mocniej palce i ciachnąłem ostrzem oskarda po jego nadgarstku. Pociekła krew, szybko wsiąkając w podłoże. Wiśnia wyszarpnął rękę i spojrzał na mnie wściekle.

– Co, do kurwy? – wyszeptały bezgłośnie jego usta.

Nie odpowiedziałem, bo z tuneliku dobiegł nas przeciągły, gardłowy charkot.

– Spierdalamy! – krzyknąłem i rzuciłem się do ucieczki.

Zdążyliśmy przypaść do załomu ściany, gdy za naszymi plecami rozległo się głuche „paffff", a powietrze przesycił zapach juchy.

– Zapomniałem, że nie mamy kawałka mięsa na przynętę – sapnąłem. – A Strzygi podobno szybko wyczuwają świeżą krew. Chciałem zobaczyć, jak szybko. Nie gniewaj się za ten mały eksperyment.

Wiśnia ssał ranę i rzucał mi wściekłe spojrzenia. W końcu splunął i wycedził:

– Skurwiel.

– Spójrz! – trąciłem go ramieniem.

Zza betonowego załomu gapiły się na nas oczy zdziczałego psa. Stworzenie wyszczerzyło kły i zawarczało wściekle. Z jego pyska zwisały nitki gęstej śliny, a wyleniałe futro odsłaniało łaty łuszczącej się skóry.

– Pewnie przyciągnął go wybuch – Wiśnia ponownie splunął, tym razem w kierunku psa.– Ty, i ten twój ekspe… Jak to było?

– Eksperyment.

– Właśnie. Co teraz zrobimy?

– Weź no cegłówkę i rzuć w tamtą stronę.

Odłamek upadł dobry metr przed pyskiem psa, który tylko skulił uszy po sobie i dalej tkwił na posterunku.

– Dobra, spadamy – zakomenderowałem. – Za chwilę może się tutaj pojawić cała wataha jego ziomali.

Opuściliśmy cienistą kryjówkę, jaką urządziliśmy sobie w zrujnowanej restauracji, i przemknęliśmy do najbliższego wieżowca, a właściwie tego, co z niego zostało. Wrzucono nas na starą dzielnicę Dziesięciny. Wiśnia mówił, że kiedyś, długo przed Rozbłyskiem, cieszyła się złą sławą dresiarsko-blokerskiej wylęgarni, ale obaj nie do końca rozumieliśmy, co to znaczy. W każdym razie, młodzi dresiarze wynieśli się jakoś wcześniej i w momencie Rozbłysku mieszkali tu już tylko starzy ludzie, którzy stali się łatwym łupem dla Strzyg i Wąpierzy. Teraz w tym miejscu straszyły jedynie nieliczne egzemplarze tych uroczych gatunków. Samce Strzyg były głupie i powolne, ale samice… Te potrafiły przewidywać następny ruch przeciwnika, oczywiście, jeśli oponenta nie dało się capnąć po cichu, z zaskoczenia. Jednym z zadań więźniów oddelegowanych na pierwsza linię było zastawianie pułapek na te kreatury. Aby rozpiąć linkę

z przymocowanym na jej końcu zapalnikiem i ładunkiem wybuchowym, należało Strzygę najpierw wytropić, a to robiłem z przyjemnością dzięki doświadczeniu wyniesionemu jeszcze z czasów świetności Wolnych Squatów. O Białym Mieście jeszcze nikt wtedy nie słyszał, o Maksymilianie tym bardziej. Swoją drogą, ślepy los potrafi czasem płatać figle, bo kiedyś miałem Wielkiego Skurwiela na muszce, biorąc go za jednego z szabrowników. Gdybym wtedy pociągnął za spust…

Moje rozważania przerwał wrzask dobiegający zza rumowiska przed nami. Spojrzałem na zdezorientowanego Wiśnię i wyciągnąłem zza paska oskard. Wrzask powtórzył się, Wiśnia błyskawicznie wpełzł w jakąś dziurę, więc poszedłem w jego ślady. Wcisnąłem się między dwie betonowe płyty leżące na sobie tak, że tworzyły coś w rodzaju żelbetowego namiotu. Wtedy usłyszałem kroki. Rozlegały się całkiem blisko, tuż za moimi plecami osłoniętymi przez grubą warstwę betonu. Ktoś przemknął obok mojej kryjówki i zatrzymał się, jakby nie wiedząc, co począć. W końcu chyba wpadł na ten sam pomysł, co ja i w wąskiej szparze ujrzałem wychudzoną twarz należącą zapewne do jednego ze squatersów. Dostrzegł mnie i w jego oczach zabłysł strach. Pokręciłem głową i położyłem palec na ustach. Mężczyzna odetchnął i zaczął się przeciskać pomiędzy płytami. Wyciągnął do mnie rękę i zamarł.

– No, dalej – szepnąłem, ale on spojrzał na mnie pustym wzrokiem i zakaszlał.

Po zarośniętej brodzie pociekła mu strużka krwi. Nagle ktoś gwałtownie i brutalnie wyciągnął go spomiędzy płyt. Skazaniec nie był w stanie ustać na nogach i natychmiast upadł na twarz. Wtedy dostrzegłem trzonek czegoś w rodzaju bosaka tkwiącego w jego plecach. Śmiercionośne narzędzie należało do dziwnej postaci, wystrojonej w szary kombinezon ochrony chemicznej i przestarzałą maskę p-gaz typu słoń. Napastnik wyciągnął bosak i zastygł w miejscu, jakby węsząc czy wypatrując kogoś. Nie wiem, co można zobaczyć przez brudne szkiełka „słonia”, ale ten przebieraniec odwrócił głowę i spojrzał wprost na mnie. Skrywał mnie głęboki cień i zdawałem sobie sprawę, że strach i wyobraźnia płatają mi figle. Nie istniała fizyczna możliwość, by mógł mnie dostrzec, stojąc w pełnym słońcu. A jednak. Zadziwiła mnie szybkość tej istoty, która błyskawicznie dopadła do betonowych ścianek mojego „namiotu” i wetknęła do środka swoją broń. Koniec drewnianego kija zwieńczony był dwoma szpikulcami, z których jeden zaginał się pod kątem prostym, a do drugiego przymocowana była cienka linka tworząca pętlę. Powoli zacząłem domyślać się, że oto stoi przede mną Hycel. Łowca ludzi. Szpikulec znalazł się niebezpiecznie blisko mojej twarzy, dlatego niewiele myśląc, chwyciłem go obiema rękami, raniąc przy tym boleśnie wnętrze dłoni i pchnąłem z całej siły. Drzewce ugodziło Hycla w szyję, obalając go na ziemię. Wyskoczyłem za nim i chwyciłem betonowy odłamek, grzmotnąłem nim dziada w łeb, rozkoszując się głuchym odgłosem pękającej czaszki.

– Kurwa – krzyknął Wiśnia, wypełzając ze swojej kryjówki. – To Hycle. A gdzie są Hycle, jest i Łapiduch. Spierdala… – głos uwiązł mu z gardle, w które wbił się bosak, rzucony ręką drugiego Hycla.

Nadbiegł w momencie, gdy kończyłem moją przygodę z pierwszym przebranym ciulem. Biorąc na cel Wiśnię, pozbawił się broni. Zrozumiał swój błąd, gdy betonowy odłamek trafił w jego pusty łeb, łamiąc mu nos i wybijając kilka zębów. O ile pod tą maską miał jakieś zęby. Nie śpiesząc się, wróciłem do mojego „namiotu" i odszukałem porzucony tam oskard. Znacząco przejechałem palcem po metalowym żeleźcu i spojrzałem na zakrwawionego amatora gumowanych strojów. Hycel nawet nie drgnął, nie próbował błagać o życie czy wpełznąć w jakąś dziurę. Zresztą i tak by nie zdążył. Wyszarpnąłem oskard z jego czaszki, starłem juchę z ostrza i ścisnąłem w dłoni stylisko. Wiśnia umierał, krztusząc się własną krwią. Przyklęknąłem przy jego drgającym ciele akurat w momencie, kiedy drobne kawałki pokruszonych cegieł obsypały się pod ciężarem kolejnego napastnika. Ten był inny, oprócz znanej już maski p-gaz nosił długi gumowany płaszcz z kapturem. Musiał obserwować walkę od dawna, bo ruszył prosto na mnie, wyciągając dłoń z czymś przypominającym pistolet. Rozpoznałem taser i rzuciłem się za ciało Wiśni. Elektrody wystrzeliły z tasera i wczepiły się w mojego umierającego kompana.

– Tarcza, szmato – krzyknąłem i rzuciłem oskardem.

Ponowne użycie paralizatora było kłopotliwe, ale przyjemniaczek w kapturze mógł mieć na podorędziu kolejną zabawkę, dlatego musiałem wykorzystać nadarzającą się okazję. Z przyjemnością i dumą obserwowałem, jak żeleźce wbija się w maskę przeciwgazową, osadzając szarżującego napastnika w miejscu. Czułem, że zabawa dopiero się rozpoczyna. Do swojej listy wysłanych do krainy wiecznych łowów mogłem dopisać dwóch Hycli i Łapiducha, który właśnie opadł na kolana i próbował wyrwać oskard z czaszki. Podniosłem kawałek gruzu i walnąłem w stylisko, wbijając oskard jeszcze głębiej w głowę Łapiducha.

Ciężko dysząc, wdrapałem się na fundament i spojrzałem na morze ruin. Za mną pozostała druga linia, przede mną rozpościerały się slumsy starego świata. Ruszyłem przed siebie.

Rozdział 8

Nocny gość i niewidoma

Obudziłem się koło godziny trzeciej nad ranem. Nie miałem zegarka, nie mogłem więc zerknąć na fosforyzującą tarczę, by przekonać się, czy czas nadal płynie. Jakiś wewnętrzny instynkt podpowiadał mi jednak, że właśnie jest godzina trzecia. Potwierdzał to chłód wpływający do zniszczonej sutereny, w której urządziłem sobie kryjówkę. Połowa pomieszczenia była zasypana, musiałem więc przeprowadzić niezbędne prace porządkowe. Odrzuciłem całą masę cegieł i pokruszonych fragmentów tynku, przegoniłem tabuny robactwa i wpełzłem do powstałej w ten sposób nory. Wejście zablokowałem sporą betonową płytą, pozostawiając sobie szczelinę obserwacyjną, pełniącą zarazem funkcję otworu wentylacyjnego. O godzinie trzeciej nad ranem zacząłem przeklinać swoją pomysłowość. Zimno sączyło się z każdej strony, wpełzało przez spękaną posadzkę i zwały cegieł, by następnie chwycić lodowatymi palcami kruche ludzkie ciało. Zamiast owinąć się watą szklaną, której spore fragmenty przewalały się tu i ówdzie, wyłożyć moją norę od środka znalezionymi wcześniej kawałkami styropianu, ja zgrywałem twardziela. Cóż, byłem wojownikiem, nie osadnikiem. W końcu potrafiłem jednym kawałkiem gruzu znokautować człowieka.

Owinąłem się szczelniej gumowanym płaszczem ściągniętym z Łapiducha i spróbowałem ponownie zasnąć, choćby na chwilę. Tej nocy znów śniłem o Niej. Majak był rwany i niejasny, znany mi już strzelisty las spowijała gęsta mgła, a jednak Ona tam była. Wyczułem też inną obecność, bardziej złowrogą. Ktoś lub coś czaiło się za mlecznobiałą zasłoną, oblepiającą drzewa, wnikającą w ubranie i próbującą wcisnąć się do umysłu. Zacisnąłem powieki i potrząsnąłem głową, próbując pozbyć się tego nieprzyjemnego uczucia. Nagle bardziej poczułem niż usłyszałem szum. Nie szelest liści czy trawy łaskotanej powiewem wiatru, lecz niemal mechaniczny, narastający z każdą

chwilą dźwięk, który przerodził się w trzask. Trzask łuku elektrycznego. Wtedy ich dojrzałem. Otaczali Jasnowłosą, unosząc tasery i potrząsając nimi. W okularach ich masek p-gaz odbijały się promienie słońca. Łapiduchy. Odruchowo sięgnąłem do paska po oskard, ale nie znalazłem go na swoim miejscu. Bezradnie rozejrzałem się dokoła w poszukiwaniu jakiejkolwiek broni, choć wiedziałem, że to bezsensowny gest. Złowrogie postacie poruszyły się, a ja poczułem pacnięcie w pierś. Elektrody tasera wbiły się w moje ciało, ładunek elektryczny błyskawicznie rzucił mnie na kolana. Zanim paraliż objął cały układ nerwowy, zdołałem jeszcze unieść głowę i dostrzec zbliżających się Łapiduchów. Dopiero teraz zrozumiałem, że celem ich ataku byłem ja, a nie Jasnowłosa. Czyżby te przerażające stwory miały za zadanie ją chronić? Setki chaotycznych myśli przemykały przez mój umysł, a ciałem wstrząsały drgawki. Mimo wszystko nadal czułem jej obecność nawet w chwili, gdy chłód wyrwał mnie z głębin koszmaru. Nie, nigdy nie traktowałem go jak koszmaru. Ten sen był dla mnie jak terapia. W końcu, choć na chwilę, znów mogłem być przy Niej.

Ciche westchnięcie, dobiegające tuż zza płyty dzielącej mnie od niebezpieczeństw tego świata, sprawiło, że momentalnie zrobiło mi się gorąco. Wsłuchałem się w nieznośną ciszę, ale dźwięk nie powtórzył się. Coś tam jednak było. Może zwierzę, może Strzyga lub kolejny Hycel. A może coś zupełnie innego. Pozostało mi jedynie czekać do świtu i liczyć, że sublokator po prostu zniknie. Minuty ciągnęły się niemiłosiernie, zimno przestało się liczyć, a moje ciało drętwiało, bo przynajmniej godzinę spędziłem w jednej pozycji, nie pozwalając sobie choćby na głębszy oddech. Z utęsknieniem czekałem na wschód słońca, który wciąż nie nadchodził. Powoli ogarniało mnie znużenie całą sytuacją, które przekształciło się ostatecznie we wściekłość. Byłem już gotów chwycić betonową płytę, oddzielającą mnie od tego czegoś, wyskoczyć z nory i zatłuc niechcianego sublokatora. Na szczęście dla mnie nocny gość ponownie westchnął, jego ubranie zaszeleściło, po piwniczce rozniosło się ciche echo drobnych kroków i już byłem sam.

Wypchnąłem płytę i wyturlałem się z mojego legowiska. Próbowałem wstać, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Cierpliwie zaczekałem, aż wróci mi krążenie, wyszarpnąłem zza paska oskard i ostrożnie wyjrzałem na ulicę. Szarzejąca ciemność zafalowała jakieś sto metrów dalej, tuż obok wraku auta porzuconego na środku ulicy i w tej samej chwili dotarło do mnie, że właśnie stałem się uczestnikiem polowania. Tyle że brałem w nim udział w charakterze ofiary. Swoją drogą ciekawe, czy łowca usłyszał, jak gramolę się z nory, czy też wiedział o moim istnieniu od samego początku. Może tylko bawił się ze mną, czekając tuż obok, aż zżerany ciekawością opuszczę swoją kryjówkę. Nie doczekawszy się, przybrał inną taktykę – pozorowanej ucieczki. Taka zabawa ma wady i zalety. Sprawny łowca jest w stanie tak pokierować krokami ofiary,

że ta wyobraża sobie, iż to ona poluje. Zwabiona w zasadzkę dostaje w łeb, zanim zrozumie swój błąd. Gdybym podjął grę w nieznanym sobie terenie i w ciemności na dodatek, zasługiwałbym jedynie na pogardliwe splunięcie w twarz na chwilę przed poderżnięciem mi gardła. A ja nie lubię, gdy ktoś na mnie pluje.

Wróciłem do sutereny, wdrapałem się na stertę cegieł i wyszarpnąłem dwie deski, którymi zabito na głucho małe okienko. Zauważyłem je już za dnia i postanowiłem, że będzie pełniło rolę wyjścia awaryjnego. Wychodziło na tyły wznoszącego się tu kiedyś budynku i umożliwiało niepostrzeżone opuszczenie kryjówki.

Wyskoczyłem na wolny od gruzu placyk, będący pewnie kiedyś wewnętrznym dziedzińcem i przebiegłem na jego drugą stronę, przypadając do fundamentu kolejnego, dawno nieistniejącego budynku. Odczekałem chwilę i spokojnie obszedłem rumowisko, kryjąc się za stertami gruzów i nagimi szkieletami ścian. Dotarłem w końcu do ulicy i rozejrzałem się, zachowując daleko idącą ostrożność. Jeśli dobrze zapamiętałem topografię okolicy, to powinienem skierować się w lewą stronę, by w ten sposób dotrzeć do miejsca, w którym ostatni raz widziałem nocnego gościa. Ściskając w dłoni oskard, przebiegłem kilkanaście metrów dzielących mnie od rogu budynku i skrzyżowania, na którym stał samotny wrak. Dotarłem na miejsce i wtuliłem się w krzywiznę fasady, starając się niemal wrosnąć w mur. Po kilku minutach nieznośnej ciszy, przerywanej jedynie odległym piskiem szczurów, błyskawicznie wyjrzałem zza rogu budynku i równie szybko uchyliłem głowę przed opadającym ostrzem. Może zaalarmował mnie ruch masy powietrza, może szelest ubrania. W każdym razie zdążyłem uskoczyć w ostatniej chwili, jednocześnie niezdarnie rzucając trzymanym przeze mnie oskardem. Obuch narzędzia trafił mojego przeciwnika w skroń, jego broń brzęknęła tuż za mną, uderzając o płyty chodnikowe, a bezwładne ciało osunęło się jak marionetka pozbawiona sznurków. Z dumą pomyślałem o moim oskardzie. Niepozorna zabawka, a w sprawnych rękach potrafi wyrządzić tyle szkód…

Zabrałem leżącą u moich stóp maczetę wykonaną z kawałka resoru. Nie mogłem ryzykować, że jej właściciel nagle się ocknie. Gdybym nie uskoczył i dostał tym jataganem w głowę, przez dłuższy czas mógłbym nie być w stanie pozbierać myśli. Ostrze spoczęło w jednej z wewnętrznych kieszeni płaszcza, podniosłem też mój oskard i usiadłem obok wraku. Na głowę naciągnąłem kaptur i spokojnie czekałem, aż szarzejące niebo zapłonie ogniem. Kiedy słońce wyjrzało zza widnokręgu, mój nocny gość poruszył się i jęknął. Powoli podniósł rękę i położył ją na skroni, w którą uderzył obuch oskarda. Po chwili jakby przypomniał sobie, gdzie się znajduje, bo przekręcił głowę i spojrzał na mnie pełnymi nienawiści oczami, doskonale widocznymi na brudnej twarzy. Właściwie był jeszcze dzieckiem. Jego krótkie, ostrzyżone na jeża włosy sterczały we wszystkich kierunkach, za duże ubranie wyglądało jak typowy strój łazika

czy szabrownika: niedopasowany, złożony z przypadkowych elementów, ukradzionych lub ściągniętych z trupów. Coś jeszcze uderzyło mnie w wyglądzie tego obszarpańca. Wprawdzie zgrzebne łachmany skutecznie maskowały kształty ciała, ale i tak sposób poruszania się, gra bioder i nóg chłopaka sprawiły, że prawie opadła mi szczęka. Bo w końcu dotarło do mnie, że ten chłopak wcale nie był chłopakiem, tylko dziewczyną, która właśnie uklękła, opuściła głowę i zastygła. Wbiła wzrok w spękany asfalt, zacisnęła pięści i czekała. Nie bardzo wiedziałem na co, więc również czekałem na rozwinięcie akcji. Znudziło mi się mniej więcej po minucie.

– Wygodnie ci? – zapytałem.

Dziewczyna jakby zapadła się w sobie, jej ramiona zadrżały i zrozumiałem, że ona się po prostu boi.

– Zrób to szybko – szepnęła.

– Kurwa – warknąłem. – Wstań i nie rób kabaretu. Nie dość, że mnie obudziłaś i musiałem się z tobą bawić w chowanego o świcie, to prawie odcięłaś mi głowę. A teraz jeszcze to pajacowanie.

– Jak to? – podniosła głowę i spojrzała mi prosto w oczy. – Nie… Nie zabijesz mnie?

– Gdybym miał taki zamiar, to czekałbym, aż się ockniesz? Daj spokój! – powiedziałem i machnąłem ręką.

Przyjrzała mi się i prawie się uśmiechnęła.

– Niezły płaszczyk – rzuciła.

– Prawda? – potwierdziłem z dumą. – Zdarłem z trupa.

– To znaczy… Z Łapiducha?

– Tak. Zabiłem go. I jeszcze dwóch Hycli.

– A mówią, że ich nie da się zabić.

– Da się – uśmiechnąłem się. – Jest to bardzo proste, wystarczy…

– Nie chcę wiedzieć – zasłoniła dłońmi uszy.

Chwyciłem ją za ramiona i zmusiłem do wstania z klęczek. Zrobiła to niechętnie, pewnie nadal mi nie wierzyła. Trudno się jej dziwić.

– Dlaczego chciałaś mnie zabić?

– Ja… Tylko chciałam się bronić. Na początku myślałam, że jesteś Strzygą.

– Strzyga rzuciłaby się na ciebie tam, w piwnicy. Nie zachodziłaby od tyłu i nie bawiła się w ciuciubabkę.

– Fakt – zrobiła głupią minę, chociaż wcale nie wyglądała na niezbyt bystrą.

– Ile masz lat.

– Chyba… z osiemnaście?

– To było pytanie?

– Osiemnaście.

– Jak na ciebie mówią? – zapytałem łagodniej niż sam się spodziewałem.

– Kusa.

– Ja jestem Kamyk.

– I mówisz, że ilu ich zabiłeś?

– Trzech. Trzem upuściłem krwi. Jest nadzieja, co? – zawołałem niemal radośnie i dodałem: – Chodźmy stąd. Jest już całkiem jasno, a my przyciągamy wzrok jak tarcze na strzelnicy.

– Co to jest strzelnica?

– Kiedyś ci powiem. Chodź już. – Przy tym dziecku robiłem się dziwnie sentymentalny.

– Mój nóż. Zabrałeś go?

– Ta maczeta chwilowo zostanie pod moją opieką. Nie mogę ryzykować… Sama rozumiesz.

– No dobrze – odburknęła niezadowolona dziewczyna, zastanowiła się chwilę i zapytała: – Właściwie skąd się tutaj wziąłeś?

– Takie samo pytanie mógłbym zadać tobie.

– Niedaleko jest squat… – Kusa zagryzła wargi.

– Za dużo gadasz. Gdybyś wpadła w ręce bandytów, bez problemu wyciągnęliby z ciebie informacje, zgwałcili i zabili. Później zabiliby wszystkich w squacie.

– Tu nie ma bandytów – prawie się roześmiała. – Łapiduchy, wiesz... Poza tym, ty na bandytę nie wyglądasz.

– Jeszcze nie – uśmiechnąłem się – ale kto wie, co się może zdarzyć.

– Nie zaprowadzę cię do naszych. Nie mogę.

– Jesteś pewna?

– Takie mamy zasady. Być może jesteś dobrym człowiekiem, ale nie zdradzę ci położenia squatu. Możesz mnie nawet zgwałcić. I tak nic nie powiem.

– Dzięki, dla mnie jesteś za młoda – wyszczerzyłem zęby – ale mam inną propozycję. Pójdziesz teraz do swoich i opowiesz im o mnie. O naszym spotkaniu i tak dalej. Ja zaczekam w piwnicy, wiesz w której. Będę czekał do zmroku. Później zniknę.

– Będziesz mnie śledził?

– Nie. Myślę też, że bez trudu potrafiłabyś mnie zgubić. Od wielu lat nie byłem w tej części miasta. Nie pamiętam rozkładu ulic, blokowisk. Wszystko jest tutaj jakieś inne. I co?

– Nie zabiłeś mnie, a to oznacza, że mogę ci ufać. – Kusa zaczęła analizować sytuację i dodała: – Przynajmniej częściowo. Musisz mi jednak oddać mój nóż. Nie ruszę się stąd bez broni.

– W porządku – wyciągnąłem resor i zważyłem go w dłoni. – Nieźle wyważony. Przyjemny w operowaniu. Kawał dobrej roboty.

– To pamiątka – powiedziała cicho i wyciągnęła rękę. – Oddaj, proszę.

Wręczyłem jej maczetę i naciągnąłem kaptur na głowę.

– Pamiętaj. Będę czekał do zmroku. Nie dłużej.

* * *

Zjawili się wczesnym popołudniem i wyglądali dokładnie tak, jak się spodziewałem. Dwóch wynędzniałych, głodnych i zdesperowanych mężczyzn o sczerniałych twarzach i trzeci, grający rolę dowódcy. Podeszli wolno do wraku autobusu, na schodkach którego siedziałem. Byli czujni i nieco przestraszeni.

– Załapaliście się na pieczonego szczura – powiedziałem na powitanie.

Dwaj chudzielcy otworzyli gęby i zerknęli na przywódcę. Ten nawet nie drgnął, usiadł przy małym, dogasającym ognisku i wbił we mnie wzrok.

– Jestem Kolba. Czego od nas chcesz? – zapytał w końcu.

– Ja? – zdziwiłem się. – To wy czegoś ode mnie chcecie. W końcu nikt was nie zmuszał do przyjścia tutaj. Zrobiliście to z własnej, nieprzymuszonej woli. Macie więc do mnie jakiś interes.

– My?

– Tak, wy.

– Oświeć nas w takim razie, czekamy – złożył ręce na piersi.

– Może twoi ludzie jednak by coś przekąsili? Nie wyglądają najlepiej.

– Kusa powiedziała nam…

– Wiem, co wam powiedziała – przerwałem mu i wgryzłem się w kawałek pieczonego, szczurzego mięsa. – Wiem też, czego wam nie powiedziała. Otóż aktualnie można mnie wynająć.

– Przyznam, że nie rozumiem – mężczyzna zmarszczył brwi. – Do czego niby mielibyśmy cię wynająć?

– Do rozwiązania sprawy Łapiduchów.

Pierwszy zaczął się śmiać Kolba. Po chwili, jak na komendę, dołączyli do niego dwaj chudzielcy. Spokojnie dokończyłem obiad i zaczekałem, aż moi goście przestaną rechotać, po czym wyciągnąłem zza pleców głowę zabitego przeze mnie Łapiducha i wrzuciłem w ogień. Muszę przyznać, że Kolba trzymał się nieźle i zaczął rzygać jako ostatni.

– Co… Co to jest? – wykrztusił w końcu, wycierając usta wierzchem dłoni.

– Łeb. Oderżnąłem go specjalnie dla was. Doceńcie to, bo sporo ryzykowałem, wracając na Pierwszą Linię.

– Ale w jakim celu to zrobiłeś?

– Żeby udowodnić, że nie żartuję. Mam tu jeszcze jego maskę p-gaz i kompletny strój, jeśli was to interesuje…

– Nie interesuje – szybko odpowiedział Kolba. – Dobra, wierzymy ci, tylko zabierz to ścierwo.

– Właściwie nie powinienem tego robić – spojrzałem z zainteresowaniem na własne paznokcie. – Jeśli tego nie spalę, zacznie gnić. Trupi odór przyciągnie wszelkie znane ścierwojady. Te nieznane też. A ja być może będę zmuszony spędzić tutaj jeszcze jedna noc. Jak widzicie, kremacja tego typu trofeum jest niezbędna. Z drugiej strony smród tlącego się ciała wieczorem przyciągnie Strzygi...

– Po prostu pozbądź się tego! – wybuchnął Kolba.

– W porządku – zerwałem się i wykopałem czerep z ogniska. – Zapraszam na pokoje. W chłodzie lepiej się rozmawia.

Cała trójka zgodziła się chętnie i z nadzwyczajną szybkością przeniosła do mojej sutereny. Ukrywanie tej miejscówki nie miało sensu, skoro Kusa o niej wiedziała. Zresztą… Liczyłem, że tej nocy będę spał snem sprawiedliwego w czymś mniej lub bardziej przypominającym łóżko.

– Zacznijmy więc od początku. Zauważyłem, że macie problem – zacząłem swój wywód, rozkładając się wygodnie na kawałku styropianu. – Ten problem nazywa się „Łapiduchy”.

* * *

Kolba prowadził mnie przez wąskie przesmyki i sypiące się odcinki płytkich tuneli, kluczył, zmieniał kierunki, zataczał koła i w końcu załomotał w drzwi jedenastopiętrowego galeriowca zbudowanego na początku lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Taki wieżowiec znajdował się tylko w jednym miejscu: u zbiegu dawnych ulic Bohaterów Monte Cassino i kardynała Wyszyńskiego, dokładnie naprzeciw pozbawionego szyb dworca PKS. Wpuszczono nas prawie natychmiast, bez zbędnych pytań, bez rewizji. Z trudem przepychałem się przez zapchlone korytarze, pełne suszących się szmat i niedożywionych ludzi. Były tam kobiety, dzieci i starcy, z przewagą tych ostatnich. Kolba zgrabnie wymijał grupki brudnych wyrostków i nieruchome postacie leżące wprost na korytarzach, przypominające bardziej mumie niż ludzi. Zatrzymał się przed szybem windy, pozbawionym kabiny. Jej rolę pełniła paleta przemysłowa, którą za pomocą liny, systemu kołowrotów i siły ludzkich mięśni, jak przypuszczałem, wciągano do góry.

– Śmiało – gestem zachęcił mnie przewodnik.

– Ty pierwszy, przyjacielu – uśmiechnąłem się grzecznie.

Kolba wzruszył ramionami i stanął na palecie. Uspokojony poszedłem w jego ślady, chociaż cała konstrukcja nie budziła mojego zaufania. Zatrzeszczały kołowroty i prowizoryczna winda ruszyła w górę, co chwila uderzając w ściany szybu. Zatrzymaliśmy się na ostatnim piętrze, gdzie już czekał na nas starzec siedzący na wózku inwalidzkim. Kolba szepnął mu coś na ucho, a dziadek przyglądał mi się długo, zanim w końcu przywołał mnie dłonią pokrytą plamami wątrobowymi.

– Pchnij no ten wózek, młodzieńcze – powiedział. – Ja nie mam siły w rękach. – Odwrócił głowę i zawołał: – Dziękuję, Kolba!

Posłusznie chwyciłem gumowe uchwyty, koła zaskrzypiały, a dziadek westchnął.

– No to jedziemy. Do końca galerii, ostatnie drzwi na prawo. Będą otwarte.

– Nie macie tutaj złodziei czy jak?

– A co niby mieliby mi ukraść – kaszlnął dziadek. – Moją żonę? Zresztą wszyscy tutaj żyjemy jak jedna wielka rodzina. Dzielimy się wszystkim, co znajdziemy. Pomagamy niedołężnym i dzieciom. Dajemy sobie radę od tylu lat.

– Z punktu widzenia etyki może to i słuszne. Z punktu widzenia pustego żołądka – głupie.

– Samotny łowca ma niewielkie szanse na przetrwanie.

– Mam inne zdanie na ten temat.

– Masz do tego prawo. To te drzwi. Musisz naprzeć barkiem, futryna spuchła od wilgoci, skrzydło się przycina.

– To można naprawić – stwierdziłem, przyglądając się uważniej.

– Można – potwierdził – tylko trudno bez narzędzi. Jak już wypadną z zawiasów to przeniesiemy się do innego mieszkania. Na to piętro można się dostać tylko windą. Mamy z żoną całe do dyspozycji.

– Nieźle – mruknąłem i pomyślałem, że muszą być w tym squacie kimś ważnym, skoro mają takie przywileje.

Pchnąłem wypaczone drzwi i wprowadziłem wózek do malutkiego mieszkanka. Pozbawione było wszelkich ozdób i wyposażone w niewiele mebli. W kącie leżał dwuosobowy materac, obok piętrzył się stosik książek. Tytuły na ich grzbietach niewiele mi mówiły. Niewielki stół na środku stanowił komplet z jednym, zdezelowanym krzesłem. Przy brudnym oknie wychodzącym na Spodki stał drugi wózek, na którym siedziała niezwykle szczupła, zgarbiona kobieta. Na jej nosie tkwiły przyciemniane okulary, prawdopodobnie więc była niewidoma. Kiedy zamknąłem za sobą drzwi, nawet nie drgnęła.

– Zrobiłam herbatę, jest w kuchni za tą kotarą. Czy mógłbyś ją przynieść? –

powiedziała i dopiero po chwili zrozumiałem, że to ja byłem adresatem tej prośby.

Bez słowa zanurkowałem pod koc pełniący rolę drzwi i poczułem, jak coś żywego i ruchliwego spadło na moją szyję. Szybko strąciłem czarnego karaczana i rozgniotłem go butem. Pieprzone karaluchy łaziły nawet po trzech blaszanych kubkach, pełnych parującego płynu nieokreślonego pochodzenia. Ich zawartości na pewno nie można było nazwać herbatą. Kubki stały na tacy. Obok nich dostrzegłem półmisek pełen czegoś w rodzaju ciastek z tektury, po których również maszerowały jakieś czarne, włochate stworzenia. Chwyciłem tacę i czym prędzej wycofałem się z kuchni.

Ustawiłem ten „poczęstunek" na stole i zająłem krzesło. Podprowadzili swoje wózki bliżej i wyglądało to trochę jak miły rodzinny podwieczorek. Widocznie oni poczuli się podobnie, bo kobieta, ni stąd ni zowąd, zaczęła snuć wspomnienia:

– Nasze życie przed Rozbłyskiem też było pełne niebezpieczeństw. Pewni ludzie chcieli mnie zmusić, żebym dla nich pracowała. Uciekłam, mąż mi pomógł. Wtedy jeszcze nie był moim mężem, ale to się potoczyło szybko – uśmiechnęła się i czule wyciągnęła rękę w kierunku dziadka. – Trochę się tułaliśmy, żeby zmylić trop. W końcu poczuliśmy się bezpieczni i osiedliśmy w tym mieście. Zaczęłam studia, mąż podjął pracę. Skończyłam psychologię, bo to mnie najbardziej interesowało. Wiesz, co to psychologia? – zwróciła się do mnie.

– Wiem. W moim schronie było dużo książek – odparłem.

– To dobrze – pokiwała głową i mówiła dalej: – Urodziły nam się bliźnięta, dwójka cudownych dzieci. Wracała nam nadzieja na normalne życie. Chodziliśmy do restauracji, do kina, teatru, na koncerty. Nie wiem, czy umiesz to sobie wyobrazić. Masz tak niewiele lat! Zresztą dzisiaj to nieważne. Dzieci rosły, zaczynały mówić, chodzić. Były do siebie bardzo podobne i nierozłączne. Szczęście i bezpieczeństwo... To złuda, one nie istnieją. Dzieci miały pięć lat, gdy tamci nas znaleźli... – westchnęła i zamilkła zamyślona.

– Przyszli nocą – podjął dalej mąż. – Wyłamali drzwi, dostaliśmy jakimś gazem po oczach, mnie zakuli w kajdanki. Żona walczyła jak lwica, zużyli na nią całą butelkę zanim padła bez czucia. To przez nich straciła wzrok. Wyrwali nam dzieci i serce – głos mężczyzny cichł powoli.

– Zaraz potem nadszedł Rozbłysk i nasz osobisty dramat przestał być istotny – ciągnęła kobieta. – Nasz dom przetrwał bomby, a piwnice nadawały się na schronienie przed promieniowaniem. Zorganizowaliśmy wokół siebie wspólnotę. Wielu ludzi dzięki temu przetrwało. Gdy nareszcie wyszliśmy na powierzchnię, okazało się, że piekło nadal trwa. Ludzie wyniszczali się w bratobójczej walce. I o co? O te nędzne ruiny! Zamiast budować, kontynuowali dzieło zniszczenia. Człowiek to ciekawy gatunek. A ty – zwróciła się bezpośrednio do mnie – brałeś w tym udział, jak mi się zdaje.

– Tak – powiedziałem pewnie. – Walczyłem o wyczyszczenie tego miasta z krwiożerczych mętów. Ale jeszcze sporo ich zostało do...

– Masz prawo myśleć, że czyniłeś dobrze – przerwała mi. – Teraz jednak czas skończyć z zabijaniem. Wszystko powoli wraca do normy, choć zajmie to pewnie dziesiątki lat. Miasta, domy, rodziny powstaną od nowa. Odrodzą się jak Feniks. Popiół zawsze tworzył nowe życie. Ogień niszczył, trawił istnienia, a popiół je wskrzeszał – powiedziała i zapadła w zadumę.

Czułem się nieswojo w towarzystwie tych dwojga. Przyjrzałem im się bliżej i stwierdziłem, że wcale nie są tacy starzy, jak mi się na początku wydawało. Byli zmarniali, zabiedzeni, wychudzeni, ale nie byli starzy. Na pewno byli dużo młodsi od Dziaduszki i Babuszki. Mimo fizycznego wyczerpania, od kobiety promieniowała jakaś siła, jakby widziała i wiedziała więcej niż inni. Przyłapałem się na tym, że zupełnie się podporządkowałem tej sytuacji. Rozmowa toczyła się na tematy, które nie powinny mnie interesować, a jednak...

– Zastanawiasz się, co? – kobieta przerwała moje rozważania. – Nie o tym chciałeś mówić, nie po to tu przyszedłeś, prawda?

– Skoro już o tym wspomniałaś... – podjąłem. – Miło się gawędzi, ale jest jeszcze parę bestii do upolowania.

– I ty uważasz, że to twoje zadanie, tak? – zapytał mężczyzna z uśmiechem.

– Tak – potwierdziłem.

– Dlaczego? Szukasz śmierci? Nie masz nikogo bliskiego? – cisnął.

– Najbliższe są mi moje cztery litery i Wesoły Przyjaciel – odparłem, odruchowo gładząc miejsce, gdzie jeszcze kilka dni temu spod kurtki wybrzuszał się pistolet.

– Wesoły Przyjaciel? – wtrąciła kobieta. – Czy to twoja broń?

– Tak. Straciłem go podczas moich ostatnich wesołych przygód...

– Ach! Ciebie to jeszcze ciągle bawi! Jesteś typowym reprezentantem męskiego, brutalnego i szowinistycznego świata. – Głowa niewidomej zatrzęsła się. – Niestety wasz czas powoli mija. Rozbłysk był tylko początkiem końca. Z popiołów powstanie nowy porządek, nowy nawet w stosunku do tamtego sprzed katastrofy. Zwłaszcza do tamtego.

– Jakoś nie widzę przyszłości pod rządami kobiet – odpowiedziałem lekceważąco.

– Jesteś jeszcze młody, zbyt młody, by zrozumieć pewne sprawy. Ja dostrzegam rzeczy, które dopiero się wydarzą. Oczywiście nie za pomocą tego… – podniosła wykręcone dłonie do powiek. – Raczej za pomocą jakiegoś wewnętrznego widzenia. Powiedz mi, chłopcze, czy Ona także do ciebie przychodzi w snach?

Zamarłem, wpatrując się w ciemne szkła okularów kobiety. Wyraźnie słyszałem chrapliwy oddech jej męża i dreptanie karaluchów w kuchni.

– Czy ona kiedykolwiek się do ciebie odezwała? Czy widziałeś jej twarz? – dopytywała.

– Nnie… – burknąłem. – Twarzy nie widziałem.

– Szukasz jej, prawda? Cały czas jej szukasz. Od jakiegoś czasu intensywnie o niej myślisz i coś nie daje ci spokoju. Pragniesz w końcu spojrzeć jej w oczy i wykrzyczeć jej imię. A jeśli to inna osoba, niż myślisz? Co wtedy?

– To zwykłe sny… – powiedziałem, ale pewność w jej głosie mnie zaniepokoiła.

– Raczej nie. Czujesz coś jeszcze, oczywiście oprócz emocji. To trochę tak, jakby nagle zatrzęsła się ziemia. Ja nazywam to Wibracją, dostrojeniem do rytmu Jej umysłu. Ty także Wibrujesz, odbieram to całkiem wyraźnie i – kobieta wyciągnęła rękę w moją stronę – czuję siłę. Masz moc, chłopcze. Musisz nad nią pracować, okiełznać ją. Inaczej… Ech! Poznałam wiele samorodnych talentów: telepatów, jasnowidzów... Tylko jeden na stu pracował nad sobą.

– Z mocy parapsychicznych uznaję jedynie siłę parabellum – zaśmiałem się.

– Próbujesz żartować, rozumiem to. Jednak nie uciekniesz od siebie. Jesteś człowiekiem transgresyjnym... – Podniosła rękę, sygnalizując gestem, bym jej nie przerywał i kontynuowała: – Ty wychodzisz poza znane standardy zachowań, stereotypy społeczne. Potrafisz przekraczać wszelkie granice. Czuję twoją twardość i nieustępliwość, awanturniczą duszę i przebojowość. Nie jesteś typem przywódcy, raczej samotnika z wyboru. Kryjesz w sobie jakąś tajemnicę, ból przeszłych wydarzeń niemal wypływa wszystkimi porami twojego ciała. Ja to naprawdę odbieram i cierpię razem z tobą.

– Ja się nad sobą nie użalam – wycedziłem.

– Każdy coś przeżył i kogoś stracił – wtrącił mężczyzna. – Wszyscy jesteśmy ofiarami Rozbłysku i tego, co po nim nastąpiło.

– Jasne! – nie zamierzałem oponować. – Ale każdy musi sam dbać o swoje siedzenie. My także. Ponoć władza powoli się odradza, ale nie wiem, czy to coś zmieni. Nie mam takich doświadczeń.

– Niczego nie zmieni – rzucił się dziadek. – Pamiętamy to sprzed Rozbłysku. Nie chodzi o odrodzenie tamtej władzy.

– Tak? – zdziwiłem się. – Więc o co wam chodzi? Bo najwyraźniej jednak o coś.

– Bynajmniej nie o zabijanie Łapiduchów, jak ich nazywacie – stwierdziła kobieta zdecydowanie. – Byłoby to wręcz niewskazane.

– A to ciekawe – złożyłem ręce na piersi. – Wszyscy są przerażeni tymi łowcami. Boją się nawet poruszyć, kiedy ich zobaczą, nie mówiąc już o obronie.

– Ci „łowcy”, jak byłeś łaskaw ich nazwać, posiadają pewne zmysły ponadnaturalne. Wyczuwają osoby słabe psychicznie i wpływają na ich umysły, paraliżując naturalne odruchy. Są, powiedzmy, swego rodzaju funkcjonariuszami.

– Funkcjonariuszami? – zdziwiłem się. – To wasza wizja. Ja, nie dalej niż dwa dni temu, zarżnąłem jednego detektora i dwóch jego pomagierów.

– Detektor – cmoknęła z uznaniem kobieta. – Ładne określenie i adekwatne. Zaczynasz coś rozumieć.

– Właściwie to planowałem wytropić tych przebierańców i upuścić im trochę krwi.

– Już mówiłam – westchnęła kobieta. – Łapiduchy nam nie zagrażają.

– Podejrzewam, że mieszkańcy tego squatu mają inne zdanie.

– Słabi mają się czego obawiać, silni nie – powiedziała z naciskiem.

– Powoli łapię – pokiwałem głową i kopnąłem karalucha zbliżającego się do mojego buta. – Wy chcecie odrodzenia silnych jednostek. Poświęcicie część z tych nieszczęśników, żyjących kilka pięter pod wami, w imię „sprawy". Ale tym samym stawiacie się w jednym szeregu z wierchuszką z betonowych, podziemnych kompleksów.

– Nie porównuj nas z nimi! – dziadek tracił powoli cierpliwość. – Tu chodzi o zupełnie nowy porządek.

– Może zatem sami się poświęcicie dla dobra tej komuny i jej mieszkańców – zakpiłem.

– Bluźnisz! – krzyknął mężczyzna. – Moja żona jest ich jedyną nadzieją. Ich madonną. Przewodniczką.

– I z wdzięczności mają się podłożyć Łapiduchom, czy tak?

– Wszystko spłycasz, młody człowieku – powiedziała niewidoma karcąco.

– W porządku. Odpowiedzcie mi tylko na jedno pytanie: Skąd oni przychodzą, z którego kierunku? Gdzie mam ich szukać?

Kobieta chwilę milczała, po czym odwróciła się w stronę okna.

– Sami cię znajdą – powiedziała w końcu. – Jeśli zechcą. A raczej zechcą.

– Rozumiem, że audiencja skończona.

– Możesz zostać na noc i odpocząć przed wyruszeniem na swoje poszukiwania. Rozumiem, że nie zdołałam odwieść cię od twoich planów?

– Tak się składa, że odczuwam pragnienie rozwikłania zagadki naszych wystrojonych w maski p-gaz przyjaciół. Tylko że… – wstałem i podszedłem do wypaczonych drzwi wyjściowych.

– Tak?

– Jeśli naprawdę znajdę jakąś „Ją", o której mówisz, to ludzie otrzymają nową madonnę, a wy umrzecie tutaj z głodu. Być może owe „silne jednostki", które przetrwają, nie będą chciały o was pamiętać.

Wychodząc, słyszałem jedynie ciszę, przerywaną chrzęstem chitynowych pancerzyków karaczanów.

* * *

Ostatni kawałek drewna dogasał w metalowej bańce przerobionej na piecyk. Blacha momentalnie absorbowała ciepło, ale równie szybko je oddawała, w przeciwieństwie do dużej żeliwnej kozy, którą Dziaduszka miał w leśnym schronieniu. Jednak – jak to się kiedyś mówiło – darowanej kozie w zęby się nie zagląda. A może to chodziło o konia? Co za różnica. Jedno i drugie znam tylko z obrazków.

Kusa dorzuciła do piecyka trocin, które tylko zdusiły żar, i usiadła na resztkach karimaty. Ja miałem mniej szczęścia, do dyspozycji dostałem jedynie rozpadające się oparcie fotela. Musiało mi wystarczyć za poduszkę i materac zarazem. Marzenia o wygodnym łóżku spełzły na niczym…

– Z północy. Oni nadchodzą zawsze z północy – tłumaczyła mi dziewczyna. – Idą wzdłuż ulicy Kopernika, przed starym aresztem śledczym skręcają w Wyszyńskiego i przechodzą obok dworca PKS i naszego squatu, jeśli akurat mają swoje interesy po tej stronie miasta. Do centrum zapuszczają się rzadko, jeśli już to obserwują, tylko obserwują.

– Więc ogólnie obawiają się większych grup uzbrojonych ludzi. Postępują logicznie i to mi się nie podoba. Chociaż, z drugiej strony, stają się przewidywalni i podatni na różne sztuczki i fortele.

– W jaki sposób ich zabiłeś?

– Normalnie. Podszedłem do skurwieli i rozwaliłem im łby kawałkiem gruzu.

– Też bym tak chciała.

– Spróbuj kiedyś. Może ci się uda.

– Chyba za bardzo bym się bała. U nas wszyscy się ich boją.

– No chyba oprócz tej dwójki dziwaków na jedenastym piętrze.

– Nie mów tak o nich – Kusa rozejrzała się nerwowo. – Nie wolno.

– Co to, nawet tutaj ściany mają uszy? Myślałem, że tylko Białe Miasto słynie z konfidentów.

– Jak tam jest? – dziewczyna przysunęła się bliżej i wbiła we mnie pełne nadziei oczy.

– Jak wszędzie. Gówniane żarcie i gówniane życie – wytłumaczyłem, starając się pozbawić ją złudzeń. – Nie wybierasz się tam przypadkiem?

– I tak by mnie nie przyjęli. Jeszcze nie teraz.

– Ale myślałaś o tym – zauważyłem. – To głupi pomysł, Białe Miasto się zmieniło, jego mieszkańcy się zmienili.

– A ty?

– Ja? – zdziwiłem się. – Co ja?

– No… Uciekłeś stamtąd. Właśnie dlatego?

– Nie. Nigdy nie należałem do tamtego świata. Może kiedyś, przez moment…

– Zrobili ci coś złego?

– Nie, to raczej ja skrzywdziłem wielu ludzi, wielu zabiłem. Ale takie były czasy, ktoś musiał zginąć, by ktoś inny mógł żyć.

– Straciłeś kogoś bliskiego?

– Skąd ten pomysł? Wielu moich przyjaciół poległo, ale czy byli mi bliscy? O wiele większą miłością darzyłem butelkę dobrego samogonu.

– W takim razie zupełnie nie rozumiem, skąd w tobie tyle gniewu.

– Nie zajmuj się myśleniem, pusta głowo, powiedz lepiej coś, czego nie wiem.

– Na przykład?

– Zakład Karny na Hetmańskiej. Co o nim wiesz?

– Właściwie… Nigdy nie zapuszczałam się w tamte rejony. Wiesz, stamtąd nadchodzą Łapiduchy. Ale słyszałam, jak opowiadali mężczyźni…

– Kolba i spółka?

– Właśnie oni. Podobno…

– Kusa… – do pokoiku wsadził głowę chudy szczyl o wyłupiastych oczach i latającej grdyce.

– Czego? – warknęła dziewczyna.

– Kolba zabronił z nim gadać. – Koleś zerknął na mnie nerwowo.

– Spierdalaj – przeciągnąłem się i ziewnąłem głośno. – Wypad, ale już.

Gnój głośno przełknął ślinę i zniknął, a Kusa odsunęła się i przywarła do stygnącego piecyka.

– Dlaczego musisz być właśnie taki?

– Jaki?

– Nie wiem… Wredny. On nic ci nie zrobił.

– Jeszcze nie. Być może kiedyś wejdzie mi w drogę, ale wtedy będzie wiedział, że ze mną nie leci się w kulki.

– Wszędzie robisz sobie wrogów.

– Lepiej mieć wroga, niż nie mieć przyjaciela. Przynajmniej wiadomo, na czym człowiek stoi. Co z tym więzieniem?

– Podobno kiedyś strażnicy zjedli skazańców.

– Słyszałem już tę opowieść. Bardziej interesuje mnie ich uzbrojenie, zapasy i poglądy na przyszłość.

– Oni nikogo nie wpuszczają, więc nie wiem…

– Nie wpuszczają czy nikt nawet nie próbował z nimi gadać?

Kusa potrząsnęła głową i wyciągnęła się na karimacie. Jako przykrycie służył jej zapchlony koc, za który w tym momencie dałbym wiele.

– Chciałabym kiedyś zdobyć maskę Łapiducha – mruknęła dziewczyna.

– Mogę ci jedną dać, jeśli chcesz? – zaoferowałem.

– Jutro idę razem z tobą.

– Dokąd?

– Do tego Zakładu Karnego.

– Skąd wiesz?…

– Głupia nie jestem.

– Nadmiarem zdrowego rozsądku też nie grzeszysz – zauważyłem. – Dziwię się, że coś nie zżarło cię dawno temu.

– Jestem zmęczona. Zasypiam z otwartymi oczami.

– Ja tak śpię od wielu lat. Dzięki temu jeszcze żyję. Po co właściwie chcesz ze mną iść? Jesteś żądna przygód czy po prosu masz dość tego miejsca. Kusa? Jesteś tam?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Wsłuchałem się w jej równy oddech i zamknąłem oczy. Gdzieś daleko stąd zaskrzeczała Strzyga, odpowiedział jej przeciągły odgłos bólu i strachu. Rankiem po jej ofierze nie pozostanie nawet ślad, nie licząc kałuży krwi. Zasypiając, zastanawiałem się, co ja zostawię po sobie.

Rozdział 9

Więzienny blues

Niemal niedostrzegalny ruch na szczycie wiaduktu zamarł gwałtownie. Zauważyłem go zbyt szybko, jak na mój gust. Gówniarze oddelegowani do pilnowania przejścia pewnie nie umieli zachować minimum bezpieczeństwa albo im na tym nie zależało. Istniała też inna ewentualność. Klawisze z Zakładu Karnego wcale nie byli gówniarzami, a my za chwilę będziemy gryźli piach. Zerknąłem na szczupłą dziewczynę maszerującą obok mnie. Decyzja o dołączeniu do mnie była największym głupstwem w jej życiu, no ale ja nie czułem się tak wielkim autorytetem, żeby zabraniać komukolwiek czegokolwiek. Kusa i jej wiecznie brudna twarz, do której zdążyłem się już przyzwyczaić, nie wyrażała jakichkolwiek emocji, strachu, niepewności czy nadziei. Kompletnie nic. Nie widziałem jej oczu, ukrytych za okularami przeciwsłonecznymi, ale brązowe tęczówki nie powiedziałyby nic więcej niż mina tej zagubionej dziewczyny.

– Zauważyli nas – powiedziała cicho i śmiesznie przekrzywiła głowę.

– Doprawdy? Czy ty coś widzisz w tych patrzałkach?

– Aha! –Słońce odbiło się od lustrzanych pilotek tkwiących na jej zadartym nosie. W przydymionych szkłach dostrzegłem odbicie własnej, paskudnej gęby. – Są na szczycie wiaduktu, nieco po prawej. Chyba że to jakieś zwierzę.

Bez przeszkód doszliśmy do strefy cienia, jaki dawała potężna betonowa konstrukcja wiaduktu Nila Fieldorfa. Kusa zdjęła pilotki i zamrugała oczami, przyzwyczajając je do zbawczego półmroku. Chłód nieco nas orzeźwił i otrzeźwił. Wyciągnąłem butelkę z wodą i pociągnąłem solidny łyk. Przepłukałem usta i wypłułem ciepłą, mętną ciecz. Resztę wylałem na głowę.

– Co to, nie oszczędzamy płynów? – parsknęła dziewczyna.

– Sądzę, że niedługo nażremy się i upijemy jak świnie.

– A jeśli się mylisz?

– Wtedy zabiorę ci twój zapas – wzruszyłem ramionami. – Prawo silniejszego, sama rozumiesz.

– Gówno – splunęła. – Gówno nie prawo.

– Kusa?

– No?

– Za chwilę nasz błogostan się skończy. Opuścimy to chłodne miejsce. Kiedy już wejdziemy w pełne słońce, nie zatrzymuj się. Cokolwiek by się działo, nie zatrzymuj się.

Spojrzała na mnie uważnie i ze zrozumieniem kiwnęła głową. Małolata była zaprawiona w boju o przetrwanie w ruinach. To dobrze.

Upał spadł na nasze głowy bez ostrzeżenia jakiś metr za granicą cienia wyznaczanego przez betonowego molocha, a ja zacząłem liczyć kroki. Zatrzymałem się po doliczeniu do stu i przyklęknąłem. Przeklęte sznurowadło zaczynało plątać mi się pod nogami. Kusa podreptała dalej, nie zwracając na mnie uwagi. Grzeczna dziewczynka. Kątem oka dostrzegłem kilka refleksów światła, tańczących na szczycie wiaduktu. Sposób przekazywania informacji za pomocą „zajączków" puszczanych kawałkiem lustra wydał mi się nieco prymitywny. W dodatku nie sprawdzał się po zmroku. Spokojnie podniosłem się, poprawiłem spodnie i ruszyłem za Kusą. Wydłużyłem kroki i wkrótce zrównałem się z dziewczyną.

– To alfabet Morsa – poinformowała mnie. – Używają lusterek.

– Aleś spostrzegawcza.

– I po co był ten cyrk z wiązaniem sznurowadła?

– To bardzo proste. Kiedy ja się zatrzymałem, cała uwaga naszych nowych przyjaciół tam na górze skupiła się na mnie. Ty w tym czasie odeszłaś dobre kilka metrów, wbrew mojemu poleceniu obejrzałaś się, ale dzięki temu dostrzegłaś, ilu ludzi jest tam, na wiadukcie.

– No…

– Ilu?

– Jeden.

– Na pewno?

– Boszsz… Widziałam jednego.

– Dziwne.

– Szczerze mówiąc, wygląda mi to na straszna dziurę.

– Dziura jak każda inna – przyznałem.

– Boszsz…

– Ale ja jednak jestem pod wrażeniem.

Kusa spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami.

– Nigdy cię nie zrozumiem. Wiesz, co tutaj jest? Chuj, dupa i kamieni kupa – stwierdziła sentencjonalnie.

– Sądziłem, że używasz wyłącznie równoważników zdań. Mój błąd. Twoja wypowiedź poraziła mnie swoją formą i długością. Naprawdę jestem pod wrażeniem.

Dziewczyna przez chwilę milczała.

– Są dwa równoważniki. Lwa i Koziorożca – warknęła w końcu.

– Raka i Koziorożca. To są równoleżniki, tępa głowo. Chodziło mi o coś innego… Nieważne.

– Aha – skinęła głową dziewczyna i kopnęła mnie w kostkę.

– Co to niby miało być? – zainteresowałem się. – Zabolała odrobina krytyki?

– Ciebie może zaraz bardziej zaboleć…

– Imponujące, nieprawdaż? – postanowiłem zmienić temat.

– Co?

– To – powiedziałem i wyciągnąłem rękę w stronę wielkiej stalowej bramy, wyłaniającej się zza zwałów gruzu.

Dostępu do Zakładu Karnego broniły wysokie mury zwieńczone zwojami drutu kolczastego, sprawiające naprawdę imponujące wrażenie. Zatrzymaliśmy się w ich cieniu, zapewne śledzeni przez czujne oczy ludzi obsadzających wieżyczki strażnicze.

– Podejdziemy bliżej? – spytała nieśmiało Kusa.

– No… Z tej odległości raczej nie będziemy z nimi rozmawiać. Chyba że przypadkiem masz ze sobą przenośny megafon.

– Nie mam, kurwa.

– Ruszajmy. Tylko spokojnie.

A-36

– Wiem. Nie chcę, żeby odstrzelili mi głowę.

– Tobie to raczej nie grozi. Raczej dostałabyś kulkę w kolano. Tak okaleczona daleko byś nie uciekła. A oni pewnie potrzebują świeżej krwi – zerknąłem znacząco na jej prawie niewidoczne pod ubraniem, małe piersi.

– Bez jaj!

– Dokładnie! – uśmiechnąłem się. – Bez jaj!

Zza stalowych wrót pokrytych łuszczącą się farbą nie dobiegał żaden dźwięk świadczący o tym, że ktokolwiek przejął się naszą obecnością.

– Mamy zapukać czy jak? – szepnęła Kusa.

– Mamy się zamknąć i czekać – odpowiedziałem.

Rzeczywiście, po kliku długich minutach coś szczęknęło i niewielki judasz zamontowany na wysokości wzroku dorosłego mężczyzny uchylił się na kilka centymetrów.

– My do naczelnika – powiedziałem. – W prywatnej sprawie.

Klapka zatrząsnęła się, a ja spojrzałem na Kusą i wzruszyłem ramionami. Dziewczyna usiadła na rozgrzanym asfalcie i zaczęła dłubać w nosie. W tej chwili była to jedyna czynność, która miała jakikolwiek sens.

– Będziemy tutaj nocować? – zapytała. – Słońce w końcu zajdzie.

– Tak już jest z tym słońcem.

– Nie pieprz mi tu. Kiedy nas wpuszczą do środka?

– Skąd niby mam wiedzieć – rzuciłem i wzruszyłem ramionami. – Jeśli będą mieli ochotę, to nas przyjmą. Jeśli nie, to…

– To co?

– Przenocujemy tutaj i pójdziemy dalej.

– Dalej? Czyli gdzie?

– Gdziekolwiek, kurwa.

– Cały czas pieprzysz…

– Prawda jest taka, że nie pieprzyłem od dawna – uśmiechnąłem się gorzko. – A teraz się zamknij. Muszę pomyśleć, zanim złożę strudzone kości i zaznam zbawczego snu. Tobie też się przyda odrobina odpoczynku.

– Od-po-czy-nek? – wycedziła dziewczyna, wydęła wargi i odwróciła się do mnie plecami. – Tak się składa, że po zmroku zaczynają się szwendać Strzygi i Wąpierze. Co ty na to? Będziemy się okopywać w tej stercie gruzu?

– Wydaje mi się, że Strzygi ani inne dziadostwo nie zapuszczają się w tę okolicę. Ludzie z Zakładu Karnego pewnie nie raz przetrzepali im skórę. W każdym razie ja bym tak zrobił. Strzygi nie są głupie, czują ból i strach. Nie znają za to litości czy tym

podobnych ludzkich uczuć, ale to już zupełnie inna historia.

Zachód słońca zbliżał się coraz szybciej. Cienie wydłużyły się, a moje najgorsze obawy zaczynały się spełniać. Zakład Karny pozostał zamknięty na cztery spusty i nie zaszczycił nas nawet pies z kulawą nogą. Kiedy ognista kula skryła się za widnokręgiem, Kusa wtuliła się we mnie, przezwyciężając swój gniew. Przez chwilę nawet mnie zrobiło się cieplej. Błogość szybko ostygła wraz ze spadkiem temperatury. Resztę nocy spędziłem na majaczeniu w półśnie i oczekiwaniu na brzask. Kusa nad ranem zwinęła się w kłębek i cicho pochrapywała. Zbawczy sen dopadł mnie, kiedy niebo zaczęło różowieć. Zbudziłem się dopiero po solidnym kopniaku w piszczel. Początkowo myślałem, że to Kusa rzuca się przez sen. Kiedy częstotliwość uderzeń się zwiększyła, uchyliłem zdrowe oko i dostrzegłem wylot lufy karabinka Glauberyt. Momentalnie odzyskałem świadomość i podniosłem zdrętwiale ręce w znanym wszystkim nacjom geście poddania. Postąpiłem słusznie, bo luf karabinowych było kilkanaście. Zerknąłem na Kusą. Siedziała obok i przerażona wodziła wzrokiem od jednego umundurowanego klawisza do drugiego. Ja również wpatrywałem się w zimne i zazwyczaj śmiercionośne wytwory ludzkiego zmysłu wojennego, ale w głębi duszy śmiałem się. Rechotałem z rozbawienia, bo ubrani w bojowe zbroje do tłumienia buntów mężczyźni, skrywający swoje twarze za przyłbicami starych, policyjnych kasków, trzymali w rękach broń pozbawioną magazynków.

* * *

Tak jak się spodziewałem, klawisze zaprosili na audiencję tylko mnie. Kusa jak niepyszna została pod metalowymi wrotami i przez moment czułem na plecach jej palące spojrzenie. Dziewczyna była wściekła, ale ostrzegałem ją przed takim obrotem spraw. Mogłem tylko mieć nadzieję, że postąpi zgodnie z naszymi ustaleniami i wróci do swojego squatu, jeśli nie wyjdę po upływie kilku godzin. Dopiero, gdy stalowe wrota zatrzasnęły się za mną, mogłem ocenić wielkość więzienia. Kompleks Zakładu Karnego składał się z dwóch sześciopiętrowych budynków, otoczonych wysokim murem i oddzielonych potężnymi bramami. Jeden gmach zajmowali więźniowie, drugi klawisze. Zakład był prawdziwą twierdzą, której zdobycie mogło stanowić nie lada wyzwanie nawet dla nieźle uzbrojonej grupy ludzi. Wiezienie z zasady powinno uniemożliwiać ucieczkę osadzonym i wejście osobom niepowołanym oraz maksymalnie utrudniać swobodne przemieszczanie się więźniów podczas ewentualnego buntu. Placówka stanowiła więc niemal idealne schronienie w tych czasach. We mnie jednak budziła niemiłe uczucie klaustrofobii. Po stokroć wolałem

kryć się na otwartej przestrzeni ruin. Tam przynajmniej chciały mnie dopaść tylko dzikie bestie. Oczywiście musiałbym mieć na podorędziu broń i amunicję. Załoga Zakładu paradowała z karabinkami pozbawionymi pestek. Pasowało to jak kij do dupy, że zacytuję Dziaduszkę, ale chłopcy pewnie dzięki temu czuli się ważni i niepokonani. Do pierwszej konkretnej szarży uzbrojonych przeciwników.

Fotel naczelnika więzienia zajmował szpakowaty mężczyzna z dystynkcjami pułkownika. Na moje oko był zadufanym w sobie dupkiem z przerośniętym ego, lecz jego psychika wyraźnie zaczynała się sypać. Powoli, ale nieubłaganie. Towarzyszyła mu trójka oficerów z kapitańskimi gwiazdkami na pagonach. Najładniejszym była rudowłosa funkcjonariuszka, przystrzyżona byle jak ręczną maszynką.

– Gość w dom, jak to mówią i tak dalej – raczej chłodno przywitał mnie naczelnik. – Czego chcesz?

– W tej chwili chciałbym złapać drugi sen w normalnym łóżku, zjeść śniadanie i wskoczyć na jakaś białogłowę. Niekoniecznie w tej kolejności.

– Wygląda na to – naczelnik spojrzał na swoich oficerów – że odwiedził nas komediant. Nie błaznuj, chłopcze, nie mamy na to czasu. Mów krótko i składnie albo dołączysz do swojego kompana za bramą.

– To nie jest…– zacząłem, ale w porę ugryzłem się w język.

Skoro klawisze pod łachmanami Kusej nie dopatrzyli się kobiecych kształtów, to tym lepiej dla niej.

– Powodem mojej wizyty w tym zacnym przybytku są Łapiduchy.

Na twarzy pułkownika nie drgnął jeden mięsień, żaden tik nie poruszył jego powieki, oczy wpatrywały się we mnie bez cienia zażenowania czy nerwowości. Koleś był naprawdę twardym skurczybykiem.

– Co z nimi? – powiedział w końcu i nonszalancko odwrócił się w stronę zakratowanego okna.

– Przyzna pan, że stanowią pewien problem…

– Nie dla nas.

– Wydaje mi się jednak, że bardziej dla was niż dla nas.

– Skąd właściwie przychodzisz? I kogo reprezentujesz?

– Nikogo. Mówię za siebie i odpowiadam za własne czyny. Nikt mnie nie przysłał. Jestem wolnym strzelcem.

– To interesujące. Dalej, dalej. Gadaj. Nie mamy całego dnia na pierdoły.

– Krotko mówiąc, podjąłbym się zadania odesłania Łapiduchów na tamten świat.

Zgodnie z regułami rozmów handlowych w tym momencie powinienem usłyszeć rechot wszystkich zebranych, a następnie poczuć solidnego kopniaka wskazującego wyjście. Przewidywana reakcja nie nastąpiła, a pułkownik gestem odesłał oficerów,

pozostawiając tylko rudą.

– Mów – rozkazał.

– Po pierwsze, Łapiduchy omijają waszą twierdzę, bo jeszcze nie są w stanie sforsować murów. Należy tutaj położyć akcent na słowo „jeszcze". Te zwały gruzu pod murami to ich robota? Budowali sobie mur?

– Na niewiele się im zdał – zauważył naczelnik.

– No tak, widziałem dziury po kulach.

– Natłukliśmy ich wtedy. Od tamtej pory omijają Zakład.

– Ano omijają. I ja wiem dlaczego.

– No?

– Bo jeszcze się nie kapnęli, że skończyła się wam amunicja.

Tym razem reakcja naczelnika mnie zaskoczyła. Zerknął na rudą i zacisnął usta. Dziewczyna opadła na krzesło i złożyła ręce na piersiach.

– No ładnie – mruknęła. – Skąd o tym wiesz?

– Przecież widzę!

– Co proponujesz? – zapytał beznamiętnie naczelnik i oparł łokcie na biurku.

– Niedawno byłem w jednym z wolnych squatów. Niewiele już ich pozostało. Łapiduchy porywają coraz więcej ludzi. Docierają nawet do przedpola Białego Miasta. Doszedłem do wniosku, że muszą coś robić ze swoim łupem.

– Może ich zżarli – wykrzywiła twarz ruda.

– To ciekawa teoria. O was też słyszałem podobne pogłoski. Podobno zjedliście wszystkich więźniów. Co do jednego – wyszczerzyłem zęby w uśmiechu.

– Kilku ich jeszcze zostało – naczelnik wzruszył ramionami i zaczął trzeć nos.

– W każdej legendzie jest ziarno prawdy – pokiwałem głową. – Wracając do tematu, Łapiduchy muszą gdzieś mieć swoje gniazdo, bazę wypadową, legowisko. Wiecie, o co mi chodzi?

– Czego ty właściwie chcesz? – pułkownik zerwał się z fotela. – Przypuścić szturm na te ścierwa? Nie mam ludzi i amunicji, ale to już wiesz.

– Zakładam, że z brudnych skarpet i śmierdzących majtek twoich funkcjonariuszy dałoby się wyłuskać kilka pocisków i zbędny pistolet. To wystarczy, a do legowiska Łapiduchów pójdę sam.

– Nie masz najmniejszych szans.

– Wręcz przeciwnie. Łatwiej się prześliznę, bo umiem przetrwać w terenie. I jeszcze jedno. W torbie, którą skonfiskowaliście mi zaraz za bramą, mam w miarę kompletny zestaw OP-1…

Pułkownik myślał. Wbił wzrok w zakratowane okno i drapał się w podbródek. W końcu odwrócił głowę i spojrzał na rudą.

– Załóżmy… Załóżmy, że zrobimy zrzutkę i wyposażymy cię na drogę. Dokąd pójdziesz? Gdzie ich będziesz szukał? Masz jakiś plan?

– Plan? Nie. Ale wy macie mapy. Razem coś wymyślimy.

– Te plany są nieaktualne od dwudziestu lat.

– Nie chodzi o ich aktualność. Chodzi o ogólny zarys, ogląd sytuacji. Łapiduchy nie mają środków transportu, pielgrzymują do nas na piechotę. Mają swoje gniazdo gdzieś niedaleko.

– W takim razie masz do przeszukania obszar o promieniu... ilu kilometrów? Dziesięciu, dwudziestu, trzydziestu? Nie da się tak szukać w nieskończoność.

– Dlatego proszę o dostęp do map. Chcę sobie obejrzeć teren. To wszystko.

– Tylko tyle?

– No… Tak.

– Widzisz – naczelnik powoli przemierzył gabinet i stanął za moimi plecami – takich jak ty rozpoznaję z daleka. Kilku wpadło w moje ręce, wielu jeszcze wpadnie. Wszyscy skończą marnie.

Muszę przyznać, że ruda była szybka. Dopadła do mnie błyskawicznie i zgrabnym wycięciem sprowadziła mnie do parteru. Dość brutalnie założyła mi dźwignię na łokieć, wbijając kolano w żebra. Usłyszałem jeszcze metaliczne „klik-klak" gdy zimne obręcze kajdanek zapięły się na moich nadgarstkach.

– Przyjdzie ci trochę odpocząć w moim Zakładzie – zauważył naczelnik. – Kiedy nadejdą lepsze czasy, ktoś rozpatrzy twoją sprawę, a na razie zastosujemy wobec ciebie areszt prewencyjny. Takie przebiegłe małe ścierwa nie będą szpiegować na moim terenie. Robicie się zbyt bezczelni, a w twoim wypadku – sam rozumiesz – nie mogę pozwolić, byś odszedł wolno. Poznałeś najsłabszy punkt Zakładu Karnego, zagrażasz nam. W dodatku zachciewa ci się dostępu do map. Myślałeś, że na to przystanę?

– Może po prostu strzel mi w łeb. Jeden pocisk gdzieś znajdziesz.

– Nie jesteśmy mordercami, w odróżnieniu od niektórych naszych skazanych.

– Walcie się na ryj.

– Gdzie go osadzić? – zapytała rzeczowo ruda.

– W zerówce. Tam się nauczy szorować kible. I niech to ścierwo nie wchodzi mi więcej w drogę.

* * *

Jaskrawe światło wpadające przez dach z pleksi na moment mnie oślepiło. Przekręciłem się na bok, podparłem łokciem i usiadłem ze skrzyżowanymi nogami.

Poruszanie się ze skutymi z tyłu rękami przysparzało pewnych problemów. Ruda zacisnęła kajdanki nieco zbyt mocno i poczułem pieczenie otartego naskórka. Niech ją szlag…

– Kiedy nas stąd zabiorą? – piskliwy głos ukłuł mnie niczym igła. – Ileż można tak siedzieć na klatce schodowej.

Odwróciłem głowę i spojrzałem na chudego szczyla z wyłupiastymi oczami i latającą grdyką. Jego zrośnięte brwi wyglądały jak pozioma kreska narysowana mazakiem. Pierwszy raz widziałem tego gnojka w Squacie Monte Cassino, jak wydawał Kusej instrukcje, żeby ze mną nie gadała.

Okazało się, że klawisze zwinęli go, gdy węszył pod murem od strony torowiska. W ten sposób tylko potwierdził podejrzenia komendanta odnośnie mojej roli w całym przedsięwzięciu.

– Wysłał cię Kolba czy śledziłeś nas z własnej inicjatywy? – zacząłem.

– Nie wiem, o czym mówisz – szybko zaprzeczył szczyl i poczerwieniał na twarzy.

– Nie mieli nikogo lepszego? Obsługa tego pierdla złapała cię, jak tylko pojawiłeś się w odległości pięćdziesięciu metrów od Zakładu. Oni raczej nie tolerują szpiegów i to chyba dzięki tobie siedzimy w tym syfie. Miałem jedną szansę na milion i przez ciebie ją straciłem. Po coś za nami lazł. Jak na ciebie w ogóle mówią?

– Korek. A na ciebie?

– Korek? Co to za imię?

– Równie dobre jak każde inne – skrzywił się chudzielec. – Pewnie ani lepsze, ani gorsze od twojej ksywki.

– Niby tak, ale wiesz… Kojarzy się jakoś tak… Korek w dupie.

– Kurrr….

– Spokojnie, bez nerwów. Ja jestem Kamyk.

– Jak? – kreska brwi powędrowała do góry.

– Właśnie tak, jak słyszałeś.

– Głupie imię. A gdybym mówił na ciebie Głaz? To co?

– To dostałbyś wpierdol.

– No… Tylko spróbuj!

– Robię się głodny – przerwałem mu, bo niepotrzebnie się rozkręcał.

– Od kiedy mnie tutaj wrzucili, nie dostałem ani okruszka – poskarżył się chudzielec.

– Bo tutaj nawet na okruszki trzeba zapracować.

– A gdybym zdychał z głodu?

– To sam musiałbyś sobie wykopać grób. Tu raczej panują specyficzne zasady współżycia…

– Co za gówno – syknął Korek. – Po co mi to było?

Odpowiedź na to egzystencjalne pytanie musiała zaczekać, bo nagle szczęknęły zasuwy w drzwiach. Po chwili otworzyły się szeroko, ukazując pogrążony w półmroku wąski korytarzyk. Spojrzałem pytająco na chudzielca, ale ten wzruszył ramionami i zaczął nerwowo obgryzać paznokcie, wbijając wyłupiaste oczy w ciemną przestrzeń.

– I co dalej? – zainteresowałem się.

Korek skrzywił, się ale nie odpowiedział. Ze strachem zmieszanym z fascynacją gapił się w mrok za drzwiami.

– I co dalej? – powtórzyłem głośniej. – Gdzie jest komitet powitalny?

– Zamknij japsko, szutnik! – w korytarzu zadudnił czyjś głos.

– Coś ty za jeden? – rzuciłem w ciemność.

– Ha, ha, ha – zarechotał rozmówca. – Aleś ty umnyj. Czy nie za bardzo?

– W sam raz.

– Szutnik prima sort, nie ma co. Widzę, że choć jeden kmini temat. Dobra, możecie wyłazić. Zaraz zdejmę wam obrączki.

Nie ociągając się, wstałem i opuściłem rozświetloną klatkę schodową, wkraczając w mrok. Ten jeden krok miał w sobie coś symbolicznego, jak opuszczenie jednego świata i wejście do innego. Nie zauważyłem szybkiego ruchu ręki uzbrojonej w paralizator, który sprowadził mnie do parteru. Korek na widok łuku elektrycznego sam grzecznie złożył się na podłodze.

– Witamy w byłej jednostce penitencjarnej, zwanej też zakładem karnym, a po naszemu – ciupą. – Zaskrzeczał mi do ucha nieprzyjemny głos. – Kiedy znajdował się tutaj rządowy kić, obowiązywały pewne rygory. Od tamtego czasu wiele się zmieniło, ale zasady pozostały. Może na początek zapoznam z nimi obu panów. Zasady są dwie. Po pierwsze: jesteś nikim. Po drugie: przypomnij sobie pierwszą zasadę.

Zimne obręcze kajdanek zniknęły z moich nadgarstków, silne dłonie poderwały mnie do pionu i stanąłem oko w oko z siwym, na oko pięćdziesięcioletnim mężczyzną ubranym w sprany jednoczęściowy drelichowy kombinezon z literą Z namalowaną na piersi.

– Jestem Kokota – powiedział. – Zostaliście przydzieleni do Bloku Z, jak zerówka. To oddział tymczasowy, dla tych, co jeszcze lub już nie mają paragrafu. Tak jak ja. Tutaj rządzimy się swoimi zasadami. Dwie z nich już poznałeś, teraz trzecia. Kiedy ja mówię, reszta milczy. Kapewu?

– Tak.

– Kontynuując, poniżej znajduje się jest Blok A, jak asy. Siedzą tam ludzie odpowiedzialni za drobne przekręty i malwersacje finansowe, długi i niespłacone alimenty. Głębiej jest Blok B, czyli barany – drobne kradzieże, pobicia. Poniżej C, jak cymbały. Napady z bronią w ręku, skoki na bank i tak dalej. Grubsza kasa, większy

kaliber, spora odsiadka. Niżej jest D, jak dupojeby. Tam siedzą same zboczone świnie, psia ich rasa, gwałciciele, pedofile i reszta w dziurę rypanej braci. Najniżej jest Blok E. To jest klasa ekonomiczna, mordercy którzy nigdy nie ujrzą światła dziennego. W przenośni i dosłownie, jeśli rozumiesz metaforę. Nimi nie musicie się przejmować, nikt się nimi nie przejmuje. Dopóki nie spotkacie się z takim oko w oko, bez osłony krat, nic wam nie grozi. Nikomu nie życzę bezpośredniej konfrontacji z takimi bydlakami, wtedy nawet sto zdrowasiek odmówionych w ekstra tempie nie pomoże. Teraz otwórz tamte drzwi. Bierz bajaderkę i berło, a ty chudy łap się za szczotkę. Idziemy na Blok B. W każdy dzień tygodnia obrabiamy inny blok. W sobotę poziom Zero, czyli ten gdzie się aktualnie znajdujemy. I zapamiętajcie sobie, że będziemy go sprzątać solidnie, bez obcyndalania się. W niedzielę odpoczywamy i modlimy się w kaplicy. Co się tak gapisz, w kaplicy nigdy nie byłeś?

– Kto odprawia mszę? – spytałem rozbawiony.

– Ja. Coś ci się nie widzi? – warknął mężczyzna. – Kiedyś, jeszcze przed całym tym syfem, byłem księdzem. Przeszkadza ci to?

– Nie, skąd – rozłożyłem ręce – to może być nawet ciekawe. Chodźmy już do tej roboty

Bajadera, czyli wiadro, i berło, czyli szczota. Tak uzbrojeni podążyliśmy za eksksiężulem. Cele były puste, ich lokatorzy pracowali w terenie lub zaznawali kąpieli słonecznych na spacerniaku.

– Bierz się za badachy, młodzik – Kokota wskazał mi kibel. – Ja przepucuję lastryko.

– Rzetelnie? – zapytałem z drwiną.

– Głupiś młodzik. Ale wszystkiego się nauczysz, przyzwyczaisz się. Szoruj ten kibel, nie mam zamiaru spędzić tu całego dnia.

– Mówiłeś, że nie masz paragrafu. Co to znaczy?

– To znaczy, że już swoje odsiedziałem.

– Ale ja nie mam czego odsiadywać – zaskomlał Korek, walcząc ze szczotką. – Jestem niewinny.

– Głupiś…

Mop zgarniał brudną breję, kurz wałkował się, zlepiał. Robota nie należała do najprzyjemniejszych, ale zawsze to jakieś zajęcie. Rozbawiła mnie ta dbałość o porządek. Szorowanie do czysta zdawało się kompletnym absurdem w tym podłym miejscu, w tym podłym świecie. Zastanawiałem się, co zastaniemy w Bloku E. Z tego, co mówił Kokota, tam nigdy nie otwierano cel, skazańcy nie wychodzili na spacerniak i nie oglądali słońca. Może zresztą od dawna już nie żyli. Kiedyś podobno puszczano im na okrągło filmy przyrodnicze o Ziemi. Nie wiem tylko, w jakim celu. Chyba po to, by ich jeszcze bardziej upodlić, bo na pewno nie chodziło o resocjalizację. Spróbujcie zresocjalizować stado wilków.

Sprzątanie szło mimo wszystko sprawnie, woda lała się strumieniami...

– A skąd wy macie tyle wody? – zapytałem Kokotę, bo nagle przyszło mi do głowy, że to niebywałe marnotrawstwo.

– Woda! Woda! – prychnął. – Studnię głębinową mamy. Zakład musiał być samowystarczalny. Ale, co tam woda! Prosiłem jak ludzi, wykombinujcie jakiś płyn – piekli się Kokota. – Samą wodą to można sobie jaja podmyć. Widzisz, jak to wygląda. Syf i kiła. Ostatnio nawet na dzwonek alarmowy nikt nie reaguje – splunął księżulo.

– Może robią przyczaję – mruknąłem, szorując posadzkę.

– Na co, na kogo? Tu od dawna nikt nikomu nawet w tryby nie dał. Potrafią tylko człowieka spienić, a jak zaczyna się dym, to radź sobie sam. Najlepiej, żeby więźniowie sami się wzajemnie wytłukli. A oni wejdą i posprzątają, ewentualnie dobiją rannych. Taka jest prawda. No, ale jak złapią jakąś dziewuchę…

– A zakonnice się nie trafiają? – roześmiałem się.

– Pałuj się. Ty nie umrzesz śmiercią naturalną. Przepowiadam ci to.

– Ależ ja o tym wiem od dawna, księżulku – wyszczerzyłem się. – Niemniej dziękuję za pamięć.

– Szoruj to gówno i zamknij japsko!

* * *

Mój pierwszy więzienny poranek zaczął się od rytualnego czaju.

– Chłop był menda i ciota, nie obrażając ciot – Kokota gadał jak nakręcony. – Ale, że ziomka z celi wsypał, to już przypał.

– Przypał na całego – potwierdziłem wesoło.

Siedzieliśmy we czterech w ciasnej celi: ja, Kokota, Medyk i Korek, który został chwilowo oddelegowany do grabienia spacerniaka. Podobno wpadł w oko jednemu kiziorowi z Bloku D. Miłość to skomplikowane i niepojęte uczucie.

Kokota snuł swoją więzienną opowiastkę:

– Ale się wydało. Jeden klawisz był ludzki, powiedział chłopakom pod celą. Rozniosło się, mendę przecwelili. Tak go stłukli, że siny chodził z miesiąc. Oczywiście, jak już mógł chodzić. Bo siedzieć na dupie to dłużej nie był w stanie.

– Nieźle się tu bawicie – stwierdziłem ze śmiechem.

– Co się dziwisz? Na nadmiar kobiecych wdzięków nie mogą narzekać. Przyjdzie czas i ciebie dopadnie samotność. W końcu, ile można się pałować solo?

– A ty, Kokota?

– Podaj fikoł – księżulo wskazał na plastikowy taboret. – Ja to co innego. Obowiązuje

mnie celibat.

– Ha, ha, ha – zarechotałem. – Śmiem wątpić.

– Powaga. – Nie odwracając głowy, Kokota rozstawił aparaturę i zalał czaj. – Mnie jako osobę duchowną obowiązuje wstrzemięźliwość.

– Obowiązywała starzyk, obowiązywała.

– Ja tam mam swoje zasady…

– Te twoje zasady nie przeszkadzały ci jakoś przygarnąć lewego grosza… – stwierdziłem filozoficznie. – To ile ukradłeś z tego waszego kościelnego funduszu?

– Zamknij betoniarę, poldas. Za krótko tu siedzisz, żeby odgrywać majchra. Dostaniesz w gały i tyle. Łykać kitu nie musisz. Każdy swój rozum ma. Nie gap się na mnie, tylko filuj na klapę, czy kto nie idzie.

Wyluzowany wyszedłem z celi. Na korytarzu nie było nikogo, strażnicy byli zajęci swoimi sprawami, zresztą Kokota mówił, że bardzo rzadko zapuszczali się w te rejony. Właściwie niepotrzebnie się kryliśmy z czajem. Powiedziałem księżulowi, co myślę o całej tej maskaradzie.

– Głupiś, ale to już wiesz. Gdyby nas złapali na żywca, to i czaj stracimy, i dobę w przytulniaku. A tam wcale nie jest przytulnie i obyś nie musiał się o tym przekonać na własnej skórze. Czaj jest rzeczą poszukiwaną nie tylko wśród osadzonych. Myślisz, że klawisze mają inne żołądki niż my? Ale wracając do tego cwela, bo nie dokończyłem tematu, to śmieć doszedł do siebie. Po kilku tygodniach wyglądał jak nowo narodzony, chociaż limo mu stłukli jak ta lala. Uwierz mi. – Przerwał na chwilę i przyjrzał mi się uważniej. – Tobie też ktoś kuku w limo zrobił, nie?

– Na szczęście mnie nie przecwelił przy okazji – odparłem. – Zresztą zaczyna się goić.

– Widzę, widzę – przytaknął Kokota i ciągnął dalej swoje: – Ale prucie na kolegę z kwadratu to kurestwo. Sam wiesz. I w czym mu klawesyny pomogły? W niczym. Ktoś kiedyś ożenił mu samograjkę pod żebra. Chłopa znaleźli na drugi dzień, wykrwawił się na śmierć. Taki już parszywy los donosicieli. Chciał mieć lepiej i ma lepiej. Na tamtym świecie. Dobra, siorbaj czaj. Zaraz cię trochę ozdobimy, bo jesteś strasznie czarno biały i bezwymiarowy. Jak, dajmy na to, kałuża szczyn.

– Dzięki, stary. Dziargi nie na moje piękne ciało – zaprotestowałem, bo oferta tatuażu nie bardzo mi odpowiadała. – Dlaczego stąd nie odszedłeś po osiedzeniu swojego? Nie chciałeś wrócić do domu?

– Do czego tam wracać? To jedna wielka mogiła – splunął Kokota. – Fantasta z ciebie, szutnik i mądrala. Ale i tak jesteś głupi, o czym wielokrotnie ci mówiłem.

– Wiem, wiem.

Kokota spojrzał na mnie, jakbym powiedział coś niebywałego, niesamowitego i tajemniczego. Drzwi do celi trzasnęły i pojawił się w nich Medyk – mój sąsiad

z piętrowego koja. Ten stary recydywista bez paragrafu na ramionach miał wytatuowane pagony generalskie, a na piersiach dziesięcioro przykazań. Podobno. Nie widziałem go na golasa i nie miałem zamiaru oglądać takiego widowiska.

– Nie macie przykitranego smutniaka? – spytał Medyk.

– Niedługo szamano będziemy rozwozić, coś taki głodny? Czarnego chleba ci się zachciewa?

– Idziemy na ten Blok E? Czy dzisiaj sobie darujemy? – zainteresowałem się uprzejmie.

– Przede wszystkim – zaczął moralizatorską przemowę Kokota – mamy do spełnienia nasze obowiązki. Odpoczywał będziesz w nocy.

– Daj spokój, po co to całe przedstawienie. Bloki są niemal puste, dla kogo mamy je sprzątać? Kto nas sprawdzi? Klawisze mają nas w dupie, pewnie tylko czekają, żeby stąd prysnąć.

– Dokąd mieli by odejść? Tutaj przynajmniej mają co jeść i mogą spokojnie przespać noc. Nie to, co tam – klecha machnął ręką za siebie. – Z tych samych powodów siedzę tutaj ja, Medyk i wszyscy pozostali więźniowie. No, może ci z Bloku E woleliby opuścić nasz pensjonat, ale ze względów bezpieczeństwa do tego nie dojdzie. Te kreatury nigdy nie powinny wyjść na wolność.

– Mam inne zdanie – pokręciłem głową. – Strzygi i inne dziadostwo szybko by się uporały z tymi przyjemniaczkami. Jedna noc i po sprawie.

– A gdzie jest miejsce na zwykłą ludzką moralność? Jakim prawem chciałbyś ich skazać na śmierć?

– O, księżulo powrócił do ciała – zakpiłem. – Nagle przestałeś używać więziennej grypsery.

– To tylko gra pozorów... – zaczął Kokota, ale przerwało mu szczęknięcie stalowych drzwi prowadzących na zewnętrzną klatkę schodową.

Medyk błyskawicznie schował całą aparaturę służąca do parzenia czaju, a ja z Kokotem chwyciliśmy za mopy i wiadra.

– Wcześniej dzisiaj przyszedł – stwierdził księżulo, ale w drzwiach zamiast znanego mi już klawisza pojawiła się ruda kapitanka z paralizatorem w pokrytej piegami dłoni.

– Ty – wskazała na mnie palcem. – Idziesz do naczelnika.

– Ze sprzętem czy bez? – uniosłem bajaderę.

– Ruszaj się! – wrzasnęła, a drobinki jej śliny spoczęły na twarzach całej naszej trójki. Kokota nie poruszył się, medyk oblizał wargi, a ja odstawiłem majdan sprzątacza.

– Czyli bez sprzętu – skwitowałem i karnie pomaszerowałem przed rudą, bawiącą się paralizatorem.

Jego Wysokość naczelnik czekał na mnie przy głównej bramie, którą miałem już

okazję oglądać z zewnątrz. Obok jego nóg dostrzegłem moją torbę zawierająca zdobyczny zestaw OP-1. Zgrzytnęły zawiasy furtki, a naczelnik uśmiechnął się głupio, wskazując mi wyjście.

– Rozważyłem wszystkie za i przeciw – zaczął. – Naradziłem się ze współpracownikami i postanowiłem wypuścić cię na wolność. Oczywiście, jeśli chcesz od nas odejść.

– Moja odpowiedź chyba jest zbędna. Dostanę kopniaka na szczęście?

– Nie sądzę, aby to zmieniło twoje położenie – szczerzył się pułkownik. – Zabieraj klamoty i wynoś się.

Bez słowa chwyciłem torbę i dałem nura w furtkę, jakby bojąc się, że zaraz zniknie. Za moimi plecami łupnęły rygle, a ja odetchnąłem z ulgą, by za chwilę pożałować pochopnej decyzji o opuszczeniu Zakładu Karnego. Jakieś sto metrów przede mną stała postać w szarym płaszczu i masce p-gaz. W jej ręce dostrzegłem taser. Nieco dalej stali Hycle pilnujący grupki złapanych ludzi.

– Oni chyba przyszli po ciebie – zachichotał naczelnik wyglądający przez judasza. – Czekają od rana. Nie miałem serca trzymać ich dłużej w tym upale.

Gdybym mógł, splunąłbym skurwielowi prosto w twarz, ale nie mogłem, bo judasz zatrzasnął się, kiedy zacząłem obracać głowę. Pobieżnie zlustrowałem rumowiska, łudząc się, że Kusa mimo wszystko została na swoim posterunku, po czym ruszyłem w stronę czekającego Łapiducha. Zatrzymałem się jakieś dziesięć metrów przed tą nierealną, przyprawiającą o dreszcz postacią, torbę rzuciłem obok i złożyłem ręce na piersi. Łapiduch wyciągnął paluch zabezpieczony gumowaną rękawicą i wskazał mój bagaż, po czym dotknął własnego płaszcza i kombinezonu.

– Że niby mam się w to wystroić? – zapytałem. – Czy wy w ogóle umiecie mówić?

Nie doczekałem się odpowiedzi, więc, chcąc nie chcąc, zacząłem wydobywać przedpotopowy strój z torby. Łapiduch nie ponaglał, spokojnie obserwował. Hycle zastygli w bezruchu i nawet złapani przez nich ludzie zdawali się czekać na jakiś znak. Wyglądało na to, że oni wszyscy mieli mnóstwo czasu. Zastanawiało mnie, czy ci przebierańcy mogliby tak stać do końca świata, gdyby zaszła taka potrzeba. Kiedy ubrałem płaszcz, Łapiduch dotknął swojej maski p-gaz i skinął głową. W tym momencie wyobraziłem sobie jego matkę wykonującą najstarszy zawód świata, ale naciągnąłem tę przeklętą gumę na głowę. Do jednej z kieszeni płaszcza wetknąłem latarkę, której jakimś cudem nie zwędzono mi w więzieniu i spojrzałem w brudne okulary maski Łapiducha. Wtedy całe towarzystwo jak na komendę odwróciło się i ruszyło w drogę.

Ta popieprzona pielgrzymka podążała na północny zachód, cały czas trzymając się starych, lokalnych dróg. Mijaliśmy wymarłe wsie, puste osiedla i splądrowane bloki, w których od lat nie stanęła ludzka stopa. Byłem pewien, że szabrownicy nie

zapuszczali się w te rejony z tych samych powodów, z których ostatni mieszkańcy opuścili swoje domy. Powodem byli moi nowi koledzy, za którymi usiłowałem nadążyć. Nie byli specjalnie szybcy – to nie to. W marszu piekielnie przeszkadzał ich strój OP-1. Płaszcz nawet mi się spodobał, miał pełno wewnętrznych kieszeni, no i był nieprzemakalny. Za to ta przeklęta maska p-gaz, przypominająca głowę słonia, była potrzebna jak dziwka na procesji i zachodziłem w głowę, po jakiego grzyba Łapiduchy noszą te stroje. Poradziłem sobie jakoś, wkładając pod gumę maski mały kamień. Przez powstałą w ten sposób szczelinę wpadało trochę powietrza. Na szczęście Hycle ciągnęli za sobą kilku złapanych, którzy skutecznie opóźniali wędrówkę. Gdyby nie oni, musiałbym się sprężać, bo Łapiduch na zmęczonego nie wyglądał. Gdy któryś z pojmanych upadał, dwaj inni musieli go nieść. Jeśli nie chcieli lub nie dali rady, dostawali teleskopową pałką w nerki i nagle nabierali chęci oraz rozumu. Takie postępowanie Hycli świadczyło o tym, że każdy żywy człowiek jest dla nich bezcenny i pilnie potrzebny.

Próbowałem ich rozgryźć. Poruszając się pieszo, starałbym się dotrzeć przed zmrokiem do jakiegoś schronienia, chyba że czułbym się zupełnie bezpiecznie. Innymi słowy to ja musiałbym stać na szczycie piramidy pokarmowej. Łapiduchy najwyraźniej nie przejmowały się tak prozaicznymi sprawami jak zachód słońca i wzrastające prawdopodobieństwo pożarcia przez Strzygi czy wyssania przez Wąpierze. Tym bardziej, że po drodze mijaliśmy wiele miejsc, w których te potwory miały zwyczaj przesypiać dzień.

Pierwsze od czasu wyjścia z miasta opustoszałe zabudowania osiągnęliśmy ładnych kilka godzin po zachodzie słońca. Całe szczęście, że latarka działała i dawała trochę światła. Błądzenie po omacku i deptanie po piętach Łapiduchowi nie należały do przyjemności. Maszerowaliśmy pogrążonymi w ciszy uliczkami i nigdzie nie dostrzegłem nawet słabej poświaty bijącej z zabitego deskami okna czy szczeliny w murze. Nasza pielgrzymka przemierzyła wymarłe miasteczko, docierając w końcu do wielkiej bramy z wyblakłym napisem „Szpital Psychiatryczny w Choroszczy”. Coś mi mówiło, że atrakcje tej nocy dopiero się zaczynają.

Nie myliłem się. Hycle popędzili swoich jeńców główną aleją, prosto w objęcia czegoś nieznanego, skrytego w ciemności. Ja deptałem po piętach Łapiduchowi, który pewnie przemierzał szpitalne alejki, prowadząc mnie wprost do starego, może jeszcze dziewiętnastowiecznego budynku. Zaskrzypiały dawno niesmarowane zawiasy, ciemność pogłębiła się. Latarka dawała coraz mniej światła i postanowiłem jednak zaryzykować zdjęcie maski. Błąd. Wolałbym mieć ją na sobie, wolałbym, żeby latarka zgasła, zanim weszliśmy do dużego pomieszczenia, w którym śmierdziało jak w rzeźni. Każdy wolny skrawek podłogi zajmowali ludzie lub raczej ludzkie wraki kiwające się

w rytm niesłyszalnej melodii. Jedni siedzieli nago, umazani własnymi odchodami, inni nieustannie czegoś szukali w zwałach śmieci, niektórzy tkwili całkowicie nieruchomo, zastygli w nienaturalnych pozach. Widziałem wiele bestialstw i wynaturzeń, ale ten obraz sprawił, że moim żołądkiem targnęła fala wymiocin. Te stworzenia właściwie mnie nie przerażały, ale ich nieludzkie zachowanie budziło we mnie jakiś pierwotny lęk. Miarka się przebrała, kiedy dostrzegłem jednego z pensjonariuszy zjadającego własną rękę. Odwróciłem się na pięcie, zasłaniając przedramieniem usta i puściłem się biegiem do wyjścia.

W drzwiach nagle pojawił się wielki jak góra mężczyzna, ubrany w czepek pielęgniarza i poplamiony krwią, porwany podkoszulek. Machnął pulchną łapą, ale zdołałem się uchylić, jednocześnie nabijając się na jego drugą rękę. To uderzenie nie mogło mnie znokautować, a co najwyżej pozbawić tchu. Najbardziej zabolała mnie duma, bo pielęgniarz załatwił mnie klasycznym zwodem bokserskim. Tyle że pięściarze z reguły nie używają paralizatorów. A pielęgniarz miał jeden na wyposażeniu. I użył go w chwilę po tym, jak pacnąłem na podłogę tuż przed jego nogami.

Rozdział 10

Lobotomia i Panna w bieli

Jasnowłosa znów tam była. Stała nieruchomo między smukłymi drzewami, wyglądając wyjątkowo nierealnie. Zresztą… Przecież była tylko marzeniem sennym, zesłanym przez jakąś nieludzką siłę lub wytworem mojego udręczonego umysłu. Tym razem nic nie mąciło majestatu nieruchomych drzew, żaden szmer nie zakłócał nierzeczywistej, niemal przytłaczając ciszy. Wiedziałem, że za chwilę uderzy wiatr o sile huraganu. Zbyt często przeżywałem tę scenę, by wątpić w jej powtarzalność. Mimo to ruszyłem ku mojej Jasnowłosej, lękliwie zerkając na korony drzew, które jako pierwsze zwiastowały nadejście końca. Spodziewany scenariusz jednak nie nastąpił, najmniejszy powiew nie zaszemrał wśród liści, a ja bez przeszkód dotarłem do zwiewnej postaci. Kiedy dotknąłem jej dłoni i wyszeptałem imię, którego od tak dawna nie miałem odwagi wymówić, Jasnowłosa zaczęła się odwracać. Znów targnęła mną Wibracja, ale tym razem jej siła była niewyobrażalna. Poczułem się jak serce wielkiego dzwonu bijącego gdzieś wysoko, na katedralnej wieży.

W tym momencie ktoś wtargnął do mojego snu, depcząc i poniewierając moje świętości, wyłączając odbiór obrazów i wrzucając mnie z powrotem do rzeczywistości. Gwałtownie otworzyłem oczy i wbiłem wzrok w panujące dokoła ciemności. Może zostałem pogrzebany żywcem albo ktoś mnie oślepił. Z drugiej strony może nadal leżałem nieprzytomny pomiędzy czubkami robiącymi pod siebie i któryś z nich właśnie zaczynał obgryzać najsmaczniejsze części mojego ciała. W gardle uwięzło mi słowo „kurwa”, które jako pierwsze przyszło mi do głowy, i z całych sił napiąłem mięśnie rąk, wywołując jedynie bolesny skurcz bicepsa. Wydało mi się, że nie poruszyłem się nawet o milimetr, a jednak ból świadczył o tym, że jestem przytomny. Wibracja okazała się zwykłym biciem serca, które czułem wyraźnie w miejscach, gdzie pasy lub sznury

wrzynały się w tętnice i żyły.

– To na nic – usłyszałem dziewczęcy głos i poczułem jednocześnie coś na kształt mokrych i zimnych palców dotykających mojego czoła, jakby sondujących zawartość głowy.

– Co? Kto tu jest? – zapytałem z nadzieją.

– To tylko ja.

– Gdzie jesteś? Nie widzę cię.

– Niedaleko… Właściwie tuż obok ciebie.

– Nie mogę się poruszyć. Cholera, chyba mnie związali. Czy mogłabyś mi pomóc?

– Przykro mi. Wszyscy tutaj jesteśmy na swój sposób związani.

– Wszyscy? To znaczy, że jest was więcej?

– O tak – zaśmiała się dziewczyna. – Trochę nas tutaj żyje… Na przykład w tej sali jest dziesięć łóżek, ale tylko trzy mają swoich lokatorów.

– Ale ja chyba siedzę na jakimś fotelu.

– Konkretnie na wózku inwalidzkim. A na głowie masz takie coś… Taką maskę, którą zakładają niebezpiecznym… pacjentom. Żeby nie pogryźli innych albo ich nie zjedli.

– Nie wiesz przypadkiem, w jakim celu mnie tutaj trzymają?

– Zrobią ci wkłucie – westchnęła. – Tak jak nam wszystkim.

– Kurwa, jakie znów wkłucie?! – szarpnąłem się ponownie, wywołując jedynie kolejną falę bólu w bicepsie.

– Nie krzycz, bo On cię usłyszy. A jak cię usłyszy, to przyjdzie. Możesz ze mną rozmawiać za pomocą myśli.

– Myśli? – Nagle zdałem sobie sprawę, że głos dziewczyny rzeczywiście rozlega się w mojej głowie, a nie w pomieszczeniu.

– To proste. Musisz tylko spróbować.

– Ale jak… – sapnąłem, po czym zamknąłem usta i spróbowałem: – Czy tak?

– Dobrze, ale możesz myśleć ciszej. Tak jakbyś szeptał.

– Mam szeptać w myślach? Co to, jakiś kabaret?

– Nie, szpital dla umysłowo chorych.

– No tak. O tym nie pomyślałem.

– Już lepiej, ale myśl ciszej.

– Dobrze. Postaram się... myśleć ciszej. Wychodzi mi to z trudem, bo nagle zdałem sobie sprawę, że mam przesrane.

– Nie bardziej niż inni – zachichotała dziewczyna.

– Słuchaj – spróbowałem zmienić pozycję, ale pasy mocno trzymały. – O jakim wkłuciu mów… myślałaś?

– No… Biorą taka długa igłę i wbijają.

– Gdzie ją wbijają?

– Pod oko?

– Że co?!

– Znów zaczynasz krzyczeć. Pobudzisz wszystkich. A jedynie w snach możemy stąd uciec i poczuć wolność.

– Przepraszam – wziąłem głęboki wdech i powoli wypuściłem powietrze. – To gdzie wbijają tę igłę?

– No, pod gałkę oczną. To właściwie nie jest igła tylko taki długi szpikulec z rączką. Później, gdy on cały wejdzie w głowę, to zaczynają nim grzebać… tam w głowie…

– W mózgu?

– O właśnie.

– No to mam podwójnie przesrane. Ilu ich jest? Tych, co grzebią w mózgach.

– Jeden zabierze cię do takiej sali z lampami, a tam czeka kolejny w białym fartuchu. Są jeszcze tacy w maskach z rurą, ale tych widuje się rzadko. Najbardziej brutalni są ci, którzy łapią ludzi.

– Hycle – chyba mruknąłem w myślach. – A później? Co się dzieje później? Po wkłuciu?

– Nie pamiętam, co było zaraz potem… Na pewno nie czuje się strachu ani bólu. Nie czuje się już nic. No, ale można rozmawiać w myślach.

– Marne pocieszenie.

– No… Tak. Musimy też wykonywać różne zadania, które ci w maskach i płaszczach nam wyznaczają. Oni też potrafią porozumiewać się za pomocą myśli, ale są bardzo silni… mentalnie. Kiedy dotkną nas myślą, stajemy się tacy… bezwolni. Jakby oni nami sterowali.

– W takim razie mam przesrane potrójnie.

– Mylisz się – usłyszałem inny, męski głos. – Przesrane to łagodne określenie tego, co cię czeka. Ty masz przepierdolone na całej linii. Jeśli mogę cię pocieszyć, to wkłucie boli tylko trochę i to na początku. Kiedy już zrobią ci z mózgu kogel-mogel, odprężysz się, wypoczniesz. Będzie miło. Zobaczysz.

– Pierdolenie – warknąłem, o ile można to zrobić w myślach.

– O tej czynności zapomnij – zarechotał mężczyzna. – Nam zostaje świntuszenie na niby.

– Lobotomia – kolejny kobiecy głos dołączył się do dyskusji. – Oni stosują lobotomię, inaczej zwaną leukotomią. Jest to chirurgiczne przecięcie połączeń nerwowych płata czołowego z międzymózgowiem. Stosowane w chorobach…

– Co? – przerwałem. – Co tu się dzieje, do jasnej kurwy?

– Nie gadaj z nią – poinstruował mnie mężczyzna. – Ona kiedyś też nosiła biały kitel, ale ją wykolegowali.

– Bo nie zgadzałam się na to wszystko – niemal poczułem, jak kobieta wybuchła płaczem. – Jestem… Byłam lekarzem psychiatrą, jeszcze przed tym wszystkim.

– Byłaś pierdoloną morderczynią, ot co.

– Uspokójcie się, szkoda czasu na kłótnie – uciąłem ich pyskówkę.

– Chodzi o to, że my mamy mnóstwo czasu. A ty gdzieś się wybierasz? – parsknął mężczyzna.

– On idzie – pomyślała cicho dziewczyna, ale i tak wszyscy ją usłyszeli.

Ja usłyszałem coś jeszcze. Łupnięcia ciężkich, podkutych butów należących zapewne do pielęgniarza i brzęk pęku kluczy. Jeden z nich właśnie zaczął się obracać w zamku, skrzypnęły zawiasy, a smuga światła padła wprost na mnie, przebijając przez szczeliny w tym czymś na mojej głowie. Ktoś szarpnął wózkiem, który zakręcił się wokół własnej osi i z całej siły pchnął tę wiekową konstrukcję. Zanim drzwi zatrząsnęły się za moimi plecami, usłyszałem jeszcze myśl dziewczyny.

– No to teraz naprawdę masz przesrane…

* * *

Krzywe kółka trzęsące niemiłosiernie wózkiem skrzypiały monotonnie, a jedyną odmianą w tym koncercie były nieregularne sapnięcia mojego opiekuna. Kiedy sanitariusz wiózł mnie korytarzami tej świątyni obłąkanych, rozważałem swoje nowe doświadczenie z porozumiewaniem się w myślach. Jednak mi się to nie podobało. Piszczące koła wózka w końcu umilkły, śmierdzący, gówniany ochraniacz zniknął z mojej głowy, a ja zacząłem się zastanawiać, co będę mógł wbić w łeb sanitariusza zaraz po uwolnieniu się z kaftana i pasów. Zamknąłem na moment oczy, by przyzwyczaić je do zmiany jasności otoczenia, po czym uchyliłem powieki i przez małe szparki zlustrowałem miejsce, w którym się znalazłem. Na hotel mi to nie wyglądało.

Ostre, wschodzące słońce z trudem przebijało się przez brudne szyby pomieszczenia będącego pewnie kiedyś salą operacyjną. Od dawna martwa lampa zabiegowa pochylała się nade mną niczym zrozpaczona matka nad zwłokami swego dziecka. Charakterystyczne metalowe szafki straszyły pustymi półkami, a białe niegdyś ściany wydawały się pokryte ciemnymi plamami przypominającymi krew. Jedynie niewielki stolik narzędziowy wypełniony był po brzegi rozmaitym żelastwem, wcale nieprzypominającym instrumentów chirurgicznych. Pośród całego tego bajzlu stał wielki, spasiony sanitariusz o twarzy głupka. Gapił się na mnie beznamiętnie i najwyraźniej czekał na coś lub na kogoś. W jego pulchnej dłoni dostrzegłem paralizator i nagle zaswędział mnie kark. Teraz już wiedziałem, kto zaskoczył mnie

w sali odwiedzin.

– Skurwiel – mruknąłem, ale pielęgniarz nie zareagował.

Próbowałem splunąć mu pod nogi, gdy nagle paralizator ożył. Grubas zrobił krok w moją stronę, ale zatrzymał się na dźwięk otwieranych drzwi. Pojawił się w nich najprawdziwszy lekarz, ubrany od stóp do głów w charakterystyczny strój operacyjny.

– Wystarczy – powiedział, a pielęgniarz schował paralizator do kieszeni fartucha i zniknął z pola widzenia.

– Po pierwsze boli mnie kark – powiedziałem. – I czuję się, jakby kopnął mnie prąd.

– Zamknij się albo obetnę ci język. Zresztą i tak to zrobię – uśmiechnął się lekarz i naciągnął na twarz maskę. – Trochę później. A ty przytrzymaj go. Tylko nie skręć mu karku.

Pielęgniarz, który nagle znalazł się za moimi plecami, chwycił moją głowę i odciągnął do tyłu, aż krawędź oparcia wbiła mi się boleśnie w potylicę. W ręku lekarza zabłysło długie narzędzie, wyglądające bardziej jak jakiś szpikulec niż precyzyjne narzędzie chirurgiczne. Na jego końcu zatańczył złowrogo promień słońca, a ja głośno przełknąłem ślinę. Unieruchamiające mnie pasy zatrzeszczały, kiedy napiąłem wszystkie mięśnie, a czubek szpikulca urósł i zatrzymał się tuż przed moim okiem. Doskonale widziałem pokrywającą jego powierzchnię zaschniętą krew. Bezlitosne palce rozwarły moją powiekę, potem drugą i znieruchomiały. Lekarz przez moment przyglądał się mojej gałce ocznej, jakby zastanawiając się, gdzie wbić swoje narzędzie, po czym zerknął na pielęgniarza.

– Odwróć go w kierunku okna. Muszę mieć więcej światła.

Grubas skrzętnie wykonał polecenie, a konował ponownie zaczął gmerać paluchami to w jednym, to w drugim moim oku. Jego maska wybrzuszała się podczas każdego jego wydechu, a czoło pokryły krople potu. W końcu wyprostował się i spojrzał na coś za oknem. Odłożył szpikulec i w jego dłoni pojawiła się strzykawka.

– Co to za gówno – szarpnąłem się, ale pielęgniarz trzymał mnie mocno.

– Hydroksyzyna. Odpoczniesz, uspokoisz się…

– Wsadź mi już to gówno w oko, ty pierdolony dewiancie! – zaryczałem. – No dalej, zrób to. Potrafisz tylko znęcać się nad ludźmi? Podnieca cię to czy jak? Masz erekcję? Przyznaj się.

Lekarz szybkim ruchem wbił igłę w moje ramię i nacisnął tłoczek.

– Heterochromia iridum – wymruczał jak jakieś zaklęcie. – Różnobarwność tęczówek. Ty jesteś przeznaczony do innych celów – powiedział, przyglądając się pustej już strzykawce. – Przynajmniej na razie. Muszę się jeszcze skonsultować…

– Więc jest tutaj więcej takich jak ty? Całe kolegium czubków?

– Śpij – odpowiedział i klepnął mnie w policzek. – A ty możesz go puścić i wrócić do

swoich zajęć. On już nam nie ucieknie, prawda?

Nie odpowiedziałem. Hydroksyzyna, prawdopodobnie podana w końskim stężeniu, zaczęła działać szybko i skutecznie. Nie pozostawało mi nic innego, jak poddać się związkom chemicznym, które zaczęły szaleńczo buszować w moim organizmie. Zacząłem nawet zastanawiać się, czy i kiedy będę miał halucynacje, gdy dojrzałem dwa cienkie odnóża, dotykające mojego kolana. Na początku nieśmiało, jakby badając grunt, niemal przezroczyste nóżki błądziły po materiale spodni, by po chwili wczepić się w nie mocniej i podciągnąć cały tułów swojego właściciela.

Pająki mocno się zmieniły po Rozbłysku. Domowe kątniki są obecnie wielkości dłoni dorosłego mężczyzny, a krzyżaki nieco większe do królików. Niezależnie od gatunku, pająki zawsze wywoływały we mnie jakiś pierwotny lęk. Nie obrzydzenie czy zwykły namacalny strach, ale właśnie lęk. Pół biedy, kiedy się pająka widzi. Gorzej, gdy zniknie nam z oczu. Jak to mówią, lepiej mieć strzygę na kolanach niż pająka na dupie... Tym razem to powiedzonko raczej mnie nie ubawiło. Mój nowy znajomy bardzo przypominał nasosznika lub kosarza, tyle że był jakieś dziesięć razy większy. Rdzawo, brązowy tułów kołyszący się na cieniutkich odnóżach i te gapiące się na mnie ślepka sprawiły, że po moich plecach przebiegł dreszcz. Zawsze mogłem spróbować przegryźć brzydala, gdyby zdecydował się wejść mi na twarz. Pająk najwyraźniej odgadł moje zamiary, bo zrobił to, czego się obawiałem – poszedł sobie. Zlazł z mojej nogi i zniknął. Zacząłem nerwowo kręcić głową i wybałuszać oczy, kiedy zdałem sobie sprawę, że pająk mógł być tylko wytworem związków chemicznych, które zaatakowały mój mózg. Skląłem sam siebie i pozwoliłem, by głowa opadła na oparcie wózka. Mięśnie szyi zaczęły już mnie boleć od nienaturalnych ruchów, które usiłowałem wykonywać, szukając pajęczaka. Niestety moje przypuszczenia co do halucynogennych właściwości hydroksyzyny okazały się nic nie warte, bo znane mi już przezroczyste odnóże właśnie pacnęło mnie w czoło. Nie ruszając głową, skierowałem oczy do góry i ujrzałem nieruchome ślepia pająka. Dmuchnąłem na niego, ale ten tylko uniósł jedną z nóg, jakby grożąc mi wbiciem jej w oczodół. Zresztą chyba to chciał zrobić od początku, bo kolejne dwa cieniutkie odnóża chwyciły mnie za powieki i odciągnęły jedną w górę, a drugą na dół. Pozbawione ochrony oko zaczęło mnie piec i przestałem już zachodzić w głowę, dlaczego nikt nie reaguje na moje wrzaski. Z suchego jak pieprz gardła prawdopodobnie i tak nie wydobywał się żaden dźwięk, a wzniesione pajęcze odnóże właśnie drgnęło i zaczęło opadać, opadać, opadać…

Sala zabiegowa odpłynęła, gdy parzące, mikroskopijne włoski odnóża dotknęły mojej twardówki. Widziałem tylko ciemność, która wciskała się wszystkimi porami mojego ciała, wypełniała nozdrza, usta i płuca. Stałem się nią i czułem jej nieskończoność, jej potęgę, która była też moją potęgą. Rosłem, rozpływałem się w całą galaktykę i czułem

wielką moc. Nagle ktoś ponownie rozwarł moją powiekę i zaświecił mi w oko latarką.

– Co to, kurwa, ma być? – usłyszałem.

* * *

Pułkownik Cierń był zdziwiony. Jego nieskończenie gładkie czoło uniosło się i przecięły je trzy poziome zmarszczki. Przekrwione oczy, które świeciły w umazanej czernidłem twarzy, przyglądały mi się z uwagą.

– Możesz to zgasić? – warknąłem. – Jest dzień. I rozwiąż mnie do jasnej cholery.

– Nad tym jeszcze się zastanowię – wycedził, ale schował latarkę. – Co ty właściwie tutaj robisz?

– Mógłbym ci zadać to samo pytanie.

– Jeśli chcesz się bawić w ciuciubabkę, to ja i moi ludzie zaraz stąd znikamy. Bez ciebie rzecz jasna.

– Na pierwszej linii o mało nie zżarła mnie jedna z bestii. To, czy mnie zostawisz, czy nie…

– Szczerze mówiąc, byłem pewien, że tak właśnie się stało – zauważył Cierń. – Ludzie z pierwszej linii przeważnie kończą w żołądkach mutantów. Ty miałeś mniej szczęścia, dostając się w ręce tych tutaj...

– Pieprzenie – przerwałem mu. – Przyznaj, że od początku wiedziałeś o istnieniu tego miejsca. Maksymilian i Białe Miasto było ci potrzebne do własnych celów. Pytanie brzmi: do jakich?

Żelazne palce Ciernia zacisnęły się na mojej szyi, a jego nieświeży oddech sprawił, że zastygłem w bezdechu.

– Wydaje ci się, że coś wiesz? – wycedził. – Jesteś tylko małym, nędznym człowieczkiem, którego życie w tej chwili należy do mnie. Wystarczy że zacisnę palce i zmiażdżę twoją krtań. Tak samo ulotna jest władza króla squatów z Białego Miasta. Nie zamykaj oczu, patrz na mnie! Patrz, mówię!

Na twarzy czułem kropelki jego śliny, a moje powieki same się rozwarły, gdy z coraz większym trudem próbowałem wciągnąć powietrze. Pary naszych oczu spotkały się po raz pierwszy, bo od początku tej niemiłej znajomości jedno oko miałem opuchnięte.

– A kiedy ja mówię… – zawahał się na moment, a ucisk na mojej szyi zelżał. – Co?... Co ty masz z oczami? Są... – wybąkał i zdjął dłoń z mojej szyi.

Czyżby aż tak zdziwiły go moje różnobarwne tęczówki? Nie mógł wcześniej dostrzec tej anomalii, ale też z drugiej strony, dlaczego to miałoby mieć jakiekolwiek znaczenie? Nie bardzo rozumiałem, co się dzieje.

– Rozwiążcie go – zakomenderował Cierń i odsunął się.

– Jak to? – zaprotestował jeden z Czarnych.

Cierń tylko rzucił gniewne spojrzenie w jego kierunku i komandos skrzętnie zajął się rozpinaniem klamer w krępujących mnie pasach. Rozruszałem trochę zdrętwiałe kończyny, rozejrzałem się po pomieszczeniu i powiedziałem, wskazując jedne z drzwi:

– Lekarz poszedł tam. Bo chyba jego szukacie.

Pułkownik wyciągnął z kabury pistolet HK MK23, a jego ludzie mocniej chwycili swoje wyciszone wersje MP5 i włączyli oświetlenie taktyczne. Jeden otworzył drzwi, drugi sprawdził i ruszył do przodu. W czasie krótszym niż mrugnięcie powieki pozostali zniknęli w korytarzu, szybko i sprawnie.

– Oczekujesz specjalnego zaproszenia? – warknął Cierń i ruszył za swoimi podwładnymi.

Poszedłem za nim, po drodze zwijając błyszczący młotek, służący chyba do badań neurologicznych. Na niewiele by mi się przydał w konfrontacji ze spasionym pielęgniarzem, ale w tej chwili nie miałem pod ręką nic innego. Nie mogłem też liczyć na to, że któryś z komandosów pożyczy mi swój karabinek, więc machnąłem na próbę narzędziem i wkroczyłem do mrocznego korytarza. Komandosi dotarli już do kolejnego pomieszczenia i dwóch wpadło do środka, omiatając lufami pokoik zastawiony starymi szafkami i ramami łóżek. Któryś rzucił „czysto” i rozpoczął sprawdzanie następnej sali. Usłyszałem dwa głuche szczęknięcia i czyjeś bezwładne ciało zwaliło się z łomotem na posadzkę. Cierń wparował do środka, a ja, depcząc mu po piętach, niemal wlazłem na zwłoki w kombinezonie OP-1. Łapiduch dostał dwie kulki: między oczy i w pierś. Nie mógł tego przeżyć.

– Co to jest? – pułkownik dopiero teraz dostrzegł młotek w mojej dłoni.

– Na szczury – wzruszyłem ramionami. – Tutaj wszędzie są szczury. Słyszałem je w nocy. Te bydlaki podobno są wielkie jak psy i grasują w kanałach wentylacyjnych – wskazałem na metalowy wyciąg pod sufitem.

– Duże czy małe – jeden z komandosów potrząsnął karabinkiem – zdychają tak samo.

– Dość gadania! – rozkazał Cierń. – A ty od tej pory idziesz przede mną. I bez sztuczek.

– Czy ja wyglądam na magika?

– Ruszaj się!

– Nie wiesz, co właściwie stało się z moim Waltherem? Zniknął po tym, jak twoi chłopcy zajęli się mną w Squacie Czerwonych Latarni.

– Posiadanie broni przez osoby cywilne jest niewskazane. Zwłaszcza w Białym Mieście.

– Myślę, że mieszkańcy wolnych squatów mają inne zdanie.

– Nie interesuje mnie to – odpowiedział zimno pułkownik, poganiając mnie. –

Niedługo zajmiemy się także kwestią tej dziczy. I przestań gadać!

Odwróciłem się, by posłać mu uśmiech...

– Łapiduch za tobą – syknąłem.

Widziałem wielu szybkich ludzi. W tych czasach w ogóle należało się sprężać. Pułkownik pobił jednak wszystkie rekordy w wykonywaniu obrotu o 180 stopni i oddawaniu strzału z biodra. Należy przy tym zaznaczyć, że trafił Łapiducha prosto w okular maski p-gaz.

– Niezłe oko – przyznałem.

– Idziemy dalej.

– Mamy klatkę schodową – poinformował jeden z komandosów. – Góra i dół.

– Trzech na dół, my na górę – zakomenderował Cierń.

– Ja tam bym się nie rozdzielał – mruknąłem do siebie. Nie ja tu dowodziłem.

Piętro wyżej znaleźliśmy solidnie zaryglowane metalowe drzwi zaopatrzone w tabliczkę z napisem „Oddział psychiatrii sądowej o wzmocnionym zabezpieczeniu". W ścianę obok wmurowano metalowe obręcze, pełniące funkcję drabinki prowadzącej do włazu w suficie. Dwaj komandosi spojrzeli po sobie, a następnie wlepili niepewny wzrok w dowódcę. Pułkownik wskazał palcem w górę i postawił stopę na zardzewiałym stopniu. W tym momencie usłyszeliśmy strzały. Żołnierze, nie czekając na rozkaz, rzucili się na dół, a któryś pociągnął za spust, widząc przebierańca w OP-1 walącego prosto na nich. Trafił i Hycel pacnął na schody, skutecznie blokując zejście. W jego miejsce pojawił się kolejny, z tasakiem w ręku. Obok mojej głowy zagrzmiał Heckler & Koch Ciernia, ale następne postacie w maskach p-gaz już szturmowały na komandosów.

– Na górę – wrzasnął mi w ucho pułkownik i pociągnął mnie za rękaw.

Pierwszy dopadł drabinki, wycelował w ciężką kłódkę zamykającą właz i pociągnął za spust. Zardzewiały szmelc grzmotnął o posadzkę, a ja poszedłem w ślady Ciernia i szybko wdrapałem się po skorodowanych stopniach.

– Trzeba zablokować właz – pułkownik zamknął za mną klapę.

– A twoi ludzie?

– Ryzyko zawodowe – oświadczył i rozejrzał się po strychu.

Też się rozejrzałem. Nie było tam nic, co by się nadawało do przygniecenia włazu.

– Może po prostu damy nogę – wskazałem jasną plamę nieba widoczną w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się ściana frontowa budynku.

– Szlag – mruknął Cierń, spoglądając na dziurawą i niezbyt pewną podłogę.

– Co to, boimy się spaść wprost w ramiona krwiożerczych czubków na oddziale sądowym? – zadrwiłem.

– Lepiej nie skręcić karku. To wszystko.

– Jasne – mruknąłem i ruszyłem za nim po trzeszczących deskach.

Starannie omijaliśmy dziury w podłodze. Nie groziło nam, że spadniemy, ale noga mogła utkwić w jakiejś wyrwie. Nie chciałbym, żeby ktoś lub coś złapało mnie za stopę i wciągnęło piętro niżej, wprost do jednej z tych przerażających cel. Nie wierzyłem w śmierć lokatorów tego internatu, tym bardziej, że czasami życie przemienia się w straszną formę egzystencji.

– Można zejść po tym rumowisku – poinformował pułkownik, który już dotarł do końca strychu. – Ściana frontowa całkiem się zawaliła.

Dołączyłem do niego i spojrzałem z góry na okolicę.

– A co to jest? – wskazałem na budowlę przypominającą niewielki pałacyk, widoczną jakieś dwieście metrów dalej.

Budynek wyglądał na nieźle zachowany, dostrzegłem nawet szyby w oknach. Otaczały go wyschnięte, symetrycznie wykonane kanały i większe oczka wodne. Dalej rozciągał się park z celującymi w niebo, wysmukłymi drzewami…

– Zaczekaj! – krzyknął Cierń, ale ja już pędziłem na złamanie karku po gruzowisku.

Przesadziłem rów i obiegłem pałacyk. Drogę do parku zagrodził mi spasiony pielęgniarz o twarzy głupka, mój dobry znajomy z sali operacyjnej, który wyrósł jak spod ziemi. Ruszył wprost na mnie, raz po raz naciskając spust paralizatora. Pojawił się tak szybko, że nie zdołałem się zatrzymać. Wpadłem na niego z całym impetem, starając się jedynie uniknąć spotkania z niebieskim łukiem elektrycznym. Siła zderzenia odrzuciła mnie w bok, wprost do wyschniętego kanału. Gdzieś z tyłu dobiegł mnie huk wystrzału i tułów grubasa ozdobiła nieregularna plama krwi. Dwa kolejne pociski z nieprzyjemnym „chluuup” wbiły się w jego ciało, następny trafił w skroń. Mimo to spaślak szedł dalej wprost na mnie. Piąty i szósty wystrzał pułkownika trafił dokładnie w łysy łeb piekielnego pielęgniarza. Tłuste cielsko zatrzymało się tuż przed krawędzią rowu i runęło w dół. Zdążyłem się przetoczyć, gdy sto kilkadziesiąt kilogramów martwego już ciała wbiło się w piach w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą leżałem. Nie przyglądałem mu się dłużej, bo już gramoliłem się na drugi brzeg wyschniętego kanału.

– Co za ścierwo! – usłyszałem za sobą Ciernia.

Pobiegłem dalej w kierunku wysmukłych drzew.

Poczułem Wibrację. Była mocniejsza niż to, czego doświadczałem w snach, niemal wyrwała mi grunt spod nóg. Zatoczyłem się i całym ciężarem ciała wsparłem o jedno z wysmukłych drzew, w ustach poczułem smak wymiocin. Dostrzegłem Ją. Stała na końcu długiej alei wyznaczonej przez szpaler drzew, Jasnowłosa, obleczona w białą, zwiewną suknię podobną bardziej do pajęczego oplotu. Wibracja wzrosła, sprawiła, że ziemia zadrżała, a dokoła zawirowały liście spadające z koron.

– Stój! – wrzasnął pułkownik, ale nie słuchałem go.

Opadłem na kolana i ruszyłem ku mojej Jasnowłosej, wbijając palce w ściółkę, chwytając się korzeni i pełznąc, przedzierając się przez opór rozszalałego wiatru, który pojawił się dokładnie jak w snach – nagle, bez ostrzeżenia. Wiedziałem, że za chwilę przybierze na sile, by w końcu uderzyć z siłą huraganu, za chwilę świat eksploduje, zabierając mi ją, Jasnowłosą. Przyspieszyłem, próbując wstać, i wtedy zagrzmiał Heckler & Koch.

I wszystko zamarło.

* * *

Cisza i bezruch wydały mi się piękne i niebezpieczne zarazem. Wirujące liście i tumany piachu zamarły. Zawieszone w nicości kawałki kory rozsypały się w pył pod moim palcami. Resztką sił ominąłem zastygłe w miejscu powietrzne leje i wyciągałem do Niej rękę.

– Lena – szepnąłem.

Odwróciła się.

Nawet nie była podobna do Leny. Lena miała brązowe oczy i ciemnoblond włosy. Stojące przede mną stworzenie gapiło się na mnie różnokolorowymi tęczówkami. Jedno oko było niebieskie, drugie wpadało w zieleń. Jej włosy, okalające brudną twarz, miały lekko rudy odcień, chociaż pod warstwą kurzu trudno było dostrzec ich prawdziwy kolor, być może właśnie jasny blond. Brudaska mogła mieć tyle lat co ja, ale widoczny na jej twarzy obłęd i lata unikania wody i mydła zrobiły swoje. Podobna bardziej do dzikiego zwierzęcia kobieta wykrzywiła usta w czymś, co można by uznać za uśmiech.

– Mylisz się – usłyszałem w głowie jej myśl. – Nie jestem nią.

– Ale to ty zsyłałaś na mnie te sny. Oszukałaś mnie!

– Nie. Widziałeś to, co chciałeś widzieć. Właśnie ją.

– Po co te sny?

– Szukałam cię. Przez wiele lat cię szukałam. I odnalazłam cię. I sprowadziłam cię tutaj.

– Jasne!

Poczułem się rozczarowany. Może i to Coś szukało mnie, ale ja szukałem Leny. Całą mistykę tego snu trafił szlag. Zostało tylko uczucie lekkości, jakbym nie miał ciała.

– Nie wierzysz mi? – wydęła wargi i rozłożyła ręce. – To wszystko stworzyłam dla ciebie. Dla nas. W końcu będziemy razem, w naszym własnym świecie.

– Ciekawa propozycja! – powiedziałem, a właściwie pomyślałem. Znowu

rozmawiałem z kimś w myślach. Jednak to dziwne uczucie. I pomyślałem do niej: – Może ją rozważę.

– Obawiam się… – jakiś tik przebiegł po jej twarzy. – Obawiam się, że nie masz innego wyjścia. To jest jedyne miejsce, które przetrwa.

– Przetrwa co?

– Koniec świata.

– Muszę cię zmartwić. Apokalipsa nastąpiła jakieś dwadzieścia lat temu – uśmiechnąłem się gorzko. – Twoje informacje są trochę… przeterminowane.

– Niczego nie rozumiesz. Nie mogę dopuścić, by to stało się ponownie. Lepiej już zniszczyć… wszystko.

– Dobra! – postanowiłem zakończyć te wygłupy. – Nie będę ukrywał, że spodziewałem się czegoś innego po tym śnie. Na pewno nie zidiociałej wariatki. Pomyliłem się, trudno. Będę spadał.

– Lena! – jej myśli przeszły w nienawistny charkot. – Zawsze myślałeś tylko o tej dziwce. Czułam to od dawna, ale byłam pewna, że zagłuszę to beznadziejne uczucie.

– Ona nie jest dziwką – odparłem spokojnie. – Nie jestem pewien, jaki status mam nadać tobie.

– Ty niczego nie pamiętasz, prawda? Wiesz, jak wyglądał twój dom rodzinny? Możesz przywołać obraz swojego ojca i matki?

– Oczywiście – parsknąłem.

– Zrób to. Pomyśl o nich.

Mimo woli wyobraziłem sobie Dziaduszkę i Babuszkę w naszym leśnym schronieniu. Kiedyś i teraz.

– I to niby mają być twoi rodzice? – wybuchnęła śmiechem dziewczyna. – Ten pomarszczony dziad i stara baba? O! Poczułam uderzenie twojej nienawiści! Nienawidzisz mnie. Czytam w twoim umyśle jak w otwartej księdze. Chciałbyś mnie uderzyć. Nieprawdaż?

– Prawdaż – mruknąłem – ale nie biję czubków. Może i są wśród was geniusze, na których nie poznał się świat. W starych czasach mogłabyś zrobić karierę w wywiadzie, ale teraz…

– Tam jest jeden palant z wywiadu – wyciągnęła palec i wskazała Ciernia. – Przyszedł po mnie. Chce mnie wykorzystać do swoich celów, ale nie ma pojęcia o mojej mocy. Nie rozumie nawet, co się teraz dzieje, skąd te nagłe anomalie pogodowe. Chociaż to mądry facet. I przebiegły. W tej chwili zatrzymałam jego czas. On właśnie otwiera usta, by coś krzyknąć, ale zanim wypowie pierwsze słowo minie cała wieczność. Patrz, zrobię dla niego śnieg.

Grube, białe płatki zaczęły wirować wokół mnie, ale nie byłem specjalnie zdziwiony.

Wszystkie te sztuczki mogły wiązać się z jakimś promieniowaniem występującym w tym miejscu.

– Jedynym źródłem promieniowania tutaj jestem ja – pewnie powiedziała dziewczyna. – I ty.

– W porządku – zgodziłem się. – Może i czytasz w myślach. Ale to samo potrafią ludzie przywiązani do łóżek w szpitalu. Wystarczyło, że pewien gnojek w fartuchu zrobił im kuku szpikulcem.

– Głupcze! To ja mu rozkazuję. Potrzebujemy ludzi, którzy będą nas słuchać. Tylko w ten sposób zmienimy nasz świat.

– Najchętniej strzeliłbym ci w łeb. Jacy „my", do cholery?

– My – ja i ty. Nie możesz mnie zabić, bo tym samym zabiłbyś część siebie.

– Więc ty to ja? Jesteś lustrem? Muszę przyznać, że jak się bliżej przyjrzeć, to nawet jestem podobny, chociaż najlepiej nie wyglądam.

– Nic nie rozumiesz, nic nie pamiętasz – bardziej poczułem, niż usłyszałem jej autentyczną rozpacz. – Kama i Kamyk... Kamila i Kamil... – Wyraźnie słabła. – Jesteśmy bliźniętami.

– Co ty piep...

Przerwał mi narastający śpiew pocisku z HK pułkownika. Już zapominałem o tym dźwięku, który zamarł razem z czasem i teraz narodził się na nowo, przybierając na intensywności. Coś mną szarpnęło, coś ukłuło w bark. Włożyłem rękę pod płaszcz i poczułem wilgoć. Krwawa plama powiększała się, rozkwitała niczym kwiat śmierci. Dziewczyna na końcu alei osunęła się na ziemię jak samotny, zapomniany liść.

– Co ty zrobiłeś?! – usłyszałem nad sobą krzyk.

Przez uchylone powieki ujrzałem Ciernia z bronią w ręku, stojącego obok mężczyzny w brudnym fartuchu lekarskim, który pochylał się nade mną. Rozpoznałem w nim konowała, który nie tak dawno próbował grzebać szpikulcem w moim mózgu. Było mi wszystko jedno.

– On żyje – powiedział pułkownik. – Nic mu nie będzie. Mam dobre oko. Z takiej odległości nie chybiam. Zwłaszcza do nieruchomego celu. Sprawdź, co z nią.

– Jeśli ją zabiłeś…

– Nawet jej nie drasnąłem. Głupia cipa pewnie zemdlała z nadmiaru wrażeń. A ten dureń... Musiałem go zatrzymać.

– Nawet nie wiesz, co zrobiłeś – lekarz skrył twarz w dłoniach. – Ona ma wielką moc. A on…

– Właśnie po nią tutaj przyszedłem – przerwał mu Cierń i podniósł pistolet. – Okiełznamy dziewuchę, przyda się nowej władzy. On też. Ale ty nie.

Pojedynczy strzał brutalnie przeciął ciszę.

* * *

W ciągu ostatnich kilku tygodni zdecydowanie zbyt często dostawałem w łeb i zbyt długo leżałem w rowach, lochach, celach i szpitalnych mordowniach. Przeżyłem nawet draśnięcie pociskiem kaliber 7.62, ale – do cholery – nikt mi jeszcze nie strzelał w plecy. Nic nie czułem, wpadałem do długiej i mrocznej studni, na końcu której znajdowało się to światełko, o którym tak często opowiadał Dziaduszka. Tylko że to światełko mnie nie chciało. Dostałem kopa w dupę i wróciłem do własnego, parszywego ciała, by nadal gnić w towarzystwie popaprańców. Piekielny ból w barku nieco przygasł, stępiał. Mimo wszystko nie miałem odwagi poruszyć się choćby na milimetr. Przekręciłem głowę, usiłując dojrzeć ciało lekarza, ale targnęły mną pierwsze dreszcze. Pozostało mi jedynie beznamiętne gapienie się w niebo i oczekiwanie na przybycie kogoś lub czegoś…

Łapiduch pojawił się po kwadransie i zajrzał mi w oczy przez okulary swojej maski p-gaz. Gapił się przez chwilę, po czym wbił mi w ramię coś, co mogło być tylko igłą strzykawki, i dokonał niezdarnej iniekcji.

„Pieprzona pielęgniarka" – pomyślałem. „Ciekawe, co za gówno jest w tej strzykawce".

– Środek przeciwbólowy – odpowiedział mi w myślach Łapiduch.

– O w dupę. Kolejny mentalny dupek.

– Wybacz jeśli…

– Jeśli co?

– …zastrzyk cię zabolał.

– Jak to mówią: oko za oko, ząb za ząb. Czasy miłosierdzia już minęły. Znajdź mi jakąś broń, to pokażę ci siłę przebaczenia. I zdejmij tę pieprzoną maskę. Żadne promieniowanie nie wyrządzi wam krzywdy.

– Nie chodzi o promieniowanie... – zaczął, ale mu przerwałem:

– Słuchaj, ta porąbana dziewucha…

– Nie nazywaj jej tak. Ona dała nam nadzieję… Prawdę o tobie mówiła.

– Co takiego? Ciekawe... – Podparłem się łokciem i powoli przekręciłem na bok. Bark prawie mnie nie bolał, zaaplikowany środek musiał być silny. Czułem jedynie słabe mrowienie.

– Opowiadała, że kiedy przybędziesz, wszystko się zmieni. Całe bezprawie i okrucieństwo zniknie, świat ulegnie przemianie. A my wszyscy poniesiemy dobrą nowinę. Jest nas wielu, bardzo wielu.

– No, domyślam się. Wywołaliście niezły popłoch w squatach i Białym Mieście. To wam się udało – przyznałem.

Łapiduch nie odpowiedział, wyprostował się i zaczął węszyć. Nie za pomocą nosa, ale umysłu. Czułem jego myśl wysłaną gdzieś, na obrzeża szpitala, odbierającą obrazy i dźwięki widziane i słyszane przez inne istoty błąkające się po korytarzach czy alejkach. Odebrałem tę zbiorową myśl i ujrzałem Kusą czającą się koło bramy.

– Pochwycić ją – zakomenderował Łapiduch. – I wkłuć.

– Nie – chwyciłem go za gumowaną nogawkę – przyprowadźcie ją do mnie.

– Rozumiem. Tak się stanie.

– Ty… Wy wykonujecie moje polecenia?

– Oczywiście. Jesteście jednością, ty i twoja siostra.

– Ta porypana brudaska moją siostrą! Koszmar. Nie pamiętam swojej prawdziwej rodziny. Nie wiedziałem, że mam siostrę…

– Siostra bliźniaczka – podkreślił z naciskiem.

– Zdejmij maskę.

– Co?

– Zdejmij maskę. To rozkaz. No, zdejmuj, ale już.

Guma zeszła z jego głowy, wydając nieprzyjemne mlaśnięcie i smutne oczy spojrzały na mnie z potwornie okaleczonej twarzy.

– Słońce mnie rani, proszę, pozwól mi założyć ją z powrotem.

– Kto wam to zrobił?

– Musieliśmy… eksperymentowali na nas, byśmy zaczęli rozmawiać w myślach. To się chyba nazywa telepatia. Przeprowadzali straszne doświadczenia.

– Wiesz, kto to wszystko wymyślił?

– Nie. Ona już tutaj jest.

– Kusa!

Nie widziałem nadlatującego tasaka, wykonanego chałupniczo z kawałka resoru, ale usłyszałem dźwięk, jaki wydało ostrze, wbijając się z czaszkę Łapiducha. Krew bryznęła prosto na mnie i martwe ciało zwaliło się z cichym szelestem gumowego płaszcza.

– Hej – ostrzyżona na jeża głowa pojawiła się w polu mojego widzenia. – Wszystko w porządku?

– Jak cholera. Miło, że pytasz.

– Przed chwilą uratowałam ci życie. Ale nie dziękuj, nie trzeba.

– Mówił ci ktoś, że masz pustą głowę? Ten Łapiduch nie był jakoś szczególnie niebezpieczny.

– Taaa, jasne. I właśnie urządzaliście sobie przyjacielską pogawędkę.

– Coś w tym stylu. – Nie zamierzałem jej tego teraz tłumaczyć. Potrzebowałem jej pomocy, rzuciłem więc krótko: – Muszę wstać.

– No nie wiem – dziewczyna wymownie spojrzała na krew pokrywającą moją pierś.

– Nie gadaj tyle – wyciągnąłem rękę. – Pomóż.

Kusa niechętnie chwyciła mnie pod pachę i dźwignęła do góry. Mrowienie w barku nasiliło się, świat zawirował, ale stanąłem na nogach. Wsparłem się na wątłym, dziewczęcym ramieniu i wskazałem zabudowania szpitala.

– Tam idziemy. Pewna osoba musi mi odpowiedzieć na kilka pytań.

– Proponuję stąd znikać i to jak najszybciej. Tutaj aż roi się od Łapiduchów i Hycli.

– Tam, gdzie idziemy, na pewno będzie ich wielu. Ale musisz być dzielna. Nic nam nie zrobią.

Dziewczyna pokręciła głową z niedowierzaniem.

Podwójne drzwi zatrzeszczały i w nozdrza od razu uderzył zapach tego, co duzi chłopcy lubią najbardziej: konkretnej strzelaniny i krwi. Trupy Hycli leżały dosłownie wszędzie, poszatkowane seriami z MP5, a między nimi dostrzegłem niemal dokładnie wypatroszone ciało jednego z Czarnych. Na dwóch kolejnych komandosów natknęliśmy się na klatce schodowej, ostatnia dwójka spoczywała sobie wygodnie piętro wyżej, w miejscu, gdzie widziałem ich po raz ostatni. Całe towarzystwo miało rozbite czaszki.

– Gdzie teraz? – wyjęczała Kusa, usiłując powstrzymać falę wymiotów.

– Tym korytarzem w lewo. Po drodze będzie jeszcze Łapiduch z dziurą w czaszce, ale nim nie musisz się przejmować. Miniemy salę zabiegową i zatrzymamy się dopiero na oddziale dziennym, czy jak tam to będzie się nazywało. Aha, teraz pozbieraj broń Czarnych i sprawdź magazynki. Może zostało trochę amunicji.

– Mam ich… przeszukać?

– A masz coś lepszego do roboty?

Kusa rzucała przekleństwa, ale przetrząsnęła kieszenie trupów w czarnych uniformach. Znalazła pojedyncze naboje, dwa noże taktyczne, kompas, granat odłamkowy i starą paczkę tamponów.

– Co to jest? – z głupią miną oglądała zawartość jasnozielonego pudełeczka.

– Jak to co? Czy ty nigdy?… Co w takim razie sobie?… Nieważne – machnąłem zdrową ręką. – W przypadku postrzału można to sobie wsadzić w… ranę. Napęcznieje to to i zatamuje krwawienie. Ogólnie zadanie tych czopków polega na wchłanianiu krwi.

– O, to możemy zastosować na tobie – ucieszyła się.

– Dzięki, nie skorzystam. Bierz karabinki i spadamy.

Łapiduch leżał tam, gdzie dosięgnął go pocisk z pistoletu Ciernia, szpikulec do lodu połyskiwał złowieszczo w sali zabiegowej, a długi i ponury korytarz za nią przypomniał mi, że nie tak dawno przemierzałem go w przeciwnym kierunku jako pasażer rydwanu prowadzonego przez piekielnego pielęgniarza.

– Hej – wypuściłem myśl. – Gdzie jesteście?

– Tutaj – niemal natychmiast odpowiedział dziewczęcy głos. – Wróciłeś?

– To znaczy gdzie? Która sala.

– Ja… Nie wiem.

– Dziesięć – podpowiedziała lekarka.

– Dobrze się składa, że pani nie śpi – uśmiechnąłem się, wskazując Kusej drogę. – Musimy pogadać.

– O czym? – niemal poczułem drżenie jej myśli.

– O starych czasach – oznajmiłem, wchodząc do sali zastawionej łóżkami szpitalnymi wyposażonymi w pasy. Trójka pensjonariuszy leżała nieruchomo z otwartymi oczami. Nie byli skrępowani, bo więzy mentalne pętały ich skuteczniej niż wszystkie sznury świata.

– No dobra, doktorko – Kusa pomogła mi usiąść obok starszej kobiety z kołtunem brudnych włosów na głowie. – Żarty się skończyły. Gadaj, o co w tym wszystkim chodzi.

– Sądzisz, że dzięki tej wiedzy poczujesz się lepiej?

– Nie mędrkuj, bo poderżnę ci gardło. Naboi szkoda.

– Uwierz mi, czekam na śmierć każdego dnia. Ona byłaby dla nas wybawieniem.

– Mów za siebie – odezwał się mężczyzna leżący na łóżku pod oknem.

– Nie wtrącaj się – warknąłem. – A ty mów. O co chodzi z tym całym wkłuwaniem i telepatią.

– To doświadczenia – zaczęła wyjaśnienia lekarka. – Rządowe doświadczenia. Czy też raczej wojskowe, bo ludzie, którzy zaczęli to wszystko, byli mundurowymi. Po Rozbłysku zeszli do podziemnych kompleksów wybudowanych na czas wojny nuklearnej, która nigdy nie wybuchła.

– Nie oni, tylko wy. Nie chcesz mnie chyba przekonać, że nie opływałaś w luksusy przez dziesięć lat, w czasie których my żarliśmy przeterminowane ścierwo i trawę z doniczek, a ze swoich nor wychodziliśmy rzadko i tylko nocą.

– Nie mam zamiaru za nic przepraszać, jeśli o to ci chodzi. Elity zawsze muszą przetrwać…

– Ja wiem jedno: elitarne gówno śmierdzi tak samo jak zwykłe, ludzkie.

Lekarka milczała przez chwilę, ale i tak odbierałem szczątkowe wspomnienia jej umysłu, obrazy z przeszłości, które wyryły się w pamięci.

– Telepatia czy też konkretnie kontrola umysłów miała być bronią przyszłości. Badania trwały już w podziemnych laboratoriach, ale jakieś dziesięć lat temu, gdy ustąpiły skutki promieniowania gamma, postanowiono rozpocząć badania terenowe. Wybraną losowo grupę ludzi umieszczono właśnie tutaj, w tym starym szpitalu psychiatrycznym na końcu świata. I zaczęło się...

– Rozumiem, że ci wybrańcy zostali wylosowani na siłę.

– Jesteś inteligentniejszy niż Ona – przyznała lekarka.

– Ale Ona ostatecznie wydymała was wszystkich.

– Jej umysł… Miażdżył wszystko na swojej drodze. Jest ewenementem na skalę światową. I znaleźliśmy ją tutaj, błąkająca się bez celu, wygłodzoną i przerażoną. Początkowo zdiagnozowaliśmy u niej schizofrenię, później okazało się, że ona po prostu żyje w dwóch światach jednocześnie. Fizycznym i mentalnym. Słyszenie setek cudzych myśli musiało doprowadzić ją do choroby psychicznej. Od niej zaczęliśmy doświadczenia.

– Zrobiliście wkłucie, które wyeliminowało czynniki fizyczne, pozostawiając jedynie pełnię percepcji w świecie myśli.

– Nie, jej nie zrobiliśmy wkłucia. Nie było potrzebne. Ale tak, przypomnieliśmy sobie o lobotomii przemieniającej ludzi w warzywa. Ale istniała teoria, że dzięki temu rozwija się sfera psychiczna i parapsychiczna pacjenta… – przerwała na chwilę, jakby dla odpoczynku. – Wtedy umysł tej przeklętej dziewczyny nie był tak silny jak teraz, ale ona powoli i systematycznie bawiła się nami. Naszymi emocjami, wspomnieniami, snami… Zsyłała na nas sny, potworne wizje sprawiające, że każdego ranka budziliśmy się z krzykiem.

– I ostatecznie was wykończyła.

– Pewnego dnia uzbrojony personel otworzył ogień do naukowców i pacjentów. Kiedy zabili niemal wszystkich, skierowali lufy przeciw sobie. To była rzeź, fizyczna eliminacja spowodowana „pchnięciem” za pomocą myśli. Jej myśli.

– Psychiczny wpływ kończy się, kiedy osoba sterująca zaśnie. Mam rację?

– Tak.

– Stąd wziął się jej pomysł, by wkłuwać wszystkich złapanych ludzi. Nauczyła się tego od was. Warzywo uwolnione od mentalnego wpływu nadal pozostaje bezwolne. Genialne i chore zarazem.

Zaczynałem powoli rozumieć rolę pułkownika Ciernia, który od początku sprawiał wrażenie człowieka z wywiadu wojskowego. Widocznie formacja przetrwała lub odrodziła się w zmienionej formie, służąc jednak tym samym ludziom i strzegąc tych samych tajemnic. Teraz, kiedy obłąkana telepatka wpadła w ich ręce, sytuacja w kraju mogła się nieco zmienić. Wojskowa razwiedka potrafiła powoływać i obalać rządy, zmieniając scenę polityczną według upodobań i interesów pewnego ścisłego grona osób znanych z tego, że nie są nikomu bliżej znane. Dziaduszka często o tym mówił. I najwyraźniej miał rację. Struktury wywiadu przetrwały Rozbłysk, dziesięć lat zabójczego promieniowania i następne pięć wojny dzikich bestii, takich jak ja między innymi. Pewnie już im teraz nie na rękę ta wszechobecna anarchia i kombinują, jak to opanować. Brudaska rządząca umysłami to całkiem niezły sposób.

– Zobacz, jednak cię znalazła – nowa myśl przerwała moje rozważania. – Ona przez ten

cały czas miała rację. Jej brat bliźniak istnieje naprawdę.

– To zwykła, popierdolona dziewucha – odpowiedziałem ponuro. – Coś uroiło się w jej brudnej głowie. Zbieg okoliczności doprowadził nas wszystkich w to miejsce. Nie widzę w tym nic nadprzyrodzonego. Podobne brednie opowiadała mi niedawno pewna ślepa baba. Nie dałem jej wiary, dlaczego miałbym posłuchać ciebie?

– Może dlatego, że mnie słyszysz bez lobotomii, co? Może dlatego, że zobaczyłeś potęgę jej umysłu – zagrzmiała lekarka. – Umysłu, który może usmażyć ludzki mózg.

– Mój Walther mógł smażyć czupryny, ot co! – parsknąłem, wyciągając jeden z taktycznych noży, jakie Kusa znalazła przy Czarnych. – Mam nadzieję, że kiedyś go odzyskam. A teraz, skoro odpowiedziałaś wyczerpująco na moje wszystkie pytania, pozostaje mi jedynie…

Ostra klinga sprawnie przecięła gardło lekarki. Zaczęła się krztusić własną krwią. Jej czas na Ziemi właśnie zaczął się kończyć. Kusa rzygała w kącie, myśli pensjonariuszy atakowały mnie z każdej strony, żądląc boleśnie. Każdy z nich chciał żyć, choćby tylko jako nieruchoma marchewka. Nie mogłem na to pozwolić, a moje sumienie miało tutaj najmniej do powiedzenia. Powoli i systematycznie kuśtykałem od łóżka do łóżka, przecinając żyły i kończąc cierpienia tych biednych istnień. W przeciwieństwie do lekarki, której raczej nie darzyłem szacunkiem, zapewniłem im szybką śmierć.

Do przedsionka tego piekła, gdzie po raz pierwszy miałem wątpliwy zaszczyt spotkać spaślaka w czepku sanitariusza i całe stadko nieco mniej rozgarniętych pacjentów, wrzuciłem granat. Kusa w milczeniu przyglądała się moim poczynaniom, bo i co niby miała mówić? Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że wkrótce odezwą się lufy karabinów i ziemia znowu spłynie krwią.

Chwilę później straciłem przytomność.

Epilog

Na widok otwartej bramy i pustego wraku, w którym zwykle przesiadywał Dziaduszka, włączył się mój wewnętrzny alarm. Organizm zaczął wytwarzać adrenalinę i noradrenalinę, oddech stał się szybszy i głębszy, by dostarczyć do płuc więcej tlenu. Krew przyspieszyła, szpik kostny produkował więcej białych ciałek krwi, wszystkie zbędne funkcje organizmu zostały wyłączone.

Zdjąłem z ramienia zdobycznego MP5, odbezpieczyłem i dopadłem do zimnego muru, za którym kiedyś był mój dom. Jej dom. Okute żelazem drzwi wejściowe były teraz uchylone, gdzieś stukało otwarte okno. Na schodach poniewierały się jakieś śmieci, gwizdał wiatr. Biegłem prosto do Jej sypialni.

Ostrożnie zajrzałem do pokoju. Nie zmienił się ani trochę. Podszedłem do fotela, na którym spędziłem wiele bezsennych nocy, i usiadłem. Brzęknęła znajoma sprężyna, będąca źródłem bezgłośnych przekleństw wypowiadanych przeze mnie setki razy. Teraz ją zignorowałem. Nie mogła obudzić Leny, bo jej łóżko było puste. Mój wzrok zatrzymał się na szachownicy. Jedynym elementem, który uległ zmianie, było ustawienie pionów. Mój czarny król został otoczony przez białego króla i wieżę. Szach i mat.

– Ona odeszła – usłyszałem głos Dziaduszki.

Stał w drzwiach, a jego twarz pokrywało więcej zmarszczek. Jeszcze więcej zmęczenia i bólu dostrzegłem w jego oczach.

– Lena odeszła – powtórzył, a po jego policzkach pociekły łzy.

– Czy Szczurek… – zacząłem, ale moje gardło ścisnęło się nagle.

– Przywiózł tego wracza. Lekarz ją zbadał, zostawił nawet jakieś pigułki i powiedział, że jej organizm po prostu zaczyna zwalniać, wyłączać się, by ostatecznie… Można by ją sztucznie utrzymywać przy życiu, ale nie w tych warunkach. Nawet tam u nich, za Buforem, pozostało niewiele takich urządzeń.

– Kiedy to się stało?

– Tydzień temu.

– Gdzie ona jest? To znaczy… gdzie ją pochowaliście?

– Pochowaliśmy? – Dziaduszka spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Tak. Gdzie złożyliście jej ciało? No przecież nie nakarmiliście nią żadnych bestii!

– Nie zrozumiałeś mnie – pokręcił głową. – Ona odeszła.

– W porządku – pokręciłem głową z rezygnacją. – Po prostu mnie tam zaprowadź.

– Tydzień temu Lena otworzyła oczy, dokończyła partię szachów, wyciągnęła broń spod poduszki i wyszła. Nie wiemy dokąd.

– Czy ty coś piłeś? Co ty mówisz?

– To prawda – Babuszka wsparła się na ramieniu swojego męża i spojrzała na mnie ze smutkiem. – Ona się obudziła.

Opadłem na kolana i wbiłem wzrok w figury pozostałe na szachownicy. Szach i mat. Partia skończona. Ciężko westchnąłem i osunąłem się na podłogę. Rana w barku zaczęła pulsować, krwawe strumyki łaskotały w plecy i brzuch.

– Sprowadzę szeptuchę – pochyliła się nade mną zatroskana twarz Dziaduszki. – W takim stanie…

– Później – szepnąłem. – Co tu się stało.

Staruszkowie milczeli przez chwilę, Babuszka w końcu usiadła koło mnie, objęła ramieniem i zaczęła opowiadać.

– Kiedy Lena się obudziła, byłam akurat w jej sypialni. Wiesz, to stało się tak nagle, wyglądało tak nierealnie, że prawie zemdlałam. Usiadłam na tym skrzypiącym fotelu, a ona spojrzała na mnie i powiedziała: „Uciekajcie, oni tutaj idą!”. Spod poduszki wyciągnęła pistolet, wstała i wyszła.

– Posłuchaliśmy jej – mruknął Dziaduszka – chociaż brzmiało to absurdalnie. Wzięliśmy najpotrzebniejsze rzeczy i schowaliśmy się w bunkrze pod laboratorium. Siedzieliśmy w nim i wypatrywaliśmy ciebie. Jak widzę, Lena miała rację. Ktoś tutaj był.

– Nawet wiem kto – odpowiedziałem.

Na szczęście, w swoich wspomnieniach nie przywołałem widoku schronu i szalona dziewczyna, uważająca się za moją bliźniaczkę, nie mogła wiedzieć o jego istnieniu. Dlatego Cierń nie znalazł ukrytego wejścia. Nie tłumaczyło to jednak cudownego przebudzenia Leny, która… A może to siła umysłu, o której opowiadała mi lekarka z psychiatryka, sprawiła, że moja Jasnowłosa… Gdzie mam jej teraz szukać, w jaki sposób? Dokąd mogła pójść?

Wsparłem się na ramionach staruszków i podniosłem się na nogi. Pomogli mi podejść do okna i uchylić stalowe żaluzje, które świetnie chroniły przed słońcem. Jego blask wypełnił cały pokoik i zmusił mnie do osłonięcia oczu. Dostrzegłem Kusą, kryjąca się w bramie i czujnie lustrującą rozciągający się dokoła las. Dziewczyna jakby poczuła, że

o niej myślę, odwróciła i zadarła głowę, a jej oczy napotkały moje. Skinąłem głową, Kusa odmachnęła ręką i ponownie skupiła się na pilnowaniu bramy. MP5 w jej chudych rękach wyglądał raczej groteskowo, ale to dzięki niej wróciłem tutaj, do schronienia. Przez całą długą drogę powrotną towarzyszyli nam Hycle i Łapiduchy. Nie zostało ich wielu, oddział Ciernia wybił większość szkaradnych przebierańców, a garstka tych, którzy przetrwali, ruszyła za nami, zupełnie nie kryjąc swojej obecności. Teraz zapadli wśród drzew, niczym prywatni obrońcy, i czekali. Oni wciąż na coś czekali. Próbowałem wysłać do nich myśl, ale z niezrozumiałych względów nie byłem w stanie tego uczynić. Ta pieprzona magia jakby została tam, wśród murów szpitala, a może byłem zbyt słaby.

Odwróciłem się powoli i spojrzałem na Dziaduszkę, który natychmiast spojrzał gdzieś w bok.

– Wydaje mi się, że skrywasz w sercu jakiś sekret – powiedziałem. – Oboje go skrywacie. Może już najwyższy czas mnie oświecić? Dawno temu wywieźliście mnie z miasta i być może dzięki wam przeżyłem Rozbłysk i wszystko, co nastąpiło po nim. Wychowywaliście mnie jak własne dziecko i kocham was. Jesteście moimi rodzicami. Ale naprawdę nic nie wiecie o mojej rodzinie, tej prawdziwej?

– Mieliśmy cię wywieźć na Białoruś, do rodziny – powiedziała Babuszka. –. Przemycić... Przekazali cię jacyś obcy ludzie, a my mieliśmy cię oddać Aleksiejowi, który to organizował. Nie było czasu na pytania. I zaraz potem nastąpił Rozbłysk. Przed naszym nosem zamknięto granicę, właśnie wybuchła wojna i Rosjanie wypuścili rakiety na nasze miasta. Wszystko to wiesz. I rozumiesz, że nie było sposobu dociekać twojego pochodzenia.

– Racja – przytaknąłem. – Nie zrozumcie mnie źle. Jestem wam wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobiliście. Jesteśmy rodziną, tak o was myślę. Ale kilka dni temu spotkałem dziewczynę, która twierdzi, że jest moją siostrą bliźniaczką… Straszna szajbuska i w ogóle bym jej nie uwierzył. Jednak... Ma takie same oczy jak ja. Różnobarwne tęczówki: niebieską i zieloną.

Staruszkowie spojrzeli po sobie zdumieni i wzruszyli ramionami. Ten gest był tak cholernie prawdziwy, że nie miałem już siły dręczyć ich dłużej.

– Ludzkie losy – zaczęła Babuszka – splatają się w niewytłumaczalny sposób. Zwłaszcza w tych czasach. Każdy może mieć rodzinę czy rodzeństwo, o którym nie ma zielonego pojęcia. Na przykład ta dziewczyna, która cię przyprowadziła. Miała jakiegoś ojca i matkę, którzy powinni być teraz przy niej. Chronić ją, bo jest jeszcze dzieckiem. Czy jeszcze żyją? Kto to może wiedzieć? Teraz takie pytania nie mają sensu. Rodzina to każdy spotkany życzliwy człowiek, choć przez chwilę. Wszyscy walczą o przetrwanie, wszędzie czyha śmierć.

– Śmierć – westchnąłem – jest tylko zmianą stanu ze stałego na… bardziej lotny.

– Byłeś tam, prawda? – spuścił głowę Dziaduszka. – Poszedłeś do Białego Miasta. Ono cię zawsze zmieniało. Już raz nas zostawiłeś dla swoich urojeń. Pamiętasz?

Pamiętałem. Kiedy pierwszy wąs zarysował się pod moim nosem, uciekłem z leśnego schronienia do pełnej przygód i niebezpieczeństw metropolii. Nie znalazłem tam nic, oprócz stert gruzu, płaczu i bólu. Ale spotkałem Maksymiliana, który dał takim jak ja nadzieję. Walczyliśmy za jego idee i wygrywaliśmy, bo takie było nasze przeznaczenie. Zabijaliśmy i traciliśmy wszystko, co najcenniejsze. Niewinność i czystość. I tak w koło. Na okrągło, by ostatecznie stanąć na szańcu, skalani krwią bracia. Wybierając się na wojnę, należy pamiętać, że noc zawsze jest łaskawa dla zwycięzców, nigdy dla pokonanych. Trzeba też wiedzieć, że dla uzyskania władzy ludzie pokroju Maksymiliana są gotowi oddać wszystko. Także swoje dziecko, swoją ukochaną córkę, którą przekupieni wrogowie będą gwałcić i gwałcić bez końca, jako dar, ochłap rzucony rozszalałym bestiom.

– Zmieniają się daty, nie ludzie – powiedziałem, z trudem wstając. – Sprowadź szeptuchę, muszę stanąć na nogi. Mam robotę do wykonania. Aha, potrzebne mi będą mapy trakcji kolejowej kraju sprzed Rozbłysku. Da się to zorganizować?

– No pewnie – mruknął Dziaduszka. – Tylko po co?

– Chcę trochę pojeździć pociągiem. To wszystko.

– Jeśli nie rozkradziono szyn, to lokomotywą można by dotrzeć nawet na drugi koniec kraju. Oczywiście teoretycznie…

– Naboje potrafią wcielać teorie w życie – przerwałem mu i spojrzałem uważnie na karabinek. – Czas przekonać się o tym osobiście.

Koniec

Spis treści

Podziękowania
Prolog
1. Kiedyś wszystko trafił szlag
2. Za Buforem
3. Samogon, lokomotywy i śmierć
4. Humor wisielca
5. Rozmowy z katem
6. Syn marnotrawny
7. Gamma
8. Nocny gość i niewidoma
9. Więzienny blues
10. Lobotomia i Panna w bieli
Epilog
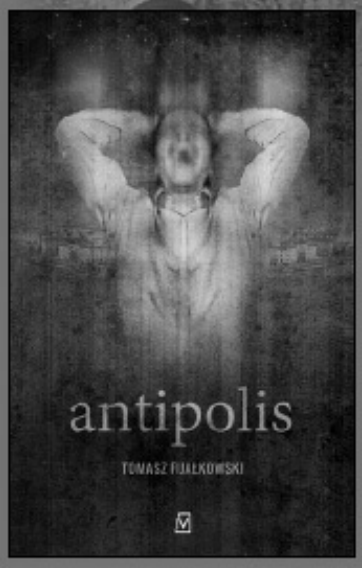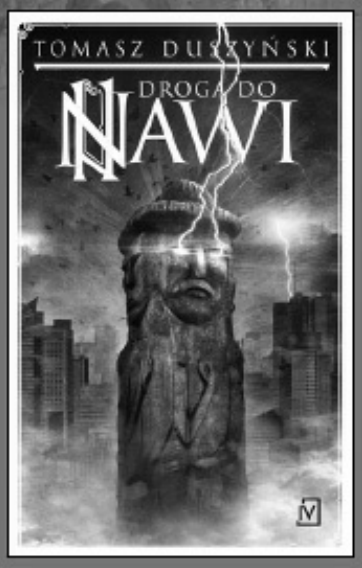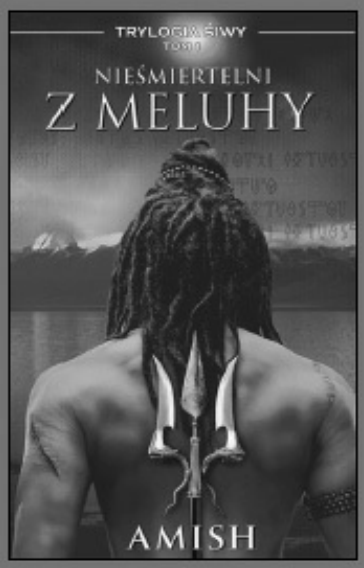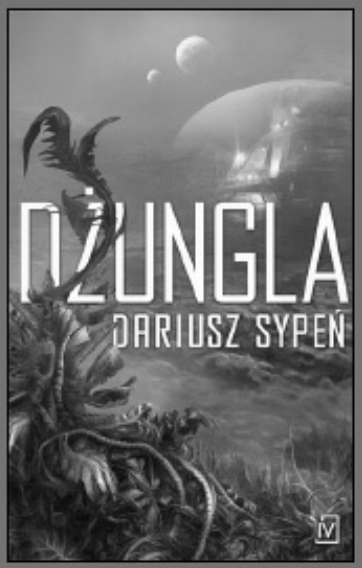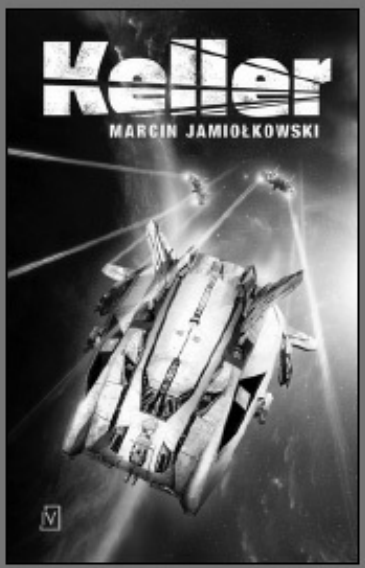
Czwarta Strona Fantastyki